

Jules Verne

500 MILJONÓW BEGUMY

Ilustracje Leona Benetta

Nakładem Księgarni J. Przeworskiego

Warszawa 1931

SPIS TREŚCI

[Rozdział I Pan notariusz Sharp. 2](#)

[Rozdział II Dwaj koledzy. 8](#)

[Rozdział III Kronika. 14](#)

[Rozdział IV Po powrocie. 20](#)

[Rozdział VI Studnia Albrechta. 34](#)

[Rozdział VII Centralny oddział. 41](#)

[Rozdział VIII Jaskinia smoka. 47](#)

[Rozdział IX Ucieczka. 56](#)

[Rozdział X Artykuł z niemieckiego przeglądu „Unser-Jahrhundert”. 63](#)

[Rozdział XI Obiad u doktora Sarrasin’a. 70](#)

[Rozdział XII Rada. 74](#)

[Rozdział XIII Marceli Bruckmann do profesora Schultze’a w Stahlstadzie. 80](#)

[Rozdział XIV Przygotowania do walki. 82](#)

[Rozdział XV Giełda w San Francisco. 85](#)

[Rozdział XVI Dwaj Francuzi przeciw jednemu miastu. 90](#)

[Rozdział XVII Rozmowa wystrzałami. 95](#)

[Rozdział XVIII Jedro pestki. 100](#)

[Rozdział XIX Sprawa rodzinna. 104](#)

[Rozdział XX Zakazanie. 106](#)

Rozdział I

Pan notariusz Sharp.

Wyborne są te dzienniki angielskie! – mówi do siebie poczciwy doktor, rzucając się na wielki fotel obity skórą.

Doktor Sarrasin przez całe życie swoje używa monologów, co było dla niego rodzajem rozrywki. Był to człowiek w wieku lat 50-ciu, o rysach delikatnych, oczach żywych i czystych, które przyszyte były stalowymi okularami, o fizjonomji poważnej i przyjemnej; należał on do rzędu osób, o których za pierwszym rzutem oka mówi się: to poczciwy człowiek. Pomimo rannej godziny, doktor był już wiewo ogolony i miał biały krawat, chociaż reszta ubrania nie odznaczała się elegancją.

Na dywanie, na meblach pokoju, który zajmował w jednym z hotelów w Brighton, leżały numery gazet: Times, Daily Telegraph, Daily News. Była dopiero dziesiąta, a doktor obiegał już miasto, odwiedził szpital, wrócił do swego hotelu i odczytywał w głównych dziennikach londyńskich sprawozdanie z memoriału, który przed paru dniami podał na wielkim międzynarodowym kongresie higieny; był to memoriał o przyrzeczeniu do rachowania ciętek krwi, którego doktor był wynalazcą.

Przed nim na stoliku zastawionym białym obrusem, stała taca, a na niej kotlet doskonale usmażony, filiżanka wonnej herbaty i kilka owych grzanek z masłem, które kucharki angielskie przyrzeczają tak doskonale, dzięki małym bułeczkom dostarczonym im na ten cel przez piekarzy.

– Tak – powtarza – niepodobna zaprzeczyć, że dzienniki angielskie są doskonałe! Mowa wiceprezydenta, odpowiedź doktora Cicogna z Neapolu, szczegółowe wyjaśnienie mego memoriału, wszystko to zostało żywcem schwytane, odfotografowane.

– Głósł ma doktor Sarrasin z Douai. Szanowny kolega mówi po francusku. Słuchacze przebaczą mi, – rzekł na wstępie, – że pozwalam sobie używać ojczystego języka; ale jestem pewien, że lepiej mnie zrozumieją po francusku, aniżeli ja potrafiłbym wypowiedzieć to po angielsku.

– Pięć szpalt małym drukiem! Nie wiem, prawdziwie, które lepsze, sprawozdanie w Timesie czy w Telegraphu? Niepodobna zdać wikszej cisłości i dokładności!

Rozmyślanie doktora Sarrasina przerwał w owej chwili sam mistrz ceremonji, – niktby się nie ośmielił uczcić niższym tytułem figury tak poprawnie czarno ubranej, – która zapukała do drzwi i zapytała, czy mosiου przyjmuje?

Mosiou jest to ogólna nazwa, którą Anglicy czują się zobowiązani obdarzać wszystkich francuzów, jakgdyby zdawało im się, że naruszają wszelkie prawa grzeczności, jeżeli Włocha nie obdarzą tytułem Signor, a Niemca Herr. Zresztą, może i mają słuszność. Zwyczaj ten korzystny jest przynajmniej pod tym względem, że od razu objaśnia o narodowości ludzi. Doktor Sarrasin wziął kartkę, którą mu podano. Zdziwiony, że go ktoś może odwiedza w kraju, gdzie nie zna nikogo, zdziwił się jeszcze bardziej, przeczytawszy na bilecie wizytowym:

Mr. Sharp, solicitor,

93 Southampton row,

London?

Wiedzia?, że solitor oznacza po angielsku prawnika ??czego w jednej osobie notariusza i adwokata.

– Czy u diabła może chce odemnie ten pan Sharp – rzekł do siebie. – Czybym miał, sam nie wiedząc o tem, być na siebie jakiś proces? Pewny jesteś, że to do mnie – zapytał.

– Oh! yes, mousiu!

– No to popro?

Mistrz ceremonji wprowadził młodego jeszcze młoczyn, którego doktor za pierwszym rzutem oka zaliczył do wielkiej rodziny trupich czaszek?

Jego włoskie, a raczej wyschłe usta, długie białe zęby, wklęsłe skronie pod pergaminową skórą, cera mumji i małe szare oczka o widrzącym wejrzeniu dawały mu niezawodne prawo do tej nazwy? Całe ciało jego, od głowy do pięt, zniknęło pod ulster coatem w wielkie kraty; w ręku trzymał podróżną walizkę z lakierowanej skóry.

Wszedłszy do pokoju doktora, nieznajomy szybko ukłonił się, położył na ziemi walizkę i kapelusz, usiadł nie prosząc o pozwolenie, i rzekł:

– William Henryk Sharp młodszy, wspólnik domu Billows, Green, Sharp et Co? Czy mam honor z doktorem Sarrasinem?

– Tak, panie.

– Z Franciszkiem Sarrasinem?

– Tak brzmi moje nazwisko w istocie.

– Z Douai?

– Mieszkam w Douai.

– Ojciec pański nazywa się Izydor Sarrasin?

– Tak jest.

– Mówi pan zatem, że nazywa się Izydor Sarrasin?

Mr. Sharp wyjął z kieszeni księeczkę z notatkami, zajrzał do niej i mówił dalej:

– Izydor Sarrasin umarł w Paryżu w 1857, w VI okręgu przy ulicy Taranne, pod numerem 54, w

gmachu szkolnym, zrujnowanym obecnie.

– Rzeczywiście – rzekł doktor, coraz bardziej zdziwiony. – Ale może zechce mi pan objaśnić?..

– Matka jego była z domu Langvol; na imię miała Julia, – mówił dalej niezmiernie tem pytaniem Mr. Sharp. Pochodziła z Bar-le-Duc, była córką Benedykta Langvol, który mieszkał przy ulicy Lorient, a zmarł w roku 1812, jak wynika z rejestru w magistratu tego miasta. Nieoceniona rzecz, panie, te rejestry, nieoceniona! Hmm! Hmm! i była siostrą Jana Jakuba Langvol, podoficera w 36 lekkim.

– Naprawdę, – odezwał się doktor Sarrasin, zdziwiony tym goboką znajomością jego genealogii, zdaje się, że pan zna to wszystko lepiej niż ja sam. W istocie babka moja była z domu Langvol, ale to wszystko, co wiem o niej.

– Opuściła miasto Bar-le-Duc w 1807 r., wraz z dziadkiem pańskim, którego zaślubiła w roku 1799. Oboje udali się do Melun, gdzie osiedlili się jako blacharze i pozostali tam do roku 1811, to jest do śmierci Julji Langvol, żony Sarrasina. Z małżeństwa tego było jedno tylko dziecko, Izidor Sarrasin, pański ojciec. Od tej chwili nie zrywa się, i wiemy tylko o śmierci wymienionego, śmierci, której data zapisana w Paryżu.

– Mogłaby nawiązać do niego, – rzekł doktor, mimowoli pociągnięty tymi iściami matematycznymi iściami. – Mój dziadek osiedlił się w Paryżu dla wychowania swego syna, który zamierzał oddać się nauce medycyny. Umarł w roku 1832, w Paliscau, nieopodal Wersalu, gdzie mój ojciec pełnił obowiązki swego zawodu i gdzie ja sam urodziłem się w roku 1822.

– Jest pan tym, którego szukam, – odrzekł Mr. Sharp. – Nie ma pan ani braci ani sióstr?

– Nie! Byłem jedynakiem i matka moja zmarła w dwa lata po moim urodzeniu. Ale o co panu chodzi?

Mr. Sharp, powstał.

– Sir Bryach Jowahir Mothooranath, – rzekł, wymawiając te imiona z szacunkiem, jaki kiedy Anglik okazuje dla tytułów szlacheckich, – szczęśliwy jestem, że pana znalazłem i że pierwszy mógł mu złożyć moje hołdy.

– Ten człowiek, ma pomieszanie zmysłów, – pomyślał doktor, – Przytrafia się to dosyć często między trupami czaszkami.

Solicitor wyczytał diagnozę z oczu doktora.

– Wcale nie jestem warjatem, – odpowiedział spokojnie. – Jesteś pan obecnie jedynym znanym dziedzicem tytułu baroneta, który na przedstawienie generała gubernatora prowincji Bengalu nadany został Janowi Jakubowi Langvol; był on naturalizowanym obywatelem angielskim, wdowcem po Begum Gokoll i dożywotnim posiadaczem dóbr tejże. Zmarł w roku 1841, pozostawiwszy jednego tylko syna, idiotę i bezdzielnego, który umarł bez testamentu w roku 1869. Trzydzieści lat temu, dziedzictwo to wynosiło około pięciu milionów funtów szterlingów. Trzymane pod sekwestrem i

opiekę, przynosi ono procenty, które prawie cała krowa kapitalizowała się za życia niedożytego syna Jana Jakoba Langvola. W roku 1870 spadek ten oszacowano na około cyfrę dwudziestu jeden milionów funtów szterlingów, czyli pięćset dwadzieścia jeden milionów franków. Za wyrokiem sądowym w Agra, zatwierdzonym przez sąd apelacyjny w Delhi, legalizowanym przez rząd przyboczny, wszystkie dobra ruchome i nieruchome zostały sprzedane, wartość ich zrealizowana i cała suma została w depozycie w banku angielskim. Wynosi ona teraz pięćset dwadzieścia siedem milionów franków, które będzie pan mógł odebrać za prostym czekiem, gdy tylko złożysz pan genealogiczne dowody w sądzie. Co do mnie, ofiaruj się wyjednać panu od dnia dzisiejszego, jak tylko zechce pan zaliczkę u bankierów Trollop, Smith et Co?

Doktor Sarrasin osupiał. Przez chwilę nie mógł zdobyć się ani na jedno słowo. Wreszcie odzyskawszy wrodzony sobie zmysł krytyczny i nie mogąc zgodzić się na to, by ten sen z tysiąca i jednej nocy miał być rzeczywistością, zawołał:

– Ale jakie dowody może mi pan dać na to, że historia ta jest prawdziwa i jakim sposobem odkrył ją mi pan?

– Dowody są tutaj, – odrzekł Mr. Sharp, uderzając ręką o walizkę z lakierowanej skóry. – Co do sposobu, w jaki wynalazłem pana, jest on bardzo prosty. Szukam pana od pięciu lat.

Wynajdywanie krewnych, albo next of kin, jak mówimy w języku prawnym, dla licznych spadków, niemających spadkobierców w prostej linii, a które corocznie spisywane są w posiadłościach brytyjskich, jest specjalnością naszego domu. Otóż właśnie spadek Begumy od pięciu lat już nam wiele pracy zadaje. Szukaliśmy na wszystkie strony, zbadaliśmy setki rodzin Sanrasinów i nie znaleźliśmy tej, która pochodziła od Izydora. Przyszedłem nawet do przekonania, że nie było innego Sarrasina we Francji, kiedy wczoraj rano, czytając w Daily News jedno ze sprawozdań na kongresie Higieny, dowiedziałem się o nieznanym mi dotąd doktorze tego nazwiska. Przejrzałem natychmiast notatki, których zebraliśmy w tej sprawie tysiące i ze zdziwieniem spostrzegłem, że miasto Douai uszło naszej Uwagi. Prawie pewny, że trafiłem na dobry ślad, natychmiast wyruszyłem do Brighton, widziałem pana, kiedy wychodził z kongresu i doszedłem do niezłomnego przekonania! Jesteś pan żywym wizerunkiem swego dziadka Langvola, jak go przedstawia nam fotografia, zdjęta z portretu, wykonanego przez indyjskiego malarza.

Mr. Sharp wyjął ze swojej kieszonki fotografię i podał ją doktorowi Sarrasinowi. Fotografia ta przedstawiała młodzieńca wysokiego wzrostu, z przepysznym brodem, w turbanie, w sukni ze złotogłowi; uwieczniony był w pozie właśnie historycznym portretem, na których widział naczelną kreślił plan ataku, uważnie patrząc na widza. Na drugim planie widać było niewyraźne dym bitwy i natarcie konnicy.

– Te dokumenta lepiej odemnie objąć panu. Zostawię je tutaj i jeżeli pan pozwoli, wrócę za dwie godziny po dalsze rozkazy.

Mówiąc to Mr. Sharp wydobycił z lakierowanej teczki siedem czy osiem foliów, zapisanych piśmem maszynowym i ręcznie, złożony je na stole i wyszedł cofając się tyłem i mrucząc

– Mam honor pożegnać pana sir Bryach Jowahir Mothooranath.

Nawp?? wierz?c, nawp?? niedowierzaj?c dokt?r wzi?? akta i zacz?? je przegli?da?.

Wkr?tce przekona? si?, ?e historia jest prawdziwa i ?e wszelkie w?tpliwo?ci musz? ust?pi? przed rzeczywisto?ci?. Jakim sposobem m?g? w?tpi? i waha? si? wobec takiego, naprzyk?ad dokumentu:

RAPORT DLA DOSTOJNYCH LORD?W RADY PRZYBOCZNEJ JEJ KR?LEWSKIEJ MO?CI, sporz?dzony 5 stycznia 1870 r. dotycz?cy wakuj?cego dzidzictwa po Begum Gokool z Ragginahra, prowincji Bengalu.

G??wne punkty. W sprawie tej chodzi o prawo w?asno?ci nad kilkoma *mehalami* i czterdziestu tysi?cami *begal?w* ziemi uprawnej, wraz z rozmaitymi budowiami, pa?acami, zabudowaniami gospodarskimi, wsiami, ruchomo?ciami, broni?, skarbami i t. d. i t. d., pochodz?cemi ze spadku po Begum Gokool z Ragginahra. Z poda?, wnoszonych kolejno do trybuna?u cywilnego w Agra i do najwy?szego s?du w Delhi, wynika, ?e w roku 1819, Begum Gokool, wdowa po rad?y Luckmissuru i dziedziczka znacznych posiad?o?ci, po?lubi?a cudzoziemca, rodem Francuza, imieniem Jana Jak?ba Lang?vol?a. Cudzoziemiec ten s?u?y? a? do roku 1815 w wojsku francuskim, w stopniu podoficera w 36 pu?ku szwole?er?w; po rozpuszczeniu armji Loary wsiad? na okr?t w Nantes jatko nadzorca nad ?adunkiem statku handlowego. Przyby? do Kalkuty, wyl?dowa? tam i zamieszka?, wkr?tce potem otrzyma? urz?d kapitana instruktora w wojsku krajowym, kt?re utrzymywa? przy swoim dworze rad?a Luckmissuru. P??niej awansowa? na g??wnego komendanta, a wreszcie po ?mierci rad?y o?eni? si? z wdow? po nim. Rozmaite wzgl?dy polityki kolonialnej, jakote? wa?ne us?ugi, jakie Jan Jak?b Lang?vol, kt?ry si? naturalizowa? i by? obywatelem angielskim, odda? europejczykom w pewnej niebezpiecznej sprawie, sk?oni?y genera?-gubernatora prowincji Bengalu do wyst?pienia z wnioskiem o nadanie tytu?u baroneta ma??onkowi Begumy. Posiad?o?? Bryach Jowahir Mothooranath sta?a si? odt?d dobrami lennemi. Begum Gokool umar?a w roku 1839, pozostawiwszy do?ywocie d?br swoich Lang?volowi, kt?ry w dwa lata po niej zst?pi? do grobu. Z ma??e?stwa tego by? tylko jeden syn, niedo??ny od urodzenia i kt?rego trzeba by?o niezw?ocznie odda? pod opiek?. Dobrami jego zarz?dzano w spos?b nale?yty i przez prawo wskazany a? do ?mierci, kt?ra nast?pi?a w roku 1869. Ogromny ten spadek nie ma znanych dziedzic?w. Trybuna? w Agra i s?d w Delhi zarz?dzi?y na wezwanie miejscowego rz?du, dzia?aj?cego w imieniu pa?stwa, sprzeda? wszystkich d?br spadkowych w drodze licytacji, mamy przeto zaszczyt prosi? lord?w rady przybocznej o zalegalizowanie tych wyrok?w i t. d. i t. d. Nast?powaa?y podpisy.

Wierzytelne odpisy wyrok?w trybuna??w w Agrze i Delhi, akta sprzeda?y, polecenie z?o?enia kapita?u w depozycie Banku Angielskiego, wykaz poszukiwa? zarz?dzonych we Francji, celem wynalezienia spadkobierc?w Lang?vola i ca?a imponuj?ca masa dokument?w podobnego rodzaju, nie pozostawi?y cienia w?tpliwo?ci w umy?le doktora. By? istotnym next of kin i spadkobierc? Begumy. Od pi?ciuset dwudziestu siedmiu milion?w, z?o?onych w piwnicach banku, dzieli?a go tylko formalno?? s?dowa, oparta na prostym okazaniu autentycznych akt?w urodzenia i zej?cia. Takie niespodziane bogactwo mog?o ol?ni? najspokojniejszy umys?; poczciwy dokt?r uleg? r?wnie? wzruszeniu. Wzruszenie to jednak trwa?o kr?tko: przejawio? si? tylko szybko?, kilkuminutow? przechadzka po pokoju. Zapanowawszy nad sob?, dokt?r wyrzuca? sobie jako s?abo??, t? chwilow? gor?czk? i zag??biwszy si? w fotel, czas jaki? siedzia? pogr??ony w g??bokiej zadumie.

Potem zerwa? si? nagle i pocz?? znowu chodzi? wzd?u? i wszere? pokoju. Ale teraz ju? oczy jego b?yszcza?y czystym ogniem i wida? by?o, ?e w umy?le jego rozwija? si? pi?kna i szlachetna my?l.

Przyj?? j?, piel?gnowa?, pie?ci?, wreszcie przyswoi? sobie.

W tej chwili zapukano do drzwi i zjawi? si? mr. Sharp.

– Niech mi pan daruje pow?tpiewanie, rzek? dokt?r uprzejmie. – Teraz przekona?em si? i jestem panu mocno obowi?zany za trud, jaki pan sobie zada?e?.

– Nie jest mi pan wcale obowi?zany? prosty interes? – odpowiedzia? Mr. Sharp. – Czy mog? si? spodziewa?, ?e sir Bryach pozostanie moim klientem?

– Ma si? rozumie?. Ca?? spraw? powierzam panu? B?d? tylko prosi? pana, ?eby? nie obdarza? mnie wi?cej tym niedorzecznym tytu?em.

Z wyrazu twarzy pana Sharpa mo?na by?o wyczyta?: niedorzeczny! Tytu?, kt?ry jest wart dwadzie?cia milion?w funt?w szterling?w! Ale on sam by? nadto dobrym dworakiem, by mia? nie ust?pi?.

– Jak si? panu podoba; wola pa?ska, – odpowiedzia?. – Wracam do Londynu, gdzie b?d? oczekiwa? na pa?skie rozkazy.

– Czy mog? zatrzyma? te dokumenty?

– Naturalnie, mamy ich kopj?.

Pozostawszy sam, dokt?r Sarrasin usiad? przy biurku wzi?? arkusik papieru listowego i napisa? co nast?puje:

?Brighton, 28 pa?dziernika 1871 r.

?Moje drogie dziecko! Los obdarzy? nas ogromn?, olbrzymi? fortun?! Nie my?l, ?e zwarzowa?em, i przeczytaj dwa, czy trzy drukowane akta, kt?re za??czam do tego listu. Przekonasz si? z nich dowodnie ?e jestem spadkobierc? tytu?u baroneta angielskiego. a raczej indyjskiego i kapita?u wynosz?cego wi?cej ni? p?? miljarda frank?w, a z?o?onego obecnie w banku angielskim. Jestem pewien, m?j drogi Oktawiuszu, ?e nie myl? si?, co do uczu? jakie wzbudzi w tobie ta wiadomo??. Tak jak ja zrozumiesz nowe obowi?zki, jakie wk?ada na nas maj?tek i niebezpiecze?stwa, jakimi grozi naszemu rosz?dkowi. Godzin? temu zaledwie dowiedzia?em si? o tej sprawie, a ju? obawa przed odpowiedzialno?ci? zmniejsza o po?ow? rado??, jak? narazie uczu?em, ze wzgl?du na ciebie. Mo?e zmiana ta przyniesie nam nieszcz??cie?? Pracownicy pionierowie nauki, zadowoleni byli?my z naszego skromnego losu. Czy b?dzie tak i nadal? Nie, mo?e, chyba? Ale nie ?miem ci pisa? o my?li, kt?ra powsta?a w mojej g?owie? chybaby t? sama fortuna sta?a si? w r?kach naszych nowym i pot??nym przyrz?dem naukowym, cudownem narz?dziem cywilizacji! Pom?wimy o tem jeszcze. Napisz do mnie, odwrotn? poczt?, jakie wra?enie sprawi?a na tobie ta wielka wiadomo??. i sam oznajmij matce. Nie w?tpi?, ?e jako rosz?dna kobieta, przyjmie j? spokojnie. Co do siostry twojej, to jest ona jeszcze zbyt m?oda, by co? podobnego mog?o zawr?ci? jej g?ow?. Zreszt? ma?a ta g??wka jest ju? do?? mocn? i jestem pewien, ?e chocia?by nawet mog?a zrozumie? mo?liwe nast?pstwa wypadku, o kt?rym ci? zawiadamiam, mimo to mniej ni? ktokolwiek z nas, zaniepokoi si? zmian?, zasz?? w naszym

po?o?eniu. Serdeczny u?cisk d?oni zasy?am Marcelemu. Nie wy??czam go z ?adnego z moich projekt?w na przysz?o??.

Kochaj?cy ci? ojciec

Fr. Sarrasin.

D. M. P.

List wraz z najwa?niejszymi papierami dok?r w?o?y? do koperty i zaadresowa? do ?Pana Oktawjusza Sarrasina, s?uchacza Wy?szej Szko?y Sztuk Pi?knych i Rzemios?, 32 ulica Roi-de-Sicile, Paris?. Potem wzi?? kapelusz, w?o?y? palto i poszed? na kongres. W kwadrans potem zacny cz?owiek zapomnia? zupe?nie o swoich milionach.

Rozdział II

Dwaj koledzy.

Oktawjusz Sarrasin nie był wcale leniwym. Nie był też ani głupcem, ani nie odznaczał się specjalnym rozumem; nie był pisknym, ale nie był brzydkim, ani małym, ani wielkim, ani brunetem, ani blondynem. Był szatynem i pod każdym względem zaliczał się do ludzi przeciętnych. W gimnazjum dostał drugą nagrodę i dwie czy trzy pochwały. Maturę zdał bez odznaczenia. Za pierwszym razem został odrzucony na konkursie Szkoły Sztuk Pięknych; za drugim razem przyjęto go za 127 lokat. Posiadał chwiejny charakter; był to jeden z tych umysłów, co zadawałniał się niezupełnie pewnościami, którym zawsze wystarcza prawdopodobieństwo i którzy przechodzą przez życie jak wiatrokiścicy. Ten rodzaj ludzi jest w roku przeznaczenia tem, czem jest korek rzucony na falę. Pędzą do rżnika lub do bieguna, stosownie do tego, jak wiatr wieje, z północy czy z południa. Przypadek tylko stanowi o ich losie. Gdyby doktor Sarrasin nie uduził się trochę co do charakteru swego syna, możeby się zawahał przed napisaniem do niego listu, który czytaliśmy przed chwilę, ale najzdrowsze nawet umysły zdolne są do rodzicielskiego załepienia.

Szczęśliwym trafem, na samym początku swego wychowania Oktawjusz dostał się pod władzę natury energicznej, której wpływ trochę tyrański ale dobroczynny ujarzmił go przemocą. W liceum Charlemagne, gdzie go ojciec umieścił dla dokończenia nauk, Oktawjusz zawarł przyjaźń z jednym ze swych kolegów, alzaczykiem, Marcelim Bruckmanem, który chociaż młodszy od niego o rok, przewyższył go wręcz nie tylko siłą fizyczną, ale też umysłową i moralną.

Marceli Bruckman został sierotą mając lat dwanaście i odziedziczył małą sumkę, która wystarczała zaledwie na opłacenie kolegum. Gdyby nie Oktawjusz, który zabierał go z sobą na wakacje do rodziców, Marceli nie mógłby nigdy wyjść poza mury kolegum. Wskutek tego rodzina doktora Sarrasina stała się rodziną młodego alzaczyka. Mimo chłodnej powierzchowności Marceli miał tkliwy charakter i oszczędny, że odtąd całe jego życie powinno należeć do tych poczciwych ludzi, którzy zastąpili mu ojca i matkę. To naturalnie doprowadziło do tego, że uwielbiał doktora Sarrasina, jego żonę i liczny i poważny ich czerpek i serce jego otworzyło się dla nich na nowo, jak gdyby wrócił do lat dziecińczych. Wdzięczności swej nie dowodził słowami. Wziął sobie za obowiązek odpłacać dzieciom to, co winien był rodzicom; w Joannie, która lubiała naukę, starał się wyrobić zdrowy rozsądek, umysł silny i stały; z Oktawjusza usiłował zrobić człowieka, godnego następcę tego, który był jego ojcem. Trzeba wyznać, że ostatnie zadanie było o wiele trudniejsze, Joanna, jak na swój wiek, przewyższała brata tak pod względem umysłu jak charakteru. Ale Marceli postanowił dopięć podwójnego celu.

Marceli Bruckman był jednym z owych walecznych i roztropnych wojowników, których Alzacja corocznie wysyła na plac wielkiego paryskiego boju. Dzieckiem jeszcze błądząc, odznaczał się giętkością i siłą muskularną, tak jak żywość umysłu. Moralnie był całym odwagą i wolą; fizyczna zaś budowa jego składała się z samych kłębów prostych. Już w kolegum dążył do celowania we wszystko, tak w piłę, jak w obozie, tak w sali gimnastycznej, jak w laboratorium chemicznym. Zdawało mu się, że straci rok, jeżeli zabrakło mu jednej z rocznych nagród. Mając lat dwadzieścia, był ogromnej budowy, silny rozwinięty, pełen życia i ruchu, stanowił obraz prawdziwej maszyny organicznej o maksimum natężenia i czynności. Inteligentna głowa jego zwracała już wówczas

uwag? powa?nych umys??w. Do szko?y G??wnej wst?pi? w tym samym roku, co i Oktawjusz, wszed? do niej z drug? lokat?, ale postanowi? uko?czy? ju? z pierwsz?.

Zreszt? przyj?cie swe do szko?y Oktawjusz zawdzi?cza? tak?e wytrwa?ej i wystarczaj?cej dla dw?ch energii Marcelego. Ten przez ca?y rok nap?dza? go do pracy i zmusza? niejako do powodzenia. Mia? on dla tej natury s?abej i chwiejnej uczucie przyjaznej lito?ci, podobnej do tego, jakie m?g?by odczuwa? lew wzgl?dem szczeniaka. Przyjemnie mu by?o wzmacnia? sw? si?? t? anemiczn? ro?lin?, doprowadza? j? przy sobie do kwitnienia i owocowania.

Wojna 1870 roku zasta?a obu przyjaci?? w chwili, kiedy sk?adali egzaminy. Zaraz nazajutrz po zamkni?ciu konkursu, przej?ty patryjotyczn? bole?ci? i doprowadzony do rozpaczyny niebezpieczestwem, kt?re grozi?o Strasburgowi i Alzacji, Marceli zaci?gn?? si? do 31 bataljonu strzelc?w pieszych. Oktawjusz poszed? zaraz za jego przyk?adem.

Obydwaj razem odbyli na forpocztach Pary?a kampanj? obl??enia. Marceli dosta? kul? w praw? rami? i pod Buzenwol awansowa? na oficera. Oktawjusz nie zdoby? dla siebie ani rany ani szlify. Prawd? m?wi?c, nie jego w tem by?a wina, bo zawsze szed? w ogie? za przyjacielem, co prawda o sze?? metr?w z ty?u, ale szed?. Ale w?a?nie te sze?? metr?w stanowi?y wszystko.

Od czasu, gdy nasta? pok?j, a z nim wr?cono do zwyk?ych prac, dwaj przyjaciele mieszkali razem w dw?ch przyleg?ych sobie pokojach skromnego domu, znajduj?cego si? nieopodal od szko?y. Nieszcz??cie Francji, odpadni?cie Alzacji i Lotaryngji, wycisn??y na charakterze Marcelego pi?tno przedwczesnej m?skiej dojrza?o?ci.

– Obowi?zkiem m?odzie?y francuskiej, – mawia?, – jest, naprawi? b??dy ojc?w swoich, a dokona? tego mo?na jedynie zapomoc? pracy.

Wstawa? o godzinie pi?tej i zmusza? do tego r?wnie? Oktawjusza. Ci?gn?? go na kursy; wyszed?szy z nich, nie opuszcza? go ani na chwil?. Wracali do siebie i zasiadali do pracy, przeplataj?c j? tylko czasem fajeczk?, czasem fili?ank? kawy. K?adli si? o godzinie dziesi?tej, zadowoleni z dobrze sp?dzonego dnia.

Od czasu do czasu partja bilardu, dobrze wybrane widowisko teatralne, niekiedy koncert w konserwatorjum, konna przeja?d?ka, a? do lasu Verri?res, przechadzka po lesie, dwa razy na tydzie? ?wiczenia w boksowaniu lub fechtunku, oto by?y ich rozrywki. Chwilami Oktawjusz okazywa? ch?tk? do buntu i z zazdro?ci? patrzy? na przyjemno?ci mniej godne pochwa?y. M?wi?, ?e trzeba odwiedzi? Arystyda Lerense, kt?ry ?uczy? si? prawa? w piwiarni Saint-Michel. Ale Marceli tak ostro szydzi? z owych zachcianek, ?e najcz??ciej same przez si? mija?y.

Dnia 29 pa?dziernika 1871 r., oko?o godziny si?dmej wiecz?r, dwaj przyjaciele siedzieli obok siebie przy jednym stole i przy jednej wsp?lnej lampie. Marceli dusz? i cia?em pogr??y? si? w niezmiernie ciekawem zadaniu geometrji wykre?lonej. Oktawjusz, z religijnym namaszczeniem zajmowa? si? robieniem kawy, co w jego oczach by?o rzecz? o wiele wa?niejsz?. By? to jeden z niewielu przedmiot?w, w kt?rych celowa?, jak sobie pochlebia?, mo?e dlatego, i? dawa?o mu to codziennie mo?no?? przerwania na kilka chwil niemi?ej pracy rozwi?zywania r?wna?, kt?rej jak mu si? zdawa?o, Marceli troch? nadu?ywa?. Kropla za kropl? spuszcza? wrz?c? wod? na grub? warstw?

sproszkowanej mokki i spokojne zadowolenie, jakie przytem odczuwa?, wystarcza?o mu zupe?nie. Ale widok pracuj?cego Marcelego, budzi? w nim wyrzuty sumienia, wi?c usi?owa? przeszkadza? mu swoim paplaniem.

– Dobrzeby?my zrobili, gdyby?my kupili ulepszon? maszynk? do kawy, – rzek? nagle. – Ten staro?ytny filtr nie licuje z wsp??czesn? cywilizacj?.

– Kup maszynk?! Mo?e nie b?dziesz wtedy traci? co wiecz?r godziny na przygotowanie kawy.

I Marceli wr?ci? do swego zadania.

– Wn?trze sklepienia tworzy elipsoida o trzech nier?wnych osiach. Niech $A B D E$ b?dzie elips? dajac? pocz?tek, kt?rej o? najwi?ksza o $A = a$, o? ?rednia o $B = b$, o? najmniejsza o, o? c jest poziom? i r?wn? c ?, co czyni sklepienie zni?onem ku ?rodkowi?

Wtem zastukano do drzwi

– List do pana Oktawjusza Sarrasin?a, – rzek? s?u??cy.

Mo?na sobie wyobrazi?, z jak? rado?ci? m?ody student powita? t? rozrywk?.

– Od mego ojca, – rzek?. – Poznaj? pismo? To przynajmniej jest list – doda?, wa??c w r?ku paczk? papier?w.

Marceli wiedzia?, ?e dokt?r bawi w Anglii, bo przed tygodniem, b?d?c przejazdem w Pary?u, ugo?ci? obu przyjaci?? w restauracji Palais-Royal, s?ynnej niegdy?, ale teraz wysz?ej ju? z mody!

Dokt?r Sarrasin uwa?a? j? jednak zawsze za szczyt wykwintnego smaku paryskiego.

– Powiesz mi, czy ojciec pisze co o kongresie higieny, – rzek? Marceli. – Dobra to by?a my?l, ?e pojecha? do Brighthon. Uczeni francuscy s? zanadto sk?onni do odosobnienia si?.

I Marceli zn?w wr?ci? do swego zadania.

– Wewn?trzn? wypuk?o?? utworzy elipsoida podobna do pierwszej, maj?ca ?rodek poni?ej o? na poziomej o. Oznaczywszy ogniska F_1, F_2, F_3 , trzech g??wnych elips, wykre?lamy elips? i hiperbol? pomocnicz?, kt?rych wsp?lne osie?

Tu na wykrzyknik Oktawjusza, podni?s? g?ow?.

– Co takiego? – spyta? troch? zaniepokojony, widz?c, ?e przyjaciel jego zblad?.

– Czytaj – odpowiedzia? Oktawjusz.

Marceli wzi?? list, przeczyta? go do ko?ca raz, i drugi, spojrze? na za??czone dokumenty i rzek?:

– To ciekawe!

Potem na?o?y? sobie fajk? i spokojnie zapali? j?. Oktawjusz nie spuszcza? z niego oka.

– My?lisz, ?e to prawda? – rzek? niepewnym g?osem.

– Czy prawda?? Widocznie, ?e tak. Tw?j ojciec ma za wiele zdrowego rozs?dku, by mia? m?wi? co? podobnego, nie maj?c zupe?nej pewno?ci. Zreszt? dowody s? tutaj, a przytem rzecz jest w istocie zupe?nie prosta.

Fajka pali?a si? doskonale. Marceli zabra? si? znowu do pracy.

Oktawjusz sta? z opuszczonemi r?kami, nie mog?c nawet doko?czy? swojej kawy, a tembardziej logicznie powi?za? dw?ch my?li.

Ale musia? m?wi?, by upewni? si?, ?e nie marzy.

– Je?li to prawda, to rzecz nies?ychana!? P?? miljarda jest ogromn? fortun?!

Marceli podni?s? g?ow? i powiedzia?:

– Ogromn? w istocie. Nie ma drugiej podobnej we Francji; w Stanach Zjednoczonych, jest ich tylko kilka, w Anglii zaledwie pi?? lub sze??, a naog?? pi?tna?cie lub dwadzie?cia na ca?ym ? wiece.

– A w dodatku tytu?! – doda? Oktawjusz, – tytu? baroneta! Nie dlatego, ?ebym kiedy pragn?? czego? podobnego, ale poniewa? teraz trafia si?, wi?c przyznaj?, ?e zawsze to wspanialej, ni? nazywa? si? poprostu Sarrasin?em.

Marceli wypu?ci? k??b dymu i nie wyrzek? ani s?owa. Ten k??b dymu wyra?nie m?wi?: – A ja gwi?d?? na to.

– Pewno, i?e nie doda?bym do swego nazwiska nieistniej?cego przydomku lub urojonej korony. Ale posiada? prawdziwy tytu? autentyczny, wyra?nie wpisany do ?Ksi?gi par?w? Wielkiej Brytanji i Irlandji, tytu? niepodlegaj?cy ?adnej w?tpliwo?ci, ?adnemu zaprzeczeniu, jak si? to cz?sto zdarza?

Fajka wci?? powtarza?a swoje: – gwi?d?? na to, m?j kochany!

– M?w sobie, co chcesz, – odpar? Oktawjusz z przekonaniem, – ale b??kitna krew co? znaczy, jak powiadaj? Anglicy.

Widz?c, ?e Marceli rzuca na niego szydercze spojrzenie, zatrzyma? si? i zwr?ci? si? do milion?w.

– Czy pami?tasz, – m?wi? – jak Bin?me, nasz profesor matematyki, rok rocznie powtarza? w czasie swego pierwszego wyk?adu numeracji, ?e p?? miljarda jest zanadto wielk? sum?, by umys? ludzki m?g? wyrobi? sobie o niej chocia?by przybli?one poj?cie, gdyby nie mia? do pomocy liczb? Czy pojmujesz, ?e gdyby jeden cz?owiek rachowa? po jednym franku na minut?, zu?y?by wi?cej ni? tysi?c lat na wyp?acenie takiej sumy! Doprawdy jakie to dziwne uczucie, m?c powiedzie?, ?e si? jest dziedzicem p?? miljarda frank?w!

– P?? miljarða frank?w! – zawo?a? Marceli, wi?cej poruszony nazw? rzeczy, ni? sam? rzecz?, – A wiesz, coby?cie z tem mogli zrobi? najlepszego? Oto odda? je Francji na zap?acenie okupu! W takim razie zosta?oby jej tylko dziewi?? razy tyle do zap?acenia!?

– Tylko zmi?uj si?, nie podawaj ojcu tej my?li! – zawo?a? Oktawjusz. – Got?w by?by zgodzi? si? na ni?, widz? ju? i bez tego, ?e uk?ada po swojemu jaki? tam projekt!? Dosy? b?dzie, je?eli kapita? umie?ci si? w banku; niech przynajmniej procent zostanie dla nas!

– Urodzi?e? si? na kapitalist?, a do dzisiejszego dnia nie domy?la?em si? tego. Tak zdaje mi si?, ?e je?eli nie dla twojego ojca, kt?ry ma umys? zdrowy, to dla ciebie lepiej by?oby, gdyby spadek by? cokolwiek mniejszych rozmiar?w. Wola?bym, ?eby? m?g? podzieli? si? z twoj? siostrzyczk? dwudziestu pi?ciu tysi?cami ludwik?w dochodu, ni? t? g?r? z?ota!

I wr?ci? do pracy.

Co do Oktawjusza, ten nie by? w stanie robi? cokolwiek; tak si? rzuca? i kr?ci? po pokoju, ?e Marceli zniecierpliwiony – rzek? do niego:

– Zrobi?by? lepiej, gdyby? poszed? przej?? si?. Widocznie do niczego ju? dzisiaj nie jeste? zdolny.

– Masz s?uszn??, – odpowiedzia? Oktawjusz, chwytaj?c z rado?ci? to pozwolenie zaniechania wszelkiej pracy.

I porwawszy kapelusze, szybko zbieg? ze schod?w i znalaz? si? na ulicy. Zaledwie uszed? dziesi?? krok?w, zatrzyma? si? przy gazowej latarni i odczyta? list ojca. Chcia? si? upewni?, ?e nie marzy.

– P?? miljarða! p?? miljarða! – powtarza?. – To znaczy przynajmniej dwadzie?cia milion?w dochodu! Gdyby ojciec da? mi tylko jeden milion, jako pensj?, tylko p?? miliona, tylko ?wier?, to jeszcze b?d? bardzo szcz??liwy! Tak wiele robi? mo?na, maj?c pieni?dze! Jestem pewien, ?e potrafi? ich dobrze u?y?. Nie jestem g?upcem. Kto by? przyj?ty do Politechniki!? W dodatku tytu?? Potrafi? go nosi?!

Przechodz?c ko?o magazyn?w, przypatrywa? si? sobie, w zwierciadlanych szybach wystawowych.

– B?d? mia? pa?ac, konie! – Marceli b?dzie mia? tak?e konie. Oczywi?cie, je?eli ja jestem bogaty, to tak, jakby on sam mia? pieni?dze. A jak to w por? przysz?o!? P?? miljarða! Baronet!? To zabawne; teraz kiedy si? sta?o, zdaje mi si?, ?e spodziewa?em si? tego. Przeczuwa?em, ?e nie b?d? wiecznie ?l?cza? nad ksi??kami i rysunkami. B?d? co b?d? ?wietny sen!

Snuj?c s?odkie projekty, Oktawjusz posuwa? si? ulic? Rivoli. Przeszed? pola Elizejskie, min?? ulic? Royal i wkroczy? na bulwar. Na pi?kne wystawy patrza? kiedy? z oboj?tno?ci?, jako na rzeczy b?ahe i nie maj?ce znaczenia dla niego. Teraz zatrzyma? si? przed niemi i z uczuciem ?ywej rado?ci pomy?la?, ?e wszystkie te skarby nale?a?yby do niego, gdyby tego zapragn??.

– Dla mnie, – m?wi? sobie, – prz?dki Holandji kr?c? swoje wrzeciona; fabryki Ellboeuf tkaj?

najmi?ksze sukna; zegarmistrze robi? swoje chronometry; dla mnie ?yrandole w operze snuj? kaskady ?wiate?, dla mnie gra muzyka i ?piewaj? soli?ci! Dla mnie w mane?ach uje?d?aj? wierzchowce czystej krwi, dla mnie o?wietlaj? Kawiarni? Angielsk?. Pary? nale?y do mnie!?. Wszystko dla mnie!?. Mo?e b?d? podr??owa?? Mo?e zwiedz? swoje posiad?o?ci w Indjach?? Mo?e kiedy?, kiedy? zechce mi si? pagody, z bonzami i b??kami z ko?ci s?oniowej. B?d? polowa? na tygrysy!?. A pi?kna bro?!?. A ?liczna ??d?!? ??d?? nie! pi?kny i dobry parowy jacht, kt?ry zawiezie mnie, gdzie zechc? i b?dzie zatrzymywa? si? lub p?yn??, gdzie mi si? podoba!?. A propos, mam zawiadomi? o tem wszystkim matk?. Mo?e pojecha? do Douai!?. Ale Politechnika! Och! Politechnika mo?e si? obejdzie bez niej!?. Ale Marceli! trzeba go zawiadomi?. Poszl? mu depesz?. Zrozumia?e, ?e w takiej okoliczno?ci pilno mi zobaczy? si? z matk? i siostr?.

Oktawjusz wszed? do biura pocztowego i zawiadomi? swego przyjaciela, ?e wyje?d?a i ?e wr?ci za dwa dni. Potem zawo?a? dorok? i kaza? si? zawie?? na dworzec p??nocy.

Gdy tylko znalaz? si? w wagonie, znowu zacz?? snu? swoje marzenia.

O drugiej po p??nocy dzwoni? ju? z ca?ej si?y do ojcowskiego domu i poruszy? tem ca?? spokojn? dzielnic? Aubettes.

– Kto zachorowa?? – pyta?y si? kumoszki, rozmawiaj?c z sob? przez okna.

– Niema doktora w domu! – zawo?a?a stara s?uga z okienka na ostatniem pi?trze.

– To ja Oktawjusz!?. Otw?rz mi Franciszko!

W dziesi?? minut potem Oktawjusz wszed? wreszcie do domu. Matka i siostra jego, Joanna, w?o? ywszy napr?dce szlafroczki zbieg?y do jadalni pytaj?c niespokojnie, co znacz? te niespodziewane odwiedziny.

List doktora, g?o?no odczytany, wyja?ni? tajemnic?.

Pani Sarrasin, ol?niona na chwil?, u?cisza?a, p?acz?c z rado?ci, syna i c?rk?. Zdawa?o jej si?, ?e ?wiat do nich nale?e? b?dzie i ?e nieszcz??cie nigdy nie dotknie ludzi, posiadaj?cych kilka milion?w. Jednak?e kobiety ?atwiej, ni? m??czy?ni oswajaj? si? z wielkimi zmianami losu. Pani Sarrasin odczyta?a list m??a, pomy?la?a sobie, ?e w?a?ciwie do niego nale?y kierowanie, tak jej w?asnym ?yciem, jak i ?yciem dzieci i spok?j wr?ci? do jej serca. Co do Joanny, ta cieszy?a si? rado?ci? matki i brata; ale wyobra?nia trzynastolatki nie roi?a wi?kszego szcz??cia nad posiadanie ma?ego, skromnego domku, w kt?rym p?dzi?oby si? beztroski ?ywot w?r?d zabaw i pieszczot rodzicielskich. Nie bardzo rozumia?a jakim sposobem kilka paczek banknot?w, mo?e zmieni? ?ycie i przypuszczenie to nie niepokoi?o jej, ani na chwil?.

Pani Sarrasin, m?odo po?lubiona cz?owiekowi ca?kowicie oddanemu nauce, szanowa?a zapatrywania m??a, kt?rego bardzo kocha?a, niezbyt go jednak rozumiej?c. Nie mog?c dzieli? szcz??cia, jakie umi?owana nauka dawa?a doktorowi Sarrasinowi, czu?a si? niekiedy osamotnion? i wszystkie wolne chwile po?wi?ca?a dzieciom. Marzy?a o ?wietnej przysz?o?ci dla nich. S?dzi?a, ?e Oktawjusz zrobi ol?niewaj?c? karjer?.

Od czasu, gdy wstąpił do Politechniki, skromna ta uczelnia urosła w jej oczach do rozmiarów prawdziwej potęgi naukowej, produkującej nadludzi. Niepokoiła ją jedynie myśl, że niewielkie fundusze, które rozporządza doktor Sarrasin, mogą jeżeli nie przeszkodzić, to w każdym razie utrudnić świetną karierę syna i zaszkodzić dobremu zamysłowi córki. Z listu matki wywnioskowała, że obawy te zostały raz na zawsze usunięte. Czuła się więc zupełnie zadowolona i nieomal szczęśliwą z tego obrotu rzeczy.

Matka i syn spędzili całą noc na rozmowie i tworzeniu projektu; tymczasem Joanna, zadowolona z teraźniejszości, spokojna o przyszłość zasnęła w fotelu.

W chwili, gdy i oni mieli się już udać na spoczynek, pani Sarrasin rzekła do syna:

– Nie mówisz o Marcelim. Czy nie zawiadomisz go o liście ojca? Co on na to?

– Och, – odparł Oktawjusz, – zna mama Marcelego! To więcej niż filozof, to prawdziwy stoik! Zdaje się, że myślał o olbrzymim spadku przeraża go trochę. O ojca jest spokojny, gdy wierzy w jego zdrowy rozsądek i wiedzę, ale obawia się, żeby nam nie pomieszało się w głowie. Nie taki zupełnie, że wolałby, żebyśmy dostali mniejszą fortunę, taką naprzykrad, która mogłaby przynieść jakie dwadzieścia tysięcy ludwików rocznego dochodu?

– Może Marceli ma słuszną, – powiedziała pani Sarrasin, patrząc na syna. – Nagła fortuna może być bardzo niebezpieczna dla pewnych charakterów.

W tej właśnie chwili obudziła się Joanna. Słysząc ostatnie słowa matki, odezwała się przecierając oczy:

– Pamięta mama, co to mama mówiła kiedyś, że Marceli ma zawsze rację? Ja tam wierzę Marcelemu.

I pocałowałszy matkę odeszła do swego pokoju.

Rozdział III

Kronika.

Doktor Sarrasin przybył na czwarte posiedzenie Kongresu Hygieny. Już w przejściu zauważył, że wszyscy koledzy przyjmują go z oznakami niezwykłego szacunku. Szlachetny lord Glandover, kawaler orderu Podwiązki, przewodniczący zgromadzenia, zaledwie dostrzegając dotąd obecność francuskiego doktora.

Lord ten, była to wspaniała postać, której rola polegała na otwieraniu i zamykaniu posiedzeń i na mechanicznym udzielaniu głosu mówcom. List mówcy przed nim usunął sekretarz. Prawą ręką trzymał zwykle za kłopotliwej marynarki – nie dlatego, że kiedyś spadł z konia – lecz jedynie dlatego, że widział w podobnej postawie kilka posągów zasłanych młotem w stanie.

Błada i starannie wygolona twarz, upstrzona czerwonymi plamami, oraz peruka, ułożona w pretensjonalny czub nad pustym najwidoczniej czołem, uzupełniały nadto i niezmiernie sztywną postać. Porusza się lord Glandover tylko cała figurą, jakby był z drzewa lub kartonu. Oczywiście obraca się w oczodolach ruchem urywanym, jak u lalki lub manekina.

Gdy doktor Sarrasin został mu przedstawiony po raz pierwszy, przewodniczący Kongresu Hygieny, ukłonił mu się protekcjonalnie, jakby chciał powiedzieć:

– Dzień dobrym, panie Zero! A więc to dobrodziej, pragnąc zarobić na swe mizerne życie, wyrabia i opisuje maszyny do liczenia krwi! Muszę mieć naprawdę dobry wzrok, jeżeli spostrzegam istotę stojącą na tak niskim szczeblu towarzyskim! Usiódł w cieniu mojej jaśnie pańskiej osoby; udzielam askawego zezwolenia.

Tym razem lord Glandover powitał doktora najmielszym uśmiechem i posunął swą grzeczność do tego stopnia, że wskazał mu próżne krzesło, stojące po jego prawicy. Jednocześnie, wszyscy członkowie Kongresu powstali przed doktorem.

Zdziwiony tym wyjątkowo pochlebnym przyjęciem doktor Sarrasin zajął wskazane sobie miejsce. Poczłkowo przypuszcza, że koledzy, po dłuższym zastanowieniu, uznali epokowość tego wynalazku.

Ale wszystkie te zdziwienia wynalazcy pierzchy, gdy lord Glandover, zginając się we dwoje, tak gwałtownie skrzywienie pleców groziło Jego Excelencji, zwichniłciem kręgosłupa, rzekł pochylając się do ucha doktora:

– Dowiaduj się, że odziedziczył pan znaczny posiadłość? Mówiono mi, że wart pan jest dwadzieścia jeden milionów funtów szterlingów? Czy to prawda?

Lord Glandover, był, jak się zdaje, mocno zmartwiony, że tak lekko traktował domniemanego wścziela tej okropnej sumy. Cała jego postawa mówiła:

– Czemu pan mnie nie uprzedził o tym? Doprawdy, to bardzo nieładnie z pańskiej strony! Nara-

a? ludzi na podobne omy?ki!

Dokt?r Sarrasin, kt?remu si? zdawa?o, ?e jego skromna osoba, nie podnios?a si? w cenie, ani o grosz od czasu poprzednich posiedze?, zadawa? sobie pytanie, jakim sposobem wiadomo?? o spadku zd??a?a si? roznie?? lotem b?yskawicy, gdy s?siad jego z prawej strony, dokt?r Ovidius z Berlina, rzek? u?miechaj?c si? p?asko i fa?szywie:

– S?ysza?em, ?e kolega zdystansowa? Morgana, Daily Telegraph pisze o tem cuda. Winszuj? z ca?ego serca!

I poda? mu numer dziennika z dat? tego? dnia. W kronice og?lnej znajdowa? si? ust?p, po kt?rego stylu, ?atwo si? mo?na by?o domy?le? autora.

Monstrualny spadek.

Dzi?ki umiej?tnym poszukiwaniom p. p. Billows Green i Sharp, solicitors, Southampton row 93, London, zosta? wreszcie odnaleziony prawny spadkobierca wakuj?cej sukcesji po Begumie Gokool. Szcz??liwym w?a?cicielem dwudziestu milion?w funt?w szterling?w, z?o?onych obecnie w depozycie Banku Angielskiego, jest pewien dokt?r francuski, nazwiskiem Sarrasin, kt?rego pi?kny memorja?, odczytany na Kongresie Hygieny, ocenili?my na tem miejscu przed trzema dniami. Poszukiwania spadkobiercy poch?on??y moc trud?w, a mr. Sharp, kt?ry podj?? si? tego trudnego zadania, dozna? tylu przyg?d, ?e mo?naby z nich stworzy? sensacyjn? powie??. Lecz koniec wie?czy dzie?o. I oto panu Sharpowi udaje si?, gdy zw?tpi? ju? prawie o powodzeniu, dowie?? z najwi?ksz? pewno?ci?, ?e jedynym ?yj?cym potomkiem Jana Jak?ba Lang?vola, baroneta drugiego ma??onka Begumy Gokool, jest dokt?r Sarrasin, rodem, jak si? zdaje, z ma?ego miasteczka francuskiego Bar-le-Duc. Pozostaj? do spe?nienia tylko proste formalno?ci. Podanie o wprowadzenie w posiadanie zosta?o ju? z?o?one do s?du. Dziwnym zbiegiem okoliczno?ci skarby gromadzone przez drugi szereg rad??w indyjskich, sta?y si?, wraz z tytu?em baroneta, udzia?em skromnego uczonego francuskiego. Fortuna mog?a si? okaza? mniej inteligentn?; mo?emy sobie powinszowa?, ?e tak znaczny kapita? dostaje si? do r?k, kt?re potrafi? z niego zrobi? dobry u?ytek.

Dokt?r Sarrasin odczu? szczeg?ln? przykro??, dowiaduj?c si?, ?e nowina o spadku zosta?a ju? rozg?oszon?. Maj?c do?wiadczenie w tych sprawach przewidywa?, ?e nie daj? mu teraz spokoju r?? ni natr?ci i ja?mu?nicy, a pozatem upokarza?o go znaczenie, jakie nadawano spadkowi. Zdawa?o mu si?, ?e wielka cyfra tego kapita?u uczyni?a jego w?asn? osob? mniejsz? i mniej znacz?c?. Jego prace, jego zas?ugi osobiste – czu? to g??boko – ton??y w oceanie z?ota i srebra nawet w oczach koleg?w. Nie widzieli w nim ju? niestrudzonego badacza, o wybitnej inteligencji, ani bystrego wynalazcy, ale poprostu p?? miljarda. Gdyby by? dzikim hotentotem, jednym z najnikczemniejszych okaz?w ludzko? ci, nie za? jednym z wy?szych ich przedstawicieli, warto?? jego by?aby ta sama. Lord Glandover dobrze powiedzia?; mia? odt?d warto?? dwudziestu milion?w, ni mniej ni wi?cej.

My?l ta wzbudza?a w nim wstr?t i kongres, kt?ry przypatrywa? si? z ciekawo?ci? jak wygl?da w a?ciciel p?? miljarda, ze zdziwieniem zauwa?y?, ?e twarz jego pokry?a si? smutkiem.

By?o to jednak przemijaj?ce zjawisko. Natychmiast prawie wypogodzi? si?; przypomnia? sobie wielki cel, kt?remu postanowi? po?wi?ci? t? niespodzian? fortun?. Czeka? zanim dokt?r Stevenson z

Glaskowa dokończy czytania memoriału o Wychowaniu młodych idjotów, poczem poprosi o głos.

Lord Glandover dał mu go natychmiast, nawet przed doktorem Ovidiusem. Dałby mu go nawet, gdyby cały kongres oparł się temu, gdyby wszyscy uczeni Europy wystąpili razem przeciwko temu dowodowi fałszyki. Brzmiało to wyrażenie w tonie głosu prezesa.

– Panowie! – rzekł doktor Sarrasin – chciałem zaczekać jeszcze kilka dni, zanim was zawiadomię, o dziwnym losie, który mi się spotkał i o szczególnych następstwach, jakie może to mieć dla nauki. Ale, ponieważ wypadek rozgłosił się już, nie widzę potrzeby ukrywania prawdy. Tak panowie, suma kilkuset milionów, która ona obecnie w Banku Angielskim, prawnie spada na mnie. Czy potrzebuję wam mówić, że fortunę tę uważam za powierzony sobie tylko na korzyść nauki! (Głębokie wrazenie). Nie do mnie z prawa należy ten kapitał, jest on własnością ludzkości, postępu! (Wykrzykniki, żywiołowe oklaski. Zelektryzowany temi słowami kongres powstaje). Nie chwalcie mnie panowie. Nie znam ani jednego uczonego, godnego tej nazwy, który na moim miejscu nie zrobiłby tego samego. Może niektórzy z panów pomyślą, że tak jak w wielu innych aktach woli ludzkiej i tutaj jest więcej miłośnicy własnej niż poświęcenia. (Nie! nie!). Ale mniejsza o to! Patrzmy tylko na skutki. Oświadczam więc stanowczo i bez żadnego zastrzeżenia, że owe pięć miliardów, które przypadek składa w moje ręce, stanowi własność nauki. Czy chcecie na wzór parlamentu uchwalić, na co ma być użyta ta suma? Nie ufam w żadnym stopniu, nie chciałbym rozporządzać nią despotycznie. Czyńcie was sędziami w tej sprawie; wskażecie sami jaki najlepszy użytek mamy zrobić z tego skarbu! (Brawo! Radosne okrzyki. Ogólny szacunek.)

Cały Kongres powstał. Niektórzy członkowie, uniesieni zapachem, powalili na stoły. Profesor Turnbull z Glaskowa był bliski apopleksji. Doktor Cigogna z Neapolu poczerwieniał jak burak i brakło mu tchu. Jeden tylko lord Glandover zachował, jak przystało na wielkiego męża, spokój i rezerwę. Pozatem był przekonany, że doktor Sarrasin żartuje i że nie ma zamiaru wykonywania tego szalonego projektu.

– Jeśli pozwolicie mi, panowie – mówić dalej Sarrasin, gdy uciszono się trochę – jeśli pozwolicie mi, panowie, podać plan, który łatwo można rozwinąć i wydoskonalić, to powiem panom co mam na myśli.

Kongres, odzyskawszy wreszcie zimną krew, przysłuchiwał się z wielką uwagą.

– Panowie, wśród przyczyn powodujących choroby, śmierć i zmieranie, jest jedna, mająca, jak sądzę, bardzo wielkie znaczenie; chcę mówić o opłakanych warunkach higienicznych, w jakich żyją całe tłumy ludzi, spędza swe życie. Postępujący proces urbanizacji powoduje napływ do miast tłumów, które zajmują w nich mieszkania, pozbawione czystego powietrza i światła, tych dwóch niezbędnych czynników życia. To nagromadzenie ludności staje się niekiedy prawdziwym ogniskiem zarazy. Ci którzy zmierają tam ominie, ponoszą szkodę na zdrowiu; w ten sposób zmniejsza się zdolność do pracy wielu jednostek, na czym traci społeczeństwo. Dlaczego nie mielibyśmy spróbować przekonać ludzkość przy pomocy przykładu, eksperymentu, co znaczy higiena w życiu codziennym? Dlaczego nie mielibyśmy, poświęcając wszystkie siły naszej wyobraźni, nakreślić plan wzorowego miasta, trzymając się przytem ściśle naukowych danych? (Tak, tak! To prawda!) Dlaczego nie mielibyśmy poświęcić kapitału, który posiadamy, na budowę miasta, które stanowiłoby dla świata, praktyczną naukę? (Tak, tak! – żywiołowe oklaski).

Członkowie kongresu, jakgdyby dotknęli zarzuciłymi wzajemnie za rękę, chwycili doktora Sarrasina, podnieśli go w górę i w tryumfie obnieśli dokoła sali.

– Panowie, – rzekł doktor, powracający na katedrę, – miasto zdrowia i dobrobytu, może za kilka miesięcy stać się rzeczywistością; gdy plan nasz zostanie zrealizowany, wezwiemy wszystkie ludy by przyszły obejrzeć gotowe już dzieło; rozpowszechnimy we wszystkich językach plan jego i opis i zaprosimy do niego wszystkie uczciwe rodziny, które ubóstwo i brak pracy wygnają z przeludnionych krajów. Przygarniemy również rodziny – nie dziwcie się, że myśli o tym, – które musiały opuścić ojczyznę, wskutek przewrotów politycznych lub okupacji cudzoziemskiej. Ludzie ci, zmuszeni do okrutnej konieczności tużactwa, znajdą u nas możliwość wykorzystania swych sił i zastosowania zdolności umysłowych; przyniosą one nam z sobą bogactwa moralne tysiąc razy cenniejsze od kopalni złota i diamentów. Wybudujemy w naszym mieście obszerną szkołę, gdzie młodzież wychowana podług zasad rozwijających i równoważących wszystkie władze moralne, fizyczne i umysłowe, przygotowuje dla ludzkości silne pokolenia na przyszłość! –

Niepodobna opisać szalonego wrzasku, jaki nastąpił po tych słowach. Oklaski, brawa, wykrzykniki, trwały więcej niż kwadrans.

Zaledwie doktor Sarrasin usiadł, gdy lord Glandover, pochylając się ku niemu, szepnął mu na ucho, mrugając oczyma:

– Dobra spekulacja! Liczy pan na dochody z monopolu, ha? Interes pewny, byle tylko był dobrze administrowany i byle na jego czele stali doświadczeni ludzie. Wszyscy sąbaci i rekowalescenci będą chcieli mieszkać we wzorowym mieście. Spodziewam się, że zachowa pan dla mnie jakiś ładny plac, prawda?

Biedny doktor, dotknęty do głębi serca tem uporczywym przypisywaniem mu chciwości, chciał wkońcu odpowiedzieć szlachetnemu lordowi, gdy usłyszał, że wiceprezes stawia wniosek, o wyrażenie przez aklamację podziękowania dla autora projektu, wniesionego w sprawie na zgromadzenie.

– Będzie to – mówi wiceprezes – wieczny honor dla kongresu w Brighton, że tak szczytna myśl powstała w jego łonie. Do powzięcia jej trzeba było wielkiego rozumu, wielkiego serca i wielkiej hojności. A jednak teraz gdy myśl powstała, wydaje się niemal dziwne, że nie wprowadzono jej dotychczas w czyn. Ile milionów bezmyślnie wyrzuconych na wojnę, ile kapitałów użytych na miesne spekulacje, można było poświęcić na podobny prób!

Kończąc swe przemówienie mówca zaproponował, by jako hołd oddany założycielowi nowego miasta uczczono je nazwą Sarrasina.

Wniosek jego przyjęto przez aklamację, ale musiano go cofnąć na życzenie samego doktora Sarrasina.

– Nie rzekł doktor – nazwisko moje nie ma z tem żadnego związku. Nie powinniśmy również przystrajać przyszłego miasta w jedną z owych nazw, które pod pozorem greckiego lub łacińskiego pochodzenia, nadają rzeczy lub istotcie, co je nosi, cech pedanterji. Będzie to miasto Dobrobytu, ale ja proszę, by imię jego było imieniem mojej ojczyzny, byśmy je nazwali Frankopolis.

Frankopolis by?o ju? za?o?one w s?owach; dzi?ki protok??owi, kt?ry mia? zamkn?? posiedzenie, mia?o te? istnie? na papierze. Niezw?ocznie przyst?piono do dyskusji nad g??wnymi artyku?ami projektu.

Pozostawmy kongres przy tem praktycznem zaj?ciu, tak r??ni?cem si? od czynno?ci zaprz?taj?cych zwykle podobne zgromadzenia i pod??my krok w krok za losem kroniki, og?oszonej przez Daily Telegraph.

Od 29 pa?dziernika wiecz?r, kronika ta dos?ownie powt?rzona przez dzienniki angielskie, zacz?? a si? pokazywa? we wszystkich prowincjach Zjednoczonego Kr?lestwa.

Pojawiwszy si? w Gazette Hull, zajmowa?a g?rn? cz??? drugiej stronicy w jednym z numer?w tego skromnego dzienniczka, kt?ry Mary Queen, trzymasztowiec ob?adowany w?g?em, przywi?z? 1 listopada do Rotterdamu.

Natychmiast wyci?ta zr?cznemi no?yczkami g??wnego redaktora i jedyne? sekretarza dziennika Echo nederlandois, i przet?umaczona na j?zyk Cuyp?a i Polter?a, kronika przyby?a 2 listopada na skrzyd?ach pary do Bremer Nachrichten. Tam przebrana tylko w nowe odzienie, ale w gruncie rzeczy wcale niezmi?niona ukaza?a si? w j?zyku niemieckim. Musimy jednak zaznaczy?, ?e teuto?ski dziennikarz, zatytu?owawszy t?umaczenie wyrazami: Eine ?bergrosse Erbschaft, nie ba? si? u?y? zr?cznego wybiegu i nadu?ywaj?c ?atwowierno?ci swoich czytelnik?w, doda? w nawiasie: Specjalna korespondencja z Brighton.

B?d? co b?d?, anegdota prawem przyw?aszczenia zamieniona w niemieck?, przyby?a do redakcji okaza?ej Nord-Zeitung, kt?ra umie?ci?a j? w drugiej kolumnie trzeciej stronicy, opu?ciwszy tylko tytu?, nadto szarlata?ski, dla tak powa?nego organu.

I tak przeszed?szy wszystkie koleje kronika dosta?a si? wreszcie 3 listopada wieczorem w ogromne r?ce grubego saskiego kamerdynera, a z nim wst?pi?a do gabinetu pana Schultze, profesora Uniwersytetu w Jenie.

Osobisto?? ta mimo wysokiego stanowiska, jakie zajmowa?a, nie mia?a w sobie, przynajmniej na pierwszy rzut oka nic nadzwyczajnego.

By? to m??czyzna czterdziestopi?cio lub sze?cioletni, dosy? wysokiego wzrostu, mia? szerokie ramiona, siln? budow? cia?a, czo?o by?o ?yse, a troch? w?os?w kt?re pozosta?y na tyle g?owy i skroniach, przypomina?y barw? lniano-blond. B?ado niebieskie oczy patrzy?y nieruchomo i nigdy nie zdradza?y powzi?tej my?li. Z oczu tych nie promieniowa?o najmniejsze ?wiate?ko, a jednak spojrzenie ich niepokoi?o; przejmowa?o obaw?. Z poza w?skich ust, kt?rych g??wnem zaj?ciem musia?o by? liczenie s??w, jakie przez nie przej?? mog?y, ukazywa? si? podw?jny szereg straszliwych z?b?w, z tych co nigdy nie wypuszczaj? raz pochwyconej zdobyczy. Wszystko to sk?ada?o si? na ca?o??, dosy? niepokoj?c? i nieprzyjemn? dla innych; profesor by? jednak zadowolony ze swego wygl?du.

S?ysz?c kroki s?u??cego, podni?s? oczy na kominek, popatrzy? na bardzo ?adny zegar stoj?cy na nim, kt?ry zdawa? si? nie na swoim miejscu, mi?dzy otaczaj?cemi meblami i rzek? g?osem raczej

sztynym, ni? ostrym:

– Si?dma za pi?? minut! Gazeta przychodzi o p?? do si?dmej. Przynosisz mi j? dzisiaj o dwadzie?cia minut p??niej ni? nale?a?o. Je?li jeszcze raz po?o?ysz gazet? na moim stole po p?? do si?dmej, wyrzuc? ci? z miejsca.

– Czy b?dzie pan teraz jad? obiad? – spyta? s?u??cy odchodz?c.

– Mamy teraz si?dm? za pi??, a ja jadam o si?dmej! Powiniene? o tem wiedzie?, skoro s?u?ysz u mnie od trzech tygodni. Zapami?taj sobie, ?e nigdy nie zmieniam raz postanowionych godzin i ?e nigdy nie powtarzam rozkaz?w.

Profesor po?o?y? dziennik na stole i zabra? si? do pisania memorja?u, kt?ry mia? si? ukaza? nazajutrz w Annalen f?r Physiologie. Nie pope?nimy ?adnej niedelikatno?ci, wymieniaj?c tytu? tego memorja?u:

Dlaczego wszyscy francuzi dotkli?ci s? dziedzicznym zwyrodnieniem?

Podczas gdy profesor zajmowa? si? prac? swoj?, s?u??cy wni?s? do pokoju obiad, z?o?ony z ogromnego p??miska kie?basy z kapust? i olbrzymiego kufla piwa; pocichu ustawi? go na stoliku ko?o kominka i wymkn?? si? z pokoju. Profesor po?o?y? pi?ro i zabra? si? do jedzenia, kt?re robi?o mu widocznie wielk? przyjemno??. wi?ksz?, ni?by si? mo?na by?o spodziewa? po tak powa?nym cz?owieku. Potem zadzwoni? i za??da? kawy, wreszcie zapali? wielk? porcelanow? fajk? i wr?ci? do pracy.

By?o blisko p??nocy, kiedy profesor zapisa? ostatni? kartk? i przeszed? do sypialnego pokoju, zamierzaj?c uda? si? na dobrze zas?u?ony spoczynek. Dopiero znalaz?szy si? w ???ku, rozerwa? opask? dziennika i zabra? si? do czytania. W chwili, kiedy ju? sen zacz?? morzy? profesora, uwag? jego ?ci?gn??o imi? cudzoziemskie ?Lang?vol?, wymienione w kronice opisuj?cej olbrzymi spadek. Ale napr??no usi?owa? przypomnie? sobie, gdzie i kiedy s?ysza? to nazwisko. Straciwszy kilka minut na daremne odgrzebywanie dawnych wspomnie?, rzuci? dziennik i zadmuchn?? ?wiec?. Wkr?tce rozleg?o si? chrapanie.

Dzi?ki zjawisku fizjologicznemu, kt?re dokt?r Schulze sam bada? ju? kiedy?, i szczeg??owo opisa?, imi? Lang?vol prze?adowa?o go nawet we ?nie. Tak, ?e nazajutrz zrana budz?c si? powtarza? je jeszcze machinalnie.

Nagle, w chwili kiedy mia? spojrze? na zegarek, odnalezione wspomnienie o?wieci?o go niespodzianie nakszta?t b?yskawicy. Porwawszy dziennik le??cy u st?p ???ka, odczyta? kilka razy z rz?du ust?p kt?reg?o dnia wczorajszego oma?o nie omin??; przesuwa? r?k? po czole, jakgdyby chc?c skupi? my?li. Widocznie rozja?ni?o mu si? w g?owie, bo nie w?o?ywszy nawet szlafroka w wielkie bukiety, pobieg? do kominka, zdj?? ma?y portret w miniaturze zawieszony obok zwierciad?a i odwr?ciwszy go otar? r?kawem zakurzony papier, znajduj?cy si? po drugiej stronie fotografii.

Nie omyli? si?. Tu? za portretem znajdowa?o si? nazwisko, wypisane ???tawym atramentem; p?? wieku czasu zatar?o prawie napis:

Therese Schultze, geborene Lang?vol.

Tego? wieczora profesor wyruszy? poci?giem, id?cym wprost do Londynu.

Rozdzia? IV

Po po?owie.

Dnia 6 listopada o si?dmej godzinie zrana, profesor Schultze przyby? na dworzec Charing-Cross. W po?udnie zjawi? si? pod nr. 93 przy Southampton Row, w wielkiej sali przedzielonej drewnian? przegrod? na dwie cz??ci: dla pp. depedent?w i publiczno?ci; by?o tam sze?? krzese?ek, czarny st??, mn?stwo zielonych tek i dykjonarz adres?w. Dwaj m?odzie?cy, siedz?c pod sto?em, spokojnie spo?ywali ser z chlebem, zwyk?e ?niadanie we wszystkich biurach prawnych.

– Czy firma Billows, Green i Sharp? – spyta? profesor takim samym tonem, jakim prosi? o ?niadanie.

– Tak, panie. – Mr. Sharp jest w swoim gabinecie. Jak si? pan nazywa? Interes pa?ski?

– Profesor Schultze z Jeny, sprawa Lang?vol.

M?ody dependent mrukn?? to obja?nienie do telefonu i us?ysza? odpowied?, kt?rej jednak nie powt?rzy?. Brzmia?a ona mniej wi?cej:

?Do djab?a! Sprawa Lang?vol! Jeszcze jeden warjat, kt?remu si? zdaje, ?e ma prawo do spadku!

Odpowied? m?odego depedenta:

?Jegomo?? o powierzchowno?ci budz?cej szacunek. Nie ma przyjemnego wyrazu twarzy.

Znowu wykrzyknik:

?I przybywa z Niemiec??

?Tak m?wi przynajmniej?.

Westchnienie przebieg?o przez tub?:

?Niech przyjdzie?.

– Drugie pi?tro, drzwi na prawo – rzek? g?o?no dependent, wskazuj?c przej?cie wewn?trzne.

Profesor uda? si? wg??b korytarza, wszed? na drugie pi?tro i znalaz? si? przed drzwiami, na kt?rych wyryto czarnymi literami nazwisko Mr. Sharp?a.

Jegomo?? ten siedzia? przed wielkiem mahoniowem biurkiem w bardzo pospolitem gabinecie o pil?niowym dywanie, obitych sk?r? krzes?ach i wielkich otwartych tekach.

Podni?s? si? z fotelu i pod?ug grzecznego zwyczaju biuralist?w zacz?? przegl?da? papiery dla pokazania, ?e jest mocno zaj?ty. Trwa?o to z pi?? minut; wreszcie zwracaj?c si? do profesora Schultze, kt?ry usiad? ko?o niego, rzek?:

– Prosz? powiedzie? o co chodzi. Mam bardzo ma?o czasu i mog? po?wi?ci? panu zaledwie kilka minut.

Profesor u?miechn?? si?, jakby okazuj?c, ?e ma?o go obchodzi ten spos?b przyj?cia.

– Gdy dowie si? pan, co mnie tu sprowadza, ofiaruje mi pan napewno kilka minut nadprogram.

– Prosz? m?wi?.

– Chodzi mi o spadek po Janie Jak?ba Lang?vol, z Bar-le-Duc. Jestem wnukiem jego starszej siostry, Teresy Lang?vol, po?lubionej w r. 1792 mojemu dziadkowi Marcinowi Schultze, chirurgowi w wojsku brun?wickiem, kt?ry umar? w r. 1814. Posiadam trzy listy mego wujecznego dziadka, pisane do jego siostry i wiele pamit?kowych przedmiot?w z czasu bytno?ci w domu, po bitwie pod Jen?, nie m?wi?c ju? o autentycznych dokumentach, kt?re po?wiadczaj? m?j rodow?d.

Nie b?d? szczeg??owo powtarza? obja?nienia, kt?re profesor Schultze da? Mr. Sharpowi. Wbrew zwyczajowi by? on tym razem prawie rozwlek?y. Prawda, ?e m?wi? o przedmiocie, w kt?rym zwykle by? niewyczerpany. Chodzi?o mu bowiem o wykazanie Mr. Sharpowi, s?uszno?ci tezy, ?e rasa germa?ska winna wzi?? g?r? nad wszystkimi innymi rasami. Je?eli zamierza? upomnie? si? o spadek, to dlatego szczeg?lnie, by wyrwa? go z r?k francuskich, kt?re mog?y ze? zrobi? tylko niedorzeczny u?ytek. W przeciwniku swoim nienawidzi? nadewszystko jego narodowo??. Gdyby chodzi?o o Niemca, nie nastawa?by tak z pewno?ci? i t. d. i t. d., ale my?l, ?e jaki? mniemany uczony francuski m?g?by u?y? tego ogromnego kapita?u na cele idei francuskich; my?l ta niepokoi?a go ogromnie i wk?ada?a na niego obowi?zek dochodzenia swoich praw chocia?by na przeb?j.

Na pierwsze wejrzenie nie by?o widocznego zwi?zku mi?dzy tem zboczeniem politycznym, a bogatym spadkiem. Ale Mr. Sharp, nawyk?y do interes?w, ?atwo dostrzeg?, stosunek jaki zachodzi? mi?dzy narodowymi d??eniami rasy germa?skiej wog?le, a d??eniami Schultze?a wzgl?dem spadku po Begumie. W gruncie rzeczy nale?a?y one do jednej kategorii.

Zreszt? niepodobna by?o w?tpi?. By?o w tem pewne upokorzenie dla profesora uniwersytetu w Jenie, ?e ??czy?y go stosunki pokrewie?stwa z ras? ni?sz?. Nie podlega?o wszak?e ?adnej w?tpliwo?ci, ?e babka francuzka by?a odpowiedzialn? po cz??ci za wytworzenie tego niezr?wnanego okazu ludzko?ci. Tylko ?e pokrewie?stwo to b?d?ce drugiego stopnia dawa?o mu te? prawo drugorz?dne, ni?sze od praw doktora Sarrasin?a do tego legendarnego spadku.

Solicitor widzia? jednak mo?no??, podtrzymania z pozorem prawno?ci pretensyj profesora, a w tej mo?no?ci dostrzeg? inn?, maj?c? zapewni? wielk? korzy?? sp??ce Billows, Green i Sharp; mo?no?? przeistoczenia sprawy Lang?vol, pi?knej ju? teraz, w spraw? znakomit?, stanowi?c? now?

edycy? Dickensowskiego ?Jarndyce contra Jarndyce?. Obraz stemplowego papieru, akt?w rozmaitych dokument?w przesun?? si? przed oczami prawnika. R?wnocze?nie pomys?la? o uk?adzie polubownym mi?dzy dwoma klientami, doprowadzonym do skutku przez niego, Sharpa, co przynios?oby mu tyle? honoru co zysku.

Przemy?lawszy to wszystko, zawiadomi? p. Schultze?a o prawach doktora Sarrasin?a, popar? je dowodami i da? do zrozumienia, ?e je?li Billows, Green i Sharp podejm? si? stara?, by pozorne prawa profesora, kt?re daje mu jego pokrewie?stwo z doktorem, przynios?y korzy??, to spodziewa? si? nale?y, ?e wysokie uczucie sprawiedliwo?ci, wrodzone wszystkim niemcom, ?atwo zgodzi si? na to, i? w takim razie Billows, Green i Sharp nab?d? praw innego wprawdzie rodzaju, ale wi?cej pewnych do wdzi?czno?ci pana Schultze?a.

Profesor poj?? doskonale ca?? logik? rozumowania mr. Sharpa. Zapewni?, ?e mo?e by? spokojny pod tym wzgl?dem, nic jednak wyra?nie nie okre?li?. Mr Sharp poprosi? profesora, o pozwolenie rozpatrzenia si? w jego sprawie i z wielkimi wzgl?dami odprowadzi? go a? do drzwi. Nie by?o ju? mowy o ?ci?le wyliczonych minutach, kt?re mu by?y poprzednio tak drogie.

Herr Schultze wyszed? prze?wiadczony, ?e nie ma ?adnego rzeczywistego prawa do spadku po Begumie; by? jednak przekonany, ?e walka pomi?dzy ras? germa?sk? i ?aci?sk?, musi si? sko?czy? na korzy?? rasy germa?skiej, byle tylko wzi?? si? dobrze do rzeczy.

Tymczasem solicitor postanowi? wybada? najpierw doktora Sarrasina. Depesza wys?ana niezw?ocznie do Brighton sprowadzi?a uczonego francuskiego tego? dnia oko?o godziny pi?tej do gabinetu prawnika.

Dokt?r Sarrasin wys?ucha? z wielkim spokojem wiadomo?ci o zg?oszeniu nowego kandydata do spadku; mr. Sharp by? tem nieomal zdziwiony. Na pierwsze s?owa mr. Sharp?a o?wiadczy?, ?e pami?ta? o tradycyjnie wspominanej babce, kt?r? wychowa?a pewna bogata i utytu?owana dama; z niewia?t? t? wyjecha?a z kraju, a wreszcie wysz?a zam?? w Niemczech. Nie zna? wszak?e ani nazwiska, ani rzeczywistego stopnia pokrewie?stwa tej babki.

Mr. Sharp uciek? si? do swych starannie ponumerowanych notatek i z zadowoleniem pokaza? je doktorowi.

By? w tem – mr. Sharp nie tai? tego – materia? do procesu, a procesy tego rodzaju mog? si? ci?gn?? bardzo d?ugo. Naturalnie, nie ma potrzeby opowiada? przeciwnikowi swej historii rodzinnej, kt?r? dokt?r Sarrasin zwierzy? swemu solicitorowi. Ale istnia?y listy Jana Jak?ba Lang?vola, pisane do siostry, o kt?rych m?wi? Herr Schultze i kt?re przemawia?y na jego korzy??. By? to dow?d niewielki wprawdzie, zupe?nie pozbawiony prawnego charakteru, zawsze jednak mia? pewne znaczenie. W trakcie przewodu s?dowego mog?y r?wnie? wyp?yn?? z zakurzonych archiw?w miejskich inne jeszcze dowody. Strona przeciwna, mog?a nawet w braku prawdziwych dokument?w uciec si? do ich sfa?szowania. Nale?a?o wszystko przewidzie?. Kto wie, czy w ?wietle nowych poszukiwa? owa Teresa Lang?vol i jej przedstawiciele, nie zyskaliby wi?kszych praw, ni? te, jakie posiada dokt?r Sarrasin?? W ka?dym razie mo?na przewidywa? d?ugie procesowanie si?, d?ugie dochodzenie prawdy i niepewne rozwi?zanie. Przy prawdopodobie?stwie znacznych zysk?w z obu stron utworzy?y si? zapewne dla ka?dej z nich towarzystwa komandytowe, maj?ce na celu ?o?enie

wielkich sum na koszt procesu i na wszelkie ?rodki, jakie mo?e zapewni? wymiar sprawiedliwo?ci. Podobny proces ci?gn?? si? nie tak dawno w s?dzie koronnym, trwa? osiemdziesi?t trzy lata i sko?czy? si? tylko dla braku fundusz?w, gdy? ca?y kapita? i odsetki zosta?y poch?oni?te przez koszt prowadzenia sprawy; ?ledztwa, komisje, zjazdy, procedury, trwa?yby bez ko?ca! Sprawa mog?a by? nierozstrzygni?t? i za lat dziesi??, a p?? miljarda drzema?oby tymczasem w banku. Dokt?r Sarrasin s?ucha? tej gadaniny i zapytywa? siebie, kiedy si? sko?czy. Chocia? nie bra? tego s?ysza? za ewangelj?, jednak wkrada? mu si? do duszy rodzaj zniech?cenia. Jak podr??nik, kt?ry stoj?c na pok?adzie okr?tu, widzi, ?e przysta?, do kt?rej pragn?? przybi?, oddala si?, staje si? mniej wyra?n?, a wreszcie znika, tak i on m?wi? sobie, ?e fortuna, dla kt?rej wynalaz? ju? u?ytek ulotni si? mo?e wko?cu i zniknie!

– Co mi pan radzi robi?? – spyta? solitora.

– Co robi?? Hm! Trudno to powiedzie?. Trudniej jeszcze znale?? rad?. Ale wszystko mo?e si? u?o?y?. On, Sharp, pewien by? tego. Sprawiedliwo?? angielska jest doskona?? sprawiedliwo?ci? – troch? za powolna, zgadza? si? na to – tak, stanowczo za powoln?, pede clauda? hm! hm!? ale tem pewniejsz?!? Niew?tpliwie, za kilka lat dokt?r Sarrasin dojdzie do spadku, je?li? hm? hm? prawa jego oka?? si? dostatecznymi.

Dokt?r wyszed? z gabinetu solitora z zachwian? ufno?ci? i przekonaniem, ?e albo musi si? wda? w niesko?czone procesy, albo wyrzec si? swego marzenia. My?l?c o swym pi?knym planie nie m?g? powstrzyma? si? od uczucia ?alu.

Tymczasem mr. Sharp wezwa? do siebie profesora Schultze?a, kt?ry zostawi? mu sw?j adres. O?wiadczy? mu, ?e dokt?r Sarrasin nie s?ysza? o ?adnej Teresie Lang?vol, zaprzecza? istnieniu niemieckiej ga??zi w rodzinie i stanowczo odrzuca? wszelk? ugod?. Je?li wi?c profesor wierzy w si?? swoich praw, nie pozostaje mu nic innego jak procesowa? si?. Mr. Sharp, kt?ry w tej sprawie by? najzupe?niej bezinteresownym i zajmowa? si? ni? przez prost? tylko ciekawo?? amatora, nie my?la? wcale odradza? mu tego. Czego m?g? pragn?? solitor, je?li nie procesu, dziesi?ciu proces?w, trzydziestu lat procesu, jak si? w?a?nie zanosio w tej sprawie? On, Sharp, nie by? osobi?cie zachwycony. Gdyby si? nie ba?, ?e profesor Schultze mo?e go pos?dzi? o nieszczero??, posun??by sw? bezinteresowno?? do tego stopnia, ?e wskaza?by mu jednego ze swych koleg?w, kt?ry m?g?by si? podj?? przedstawicielstwa jego interes?w. A wyb?r takiego cz?owieka by? wa?ny, z pewno?ci?. Karjera prawnicza sta?a si? w ostatnich czasach go?ci?cem, na kt?rym mno?yli si? awanturnicy i zboje. Przyznawa? to z rumie?cem na twarzy.

– Coby to kosztowa?o, gdyby dokt?r zgodzi? si? na ugod?? – spyta? profesor.

M?dry cz?owiek – s?owa nie mog?y go otumani?. B?d?c praktykiem, nie za? fantast?, szed? prosto do celu, nie trac?c czasu napr??no. Mr. Sharp zmiesza? si? troch? tym sposobem post?powania. Przedstawi? Herr Schultze?mu, ?e interesy nie id? tak pr?dko, ?e niepodobna przewidzie? ko?ca, skoro jest si? dopiero na pocz?tku; ?e chc?c doprowadzi? pana Sarrasina do ugody, trzeba troch? zwlec, by nie da? mu pozna?, ?e on Schultze, ju? teraz zgadza si? na uk?ady.

– Niech mi pan da woln? r?k? – zako?czy? – i polega na mnie, a odpowiadam, za wszystko.

– Ja r?wnie? – odpowiedzia? Schultze – lecz wola?bym wiedzie?, czego mam si? trzyma?.

Nie m?g? jednak wydoby? od Mr. Sharpa na jak? sum? solicitor szacowa? wdzi?czno?? angielsk? i musia? mu pozostawi? zupe?n? swobod? dzia?ania.

Kiedy dokt?r Sarrasin, wezwany nazajutrz przez Mr. Sharp?a, zapyta? go spokojnie, czy nie ma co nowego do powiedzenia, solicitor, zaniepokojony tym spokojem, zawiadomi? go, ?e po ?cis?em badaniu ca?ej sprawy przekona? si?, i? by?oby najlepiej ukr?ci? z?e w samym pocz?tku zaproponowa? nowemu pretendenci ugod?. Dokt?r Sarrasin musia? chyba przyzna?, ?e by?a to rada zupe?nie bezinteresowna, kt?r? ma?o solicitor?w by?oby da?o na miejscu Mr. Sharpa. Ale chodzi?o mu o szybkie za?atwienie sprawy, na kt?r? zapatrywa? si? prawie ojcowskimi oczami.

Dokt?r Sarrasin s?ucha? tylko rad i znajdowa?, ?e s? wzgl?dnie rozs?dne. Tak bardzo oswoi? si? przez kilka dni z my?l? natychmiastowego urzeczywistnienia swego naukowego marzenia, ?e wszystko podporz?dkowywa? temu planowi. By?by to dla niego wielki zaw?d, gdyby musia? czeka? na wykonanie projektu lat dziesi??, a chocia?by tylko jeden rok. Ma?o obznajmiony z kwestjami prawnymi i finansowymi, nie da? si? wprowadzie z?apa? na pi?kne s??wka Mr. Sharpa, odst?pi?by jednak z ?atwo?ci? swoje prawa za sum?, wyp?acon? got?wk?, kt?raby pozwoli?a przej?? z teorii do praktyki. Zostawi? zatem Mr. Sharp?owi nieograniczone pe?nomocnictwo i wyszed?.

Solicitor mia? wi?c to czego pragn??. Prawda, ?e inny b?d?c na jego miejscu, by?by uleg? pokusie, rozpocz?cia i przed?u?enia procedury, kt?ra dla jego biura sta?aby si? wielkim, do?ywotnim dochodem. Ale Mr. Sharp nie nale?a? do rz?du ludzi, kt?rzy robi? spekulacje na d?ugi termin. Widzia? przed sob? mo?no?? zrobienia dobrego interesu i postanowi? z tego zr?cznie skorzysta?. Nazajutrz napisa? do doktora, daj?c mu do zrozumienia, ?e mo?e profesor Schultze nie b?dzie bardzo przeciwny zawarciu ugody. Nast?pnie za ka?dym widzeniem si? to z doktorem Sarrasin?em to z Herr Schultze?m, m?wi? pokolei jednemu i drugiemu, ?e strona przeciwna nie chce wiedzie? o niczem i, ?e na dobitk? s?ycha? o trzecim kandydacie, zwabionym przyn?t??

Gra ta trwa?a tydzie?. Wszystko dobrze sz?o zrana, a wieczorem zjawia?a si? jaka? nieprzewidziana trudno??, kt?ra wszystko psu?a. Dla poczciwego doktora by?y to bezustanne zasadzki, wahania si?, niepewno??. Mr. Sharp nie m?g? si? odwa?y? poci?gn?? haczyk u w?dki, tak si? obawia?, by w ostatniej chwili ryba nie zaszamota?a si? i nie zerwa?a sznurka. Ale ostro?no?? ta by?a zupe?nie zbyteczna. Od pierwszego dnia, dokt?r Sarrasin, jak sam powiedzia?, dla unikni?cia nieprzyjemno?ci procesu, got?w by? do ugody. Kiedy wreszcie Mr. Sharp os?dzi? ?e nadszed? ju?, u?ywaj?c naukowych termin?w, moment psychologiczny, albo jak m?wi? prawnicy, ?e klient by? w sam raz upieczony, w?wczas nagle ods?oni? swoje baterje i zaproponowa? natychmiastow? ugod?.

Trafi? si? dobroczynny cz?owiek, bankier Stilbing, kt?ry chcia? sp?aci? strony, ofiaruj?c ka?dej z nich po dwie?cie pi??dziesi?t milion?w, za co sam, jako wynagrodzenie za oddan? przys?ug?, mia? wzi?? tylko reszt? z pozosta?ego p?? miljarda, to jest dwadzie?cia siedem milion?w.

Dokt?r Sarrasin by?by ch?tnie u?ciscka? Mr. Sharp?a, kiedy us?ysza? t? propozycj?, got?w by? podpisa? kontrakt, nic wi?cej nie ??da?, a w dodatku g?osowa?by jeszcze za pomnikiem ze z?ota dla bankiera Stilbing?a, solicitora Sharp?a, dla ca?ego banku i wszystkich pieniaczy Po??czzonego Kr?lestwa.

Akta by?y spisane, ?wiadkowie wezwani, maszyny do stemplowania z Sommerset House gotowe do dzia?ania. Herr Schultze podda? si?. Przyci?ni?ty przez mr. Sharpa, przekona? si? ze dr?eniem, ?e by?by nic nie dokaza? z przeciwnikiem mniej zgodnego, ni? dokt?r Sarrasin, charakteru. Sprawa zosta?a wkr?tce zako?czona. Dwaj spadkobiercy zgodzili si? na r?wny podzia? i wydali na to formalny mandat; poczem ka?dy z nich otrzyma? czek na sto tysi?cy funt?w szterling?w, p?atny na okaziciela i obietnic? ostatecznego za?atwienia zaraz po dope?nieniu formalno?ci prawnych.

Tak si? ta dziwna sprawa zako?czy?a, na najwi?ksz? chwa?? wy?szo?ci rasy anglo-saskiej.

Powiadaj?, ?e tego? wieczora, obiaduj?c w Cobden-Club z przyjacielem swoim Stilbingiem, Mr. Sharp wychyli? szklank? szampana za zdrowie doktora Sarrasina, drug? za zdrowie profesora Schultze, – i ko?cz?c butelk?, wykrzykn?? nierozwa?nie:

– Hurra!? Rule Britannia! My anglicy jeste?my panami ?wiata!

A jednak bankier Stilbing uwa?a? swego przyjaciela za s?abego cz?owieka, kt?ry dla dwudziestu siedmiu milion?w, opu?ci? pi??dziesi?t, a w gruncie rzeczy profesor Schultze my?la? to samo, od chwili, gdy zosta? zmuszony do jakiegokolwiek?d? uk?adu.

Czego nie mo?na by?o zrobi? z takim cz?owiekiem jak dokt?r Sarrasin! Celt, lekki, zmienny i z pewno?ci? marzyciel!

Profesor Schultze dowiedzia? si?, ?e wsp??zawodnik jego zamierza za?o?y? nowe francuskie miasto, maj?ce rozwin?? wszystkie przymioty rasy i utworzy? zdrowe i silne pokolenia. Zamiar ten wydawa? mu si? niedorzecznym i pod?ug jego mniemania, musia? si? nie uda?, jako przeciwny prawom post?pu, kt?re nakazuj? upadek rasy ?aci?skiej, ujarzmienie jej przez ras? germa?sk? a wreszcie zupe?ne jej znikni?cie z powierzchni ziemi.

Jednak?e przewidywaniom tym grozi?o pewne niebezpiecze?stwo w razie, gdyby program doktora zacz?? si? urzeczywistnia?, a tembardziej, gdyby mo?na by?o wierzy? w jego powodzenie. W interesie zatem og?lnego porz?dku i przez pos?usze?stwo dla s?usznych praw, ka?dy Niemiec winien by? si? opiera? podobnie szalonym planom. W tych za? warunkach, jakie zachodzi?y obecnie by?o zrozumia?e, ?e on, Schultze, M. D. ?priwat docent? chemji w Uniwersytecie w Jenie, znany ze swych licznych prac por?wnawczych nad rasami ludzkiemi, – prac, w kt?rych dowi?d?, ?e rasa germa?ska mia?a poch?on?? wszystkie inne rasy, – zrozumia?e by?o, ?e on by? wyznaczony przez wielk? si?? tw?rczej i zawsze zwyci?skiej natury do pokonania liliput?w, kt?rzy si? przeciw niej buntowali. Przeznaczenie chcia?o, ?e Teresa Lang?vol po?lubi Marcina Schultza i ?e kiedy? oba narody zetr? si? z sob? w osobie francuskiego doktora i niemieckiego profesora i ?e Schultze zdruzgocze Sarrasina.

Zreszt? projekt ten sta? u Herr Schultze?a na dalszym planie; na pierwszym by?y inne zamiary, daleko rozleglejsze; te mia?y na celu wyt?pienie wszystkich lud?w, kt?re wzbrania?yby si? zla? z ludem niemieckim i po??czy? z Vaterland?em. Jednak?e chc?c pozna? do gruntu, – je?eli mo?e tam by? grunt, – plany doktora Sarrasina, kt?rego sta? si? odt?d nieub?aganym nieprzyjacielem, profesor postara? si? o kart? wst?pu do mi?dzynarodowego kongresu higieny i pilnie s?ucha? wywod?w jego cz?onk?w. Pewnego dnia po posiedzeniu kilku uczonych wychodz?c z sali obrad kongresu, a mi?dzy

nimi sam dokt?r Sarrasin, us?yszeli, jak profesor o?wiadczy?, ?e w tym samym czasie, co Frankopolis, powstanie inne jeszcze silne miasto, kt?re doprowadzi do zguby to niedorzeczne i anormalne mrowisko.

– Spodziewam si?, – doda?, ?e do?wiadczenie, kt?re wykonamy na niem, pos?u?y za przyk?ad ? wiatu!

Dokt?r Sarrasin, pomimo ca?ej swej mi?o?ci ku ludziom, wiedzia? oddawna, ?e nie wszyscy bli? ni zas?uguj? na miano filantrop?w. Starannie zanotowa? sobie s?owa swego przeciwnika, bo jako cz?owiek rozs?dny, wiedzia?, ?e nie nale?y zapomina? o ?adnej gro?bie. W jaki? czas potem, pisz?c do Marcelego i zapraszaj?c go do pomocy w zamierzonym dziele – opowiedzia? mu ten wypadek i tak dok?adnie opisa? Herr Schultza, ?e m?ody alzeczyk powzi?? natychmiast przekonanie, ?e poczciwy dokt?r b?dzie mia? w nim silnego przeciwnika. Dokt?r doda? w swym li?cie:

Trzeba nam ludzi silnych i energicznych, ludzi nauki i czynu, b?dziemy musieli nie tylko naucza?, ale i broni? si?.

Marceli odpisa? mu na to:

– Chocia? nie mog? w tej chwili wzi?? czynnego udzia?u w zak?adaniu waszego miasta, prosz? jednak liczy? na to, ?e w razie potrzeby stawi? si? na wezwanie. Nie spuszcz? z oka Herr Schultza, kt?rego pan tak dobrze opisuje. Jako alzeczyk mam prawo zajmowa? si? jego sprawami. Z daleka czy z bliska jestem panu oddany ca?em sercem. Nie niepok?jcie, si?, gdyby up?yn??o kilka miesi?cy, a nawet lat bez wiadomo?ci ode mnie. Z daleka czy z bliska, jedno tylko mam na my?li: pracowa? dla was, a zatem, s?u?y? Francji.?

Rozdzia? V *Miasto Stali.*

Miejsce i czasy zmieni?y si?. Od pi?ciu lat spadek Begumy dosta? si? w r?ce dziedzic?w; scena za? zosta?a przeniesiona do Stan?w Zjednoczonych, na po?udnie Oregonu, o dziesi?? mil od wybrze? a Oceanu Spokojnego. Znajduje si? tam ziemia o granicach niewyra?nie okre?lonych przez dwa s? siednie mocarstwa; tworzy ona rodzaj Szwajcarji Ameryka?skiej.

Szwajcarja, to w istocie, ale tylko z pozoru. I tam, jak w Europie, ostre szczyty wzbijaj? si? ku niebu, g??bokie doliny przerynaj? d?ugie ?a?cuchy i oko wsz?dzie napotyka wspania?y a dziki widok.

Ale fa?szywa ta Szwajcarja nie oddaje si?, jak Szwajcarja europejska, spokojnemu przemys?owi pasterza, przewodnika lub ober?ysty. Jest to tylko alpejska powierzchowno??, skorupa ze ska?, i stuletnich sosen, pokrywaj?ca bry?? z ?elaza i w?gla kamiennego.

Je?eli samotny turysta zechce tu pos?ucha? g?osy otaczaj?cej go natury, o ucho jego nie odbije si?, jak na wy?ynach Oberlandu, harmonijny szmer ?ycia, ton?cy w wielkiej ciszy g?r. Us?yszcy dochodz? cy zdaleka odg?os bij?cego m?ota, a pod nogami poczuj? przyt?umione wybuchy dynamitu. Wydaje

si?, ?e ten krajobraz sk?ada si? rekwizyt?w teatralnych, ?e ska?y wydaj? d?wi?k, jakby by?y puste, i ?e lada chwila zapadn? si? w tajemnicze jakie? otch?anie.

Drogi, pokryte popio?em i koksem, wij? si? doko?a g?r. Z pod ???tawych k?pek traw wygl?daj? ma?e kupki ?u?li, mieni?cych si? kolorami t?czy, jak oczy bazyliuszka. Tu i ?wdzie stara sztolnia opuszczonej kopalni, zryta przez erozj?, zaro?ni?ta chwastami, ukazuje sw? otwart? paszcz?, niby otch?a? bez dna, niby krater wygas?ego wulkanu. Powietrze, przesycone dymem, wisi nad ziemi?, jak ponury p?aszcz. Nie ujrzysz tu ptaka, nawet owady zdaj? si? st?d ucieka?; nikt jeszcze nie widzia? tu motyla.

Fa?szywa Szwajcarja. Na p??nocnej granicy jej, w miejscu, gdzie pasmo poprzecznych wzg?rz zlewa si? z p?aszczyzn? p?l mi?dzy dwoma pasmami ma?ych pag?rk?w, znajdowa?a si? a? do r. 1871 t. zw. Czerwona Pustynia, nazwana tak dla barwy ziemi, przesyconej tlenkiem ?elaza. Kraj ten nazywa si? obecnie: Steelfieldem, Polem Stalowym.

Wyobra?cie sobie p?aszczyzn? o pi?ciu lub sze?ciu milach kwadratowych, z gruntem piaszczystym, pe?nym kamyk?w, suchym i martwym, jak ?o?ysko jakiego? dawnego jeziora. Natura nic nie robi?a, by nada? tej pustyni poz?r ?ycia i ruchu, ale cz?owiek rozwin?? nies?ychan? moc charakteru i energii.

W przeci?gu pi?ciu lat na nagiej, skalistej p?aszczy?nie, powsta?o osiemna?cie wsi, z?o?onych z ma?ych drewnianych domk?w, szarych i jednostajnych, kt?re przywieziono ju? gotowe z Chicago; mieszka?a w nich liczna ludno?? z?o?ona z silnych robotnik?w.

Po ?rodku tych wsi, u st?p Coals-Butts, g?r posiadaj?cych niewyczerpane zasoby w?gla, wznosi si? ciemna, olbrzymia masa, z?o?ona z regularnych budynk?w o symetrycznych oknach, czerwonych dachach, ponad kt?rymi wznosi si? las cylindrycznych komin?w, buchaj?cych k??bami dymu. Dym ten zawisa na niebie czarn? firank?, kt?r? od czasu do czasu przesywaj? czerwone b?yskawice.

Wiatr roznosi daleko huk podobny do grzmotu lub ko?ysania morza, lecz huk to r?wniejszy i g??bszy.

Masa ta to Stahlstadt – Gr?d Stalowy – miasto stanowi?ce osobist? w?asno?? profesora Schultze?go ex-profesora chemji w Jenie, kt?ry przy pomocy milion?w Begumy, stworzy? ogromn? fabryk? wyrob?w ?elaznych, najwi?ksz? na kuli ziemskiej odlewni? dzia?.

Wyrabia? ich wiele rozmaitego kszta?tu i kalibru, o lufie g?adkiej lub gwintowanej, o tyle ruchomym lub sta?ym, dla Rosji i Turcji, dla Rumunji i Japonji, dla W?och i Chin, a zw?aszcza dla Niemiec.

Dzi?ki pot?dze kapita?u olbrzymi zak?ad, prawdziwe miasto, stanowi?ce zarazem wzorow? fabryk?, powsta?o z ?ona ziemi, jak za dotkni?ciem r??dki czarodziejskiej. Trzydzie?ci tysi?cy robotnik?w, przewa?nie niemc?w z pochodzenia, zaludni?o warsztaty i przedmie?cia. Wyroby fabryki, dzi?ki swej doskona?o?ci zyska?y w ci?gu kilku miesi?cy powszechn? s?aw?.

Profesor Schultze wydobywa? rud? ?elazn? i w?giel kamienny z w?asnych kopalni. Na miejscu

tworzono z nich p?ymn? stal, a ze stali odlewano dzia?a.

Sprytny niemiec pokona? wszystkich swych wsp??zawodnik?w. We Francji produkuj? sztaby stali, wa??ce czterdzie?ci tysi?cy kilogram?w. W Anglii zrobiono dzia?o ze stu tonn kutego ?elaza. Krupp w Essen topi bry?y stali, wa??ce sto tysi?cy kilogram?w. Schultze nie zna? granic: wyrabia? dzia?a ka?dego kalibru i ka?dej mocy i dostarcza? je ?wiec?ce, jak srebro na um?wiony termin.

Kaza? sobie jednak s?ono p?aci?. Zdaje si?, ?e owe dwie?cie pi??dziesi?t milion?w z r. 1871 zaostrzy?y tylko jego apetyt.

W przemy?le odlewu dzia?, jak i w ka?dym innym ten tylko m?g? przewyci??y? konkurencj?, kto m?g? to, czego inni nie mog?. Trzeba przyzna?, ?e dzia?a Herr Schultze?go nie tylko odznacza?y si? niespotykanymi dot?d rozmiarami, lecz ponadto nigdy nie p?ka?y; mog?y zepsu? si? od zu?ycia, lecz nic wi?cej. Stal wytworzona w Stahlstad?cie posiada?a szczeg?lne w?a?ciwo?ci. W ko?ach fachowc?w obiega?y na ten temat legendy o tajemniczych mieszankach i sekretach chemicznych. Nikt jednak nie wiedzia? jak jest wistocie.

Mury Stahlstadtu pilnie strzeg?y swej tajemnicy.

Daleki ten zak?tek Ameryki P??nocnej, otoczony pustyniami, odosobniony wa?em g?r od ?wiata, by? o setki mil odleg?y od najbli?szej ludzkiej osady; napr??no szukaliby?my tu ?ladu os?awionej wolno?ci, kt?ra by?a podwalin? Rzeczypospolitej Stan?w Zjednoczonych Ameryki P??nocnej.

Stan?wszy pod murami Stahlstadtu nadaremnie usi?owa?by? przekroczy? jedn? z pot??nych bram, przecinaj?cych w pewnych odst?pach linj? fos i sza?c?w. Stra? nie przepu?ci ci? dalej. Trzeba zatrzyma? si? na przedmie?ciu. Wej?cie do grodu stalowego wolne jest tylko dla wtajemniczonych, znaj?cych has?o lub ludzi zaopatrzonych w formaln? ostemplowan? i podpisan? przepustk?.

M?ody robotnik, kt?ry przyby? do Stahlstadtu pewnego listopadowego wieczoru, posiada? niew? t?liwie tak? przepustk?; pozostawiwszy bowiem w ober?y ma??, zu?yt? walizk? sk?rzan? uda? si? pieszo ku bramie, znajduj?cej si? opodal wioski.

By? to t?gi, silnie zbudowany ch?opak, ubrany niedbale jak zwykle pionierowie ameryka?scy; mia? na sobie lu?ny, kr?tki p?aszcz, we?nian? koszul? bez ko?nierza i aksamitne spodnie, wepchni?te za cholewy but?w. Na oczy, jakby dla os?oni?cia pokrytej py?em w?glowym twarzy, nasun?? wielki, pil?niowy kapelusz i szed? pewnym krokiem, pogwizduj?c sobie zcicha.

Stan?wszy u bramy, m?odzianiec pokaza? naczelnikowi warty drukowany papier i zosta? natychmiast wpuszczony.

– Na karcie swojej masz adres nadzorcy Seligmana, oddzia? K, ulica Dziewi?ta, pracownia 743 – rzek? podoficer – p?jdziesz t? drog? na prawo, a? do s?upa K. i oka?esz swe dokumenty od? wiernemu. Znasz regulamin? Zostaniesz wyp?dzony, je?li p?jdziesz do innego oddzia?u, – doda? po chwili.

Młodzieniec oddalił się. Udał się we wskazanym kierunku i szedł drogą, wijącą się dokoła miasta. Na prawo kopano fosę, ponad którą przechadzały się strażnicy. Na lewo miodzi szeroka aleja, a maszynowa zabudowa, biegła podwójna linja obwodowej kolei żelaznej; dalej wznosił się długi mur, podobny do muru zewnętrznego i okalał przedmieście Stahlstadtu.

Gród Stalowy miał kształt koła, którego wycinki, niby promienie, odgraniczane linjami fortyfikacyjnymi były od siebie zupełnie niezależne, chociaż wspólna fosa i wspólny mur opasywały je wszystkie dokoła.

Młody robotnik zatrzymał się wkrótce u sępa K, stojącego na brzegu drogi, naprzeciw wielkiej bramy, nad którą wyryta była na kamieniu taka sama litera i zawołanie odwiecznego.

Tym razem zamiast żołnierza miał przed sobą inwalida o drewnianej nodze z medalami na piersiach.

Inwalida popatrzył na papier, położył na nim nową pieczęć i rzekł:

– Prosto przed siebie. Dziewięta ulica na lewo.

Młodzieniec przebył drugą oszacowaną linię i znalazł się wreszcie w oddziale K. Droga biegła od bramy, stanowiła o tego oddziału. Po obu stronach ciągnęły się pod prostym kątem szeregi jednostajnych budynków.

Wskot maszyn ogłuszał tu formalnie. Szare budowle, podziurawione tysiącami okien, podobne były raczej do żywych potworów, niż do martwych rzeczy. Ale nowoprzebyły musiał być oswojony z podobnym widokiem, gdy nie zwrócił na najmniejszej uwagi.

W ciągu krótkiego czasu odnalazł Dziewięć ulic, 743 pracowników, wszedł do biura pełnego tek i rejestrów i stanął przed nadzorcą Seligmanem.

Ten wziął papier, zaopatrzony w potrzebne podpisy, sprawdził je i podnosił oczy na młodego robotnika, spytał:

– Został pan zakontraktowany jako gisier? Zdaje się, że pan jest bardzo młody?

– Wiek nic nie znaczy, – odpowiedział robotnik. – Byłbym miał wkrótce dwadzieścia sześć lat i pracowałbym jako gisier przez siedem miesięcy. Jeżeli pan sobie życzy, mogę pokazać świadectwa, na mocy których zostałem umówiony w Nowym Yorku przez dyrektora zakładu.

Młody człowiek mówił do niego biegle po niemiecku, ale z akcentem, który zdawał się budzić nieufność u nadzorca.

– Czy nie jesteś pan czasem Alzackim? – spytał.

– Nie, jestem szwajcarem z Schaffhuzy. Oto moje papiery; wszystkie w porządku.

Wydobył ze skózanego pugilaesu paszport, księeczkę i świadectwa.

– Dobrze. Zreszt? jeste? um?wiony i pozostaje mi tylko wskaza? ci miejsce, – rzek? Seligman, uspokojony widokiem dokument?w.

Zapisa? nazwisko: Johann Schwartz, najprz?d w rejestrze, potem na kontrakcie robotnika; wr?czy? m?odemu cz?owiekowi niebiesk? kartk? z jego nazwiskiem i numerem 57,938 i doda?:

– Co rano o godzinie si?dmej musi pan by? u bramy K; poka?e pan t? kartk?, przepuszcz? ci? przez zewn?trzny obw?d, we?miesz w izdebce od?wiernego znaczek obecno?ci z twoim numerem i poka?esz mi go po przybyciu do pracy. O si?dmej wiecz?r, wychodz?c, wrzucisz ten znaczek do puszdki, znajduj?cej si? ko?o drzwi pracowni; tylko o tej godzinie puszdka ta jest otwarta.

– Znam system? Czy mo?na mieszka? wewn?trz obwodu? – spyta? Schwartz.

– Nie. Musisz wystara? si? o mieszkanie poza obr?bem miasta, ale b?dziesz si? m?g? sto?owa? za tani? cen? w jad?odajni przy pracowni. B?dziesz pobiera? jednego dolara dziennie na pocz?tek. Co trzy miesi?ce p?aca ta podwy?sza si? o jedn? dwudziest? cz????. Znamy tylko jeden rodzaj kary: odpraw?. Za wszelkie naruszenie regulaminu, kar? t? nak?adam ja sam, jako pierwsza instancja; apelowa? mo?na do in?yniera? Czy prac? rozpoczniesz dzisiaj?

– Dlaczego nie?

– Policz? panu tylko za p?? dnia – zauwa?y? nadzorca, prowadz?c Schwartza do wewn?trznej galerji.

Obaj min?li szeroki korytarz, przeszli dziedziniec i znale?li si? w obszernej galerji, kt?ra ze wzgl?du na sw?j rozmiar i lekk? budow? przypomina?a ?adowni? jakiego? pierwszor?dnego dworca. Mierz?c j? okiem, Schwartz nie m?g? si? wstrzyma? od podziwu.

Po obu stronach tej d?ugiej galerii ci?gn??y si? dwa szeregi ogromnych walcowatych kom?r, tak szerokich i tak wysokich jak kolumny ?wi?tego Piotra w Rzymie; kolumny te wznosi?y si? a? do szklanego sklepienia, kt?re przebija?y na wylot. By?y to kominy murowanych piec?w giserni. By?o ich pi??dziesi?t w ka?dym szeregu.

W jednym ko?cu galerji, lokomotywy przywozi?y wagony, pe?ne sztab surowca, kt?ry zasila? piece; z drugiej strony pr??ne wagony zabiera?y i odwozi?y ten?e surowiec, zamieniony na stal.

Hartowanie dope?nia?o tej zamiany. Zajmowali si? tem, nawp?? nadzy cyklopi, uzbrojeni w d?ugie ?elazne haki.

Sztaby surowca wrzucano do piec?w, wys?anych ?uzlem i poddawano je bardzo wysokiej temperaturze. Gdyby chodzi?o o wyr?b ?elaza mo?naby przyst?pi? do fabrykacji z chwil? gdy surowiec stanie si? ciastowatym.

Chc?c jednak otrzyma? stal, czekano a? surowiec stanie si? p?ynnym i w?wczas podwy?szano temperatur? w piecach. R?wnocze?nie hutnik zaczyna? porusza? hakiem i wyrabia? w?r?d p?omieni p?ynny metal; potem w chwili, gdy roztopione ?elazo, pomieszawszy si? z ?uzlem, nabywa?o okre?lonej g?sto?ci, dzieli? je na cztery bry?y i podawa? pomocnikom kowalskim.

Następna czynność odbywała się na samej osi galerji. Naprzeciw kałdego ogniska, znajdował się młot automatyczny, poruszany parą, wydobywając się z kotła, umieszczonego pionowo w samym kominie. Przy młocie stał tęgikowal. Uzbrojony od stopy do głowy, w butach i naramiennikach z blachy stalowej, w grubym, skórzanym fartuchu i masce z siatki metalowej na twarzy, ten kirasjer przemysłu chwytał kłami długich obcęgów, rozpaloną bryłę i kładł ją pod młot. Ten całym swoim ogromnym ciężarem spadał na nią, podnosił się i znowu opadał, wyciskając z bryły, jak z garbki wszystkie nieczyste pierwiastki, które wchłonięła w siebie w piecu; deszcz iskier sypał się i bryzgał na wszystkie strony.

Kowal oddawał wreszcie bryłę pomocnikom; wracał do pieca i ogrzana znowu szła pod młot.

W olbrzymiej potwornej kuchni panowała bezustanny ruch; kaskady transmisji wiły się bez końca, głośnie uderzenia młota rozlegały się w jeden przeciwny huk; czerwone iskry wiły się w snopy ognia sztucznych; rozpalone do białości piece żlepiły oczy. Wśród tego pasowania się i ryku ujarzmionej materji, człowiek wyglądał prawie jak dziecko.

A jednak mocne to były chłopy, ci hutnicy! Rozrabiały w podzwrotnikowej temperaturze metaliczne ciasto wagi dwudziest kilogramów, trzymały kilka godzin wzrok utkwiony w rozpalonym żelazie, które oślepia swym blaskiem, to rzecz straszna, zużywająca człowieka w ciągu dziesięciu lat conajwyżej.

Schwartz, chcąc okazać nadzorcę, że umie robić to samo, zrzucił swój paszcz i węzłan koszulki i ukazawszy atletyczny budowę swego ciała, wziął hak od jednego z hutników i zaczął pracować.

Widząc, że bardzo dobrze spełnia swe zadanie, nadzorca odszedł wkrótce i wrócił do swego biura.

Młody robotnik obrabiał bryłę surowca, a do obiadu. Ale czy, że zawiele zapału przykłada do roboty, czy też, że tego dnia nie spożył dostatecznie pożywne pokarmu, jakiego wymaga podobne zużycie siły fizycznej, do tego, że wkrótce był już zmęczony do tego stopnia, że zauważył to nadzorca robotników.

– Niezdolny jesteś do hartowania, mój chłopczyku, – rzekł do niego – i lepiej zrobisz, jeżeli poprosisz, by cię przeniesiono do innego oddziału, na co później byłoby już za późno.

Schwartz zaprzeczył temu. Było to tylko chwilowe zmęczenie. Mógł hartować tak jak inni.

Mimo to, dozorca zawiadomił o tem kogo należało i młodziwiec został natychmiast wezwany do naczelnego inżyniera.

Ten przejrzał jego papiery, pokiwał głową i zapytał:

– Czy byłbyś giserem w Brooklynie?

Schwartz spuścił oczy z miną pomieszaną.

– Widzisz, że muszę się przyznać, – rzekł. – Pracowałem jako formiarnik, a teraz dla powiększenia produkcji chciałem spróbować hartowania.

– Wszyscy jesteście jednacy! – odpowiedzia? in?ynier, wzruszaj?c ramionami. – Maj?c lat dwadzie?cia pi??, chcecie umie? to, co rzadko mo?e umie? cz?owiek trzydziestoletni. Czy znasz si? przynajmniej dobrze na odlewaniu?

– Od dw?ch miesi?cy pracowa?em w pierwszej klasie.

– W takim razie zrobi?by? lepiej, gdyby? pozosta? na miejscu. Tutaj rozpoczniesz od tego, ?e wejdiesz do trzeciej klasy. I to jeszcze mo?esz si? uwa?a? za szcz??liwego, ?e pozwalam ci zmieni? oddzia?.

In?ynier napisa? kilka s??w na przepustce, wyprawi? depeusz? i rzek?:

– Oddaj sw?j znaczek, wyjd? st?d i udaj si? do oddzia?u O, do biura naczelnego in?yniera, kt?ry jest ju? o wszystkim uprzedzony.

Te same formalno?ci, jakie zatrzyma?y Schwartza przed bram? K, powt?rzy?y si? przed oddzia?em O. Tam go r?wnie? badano, potem przyj?to, wreszcie odes?ano do sali odlew?w. Tutaj praca odbywa?a si? znacznie ciszej.

– Jest to tylko ma?a galerja do odlewania sztuk Nr. 42 – rzek? do niego nadzorca. – Tylko robotnicy pierwszej klasy maj? wst?p do sal, gdzie odlewaj? si? wielkie dzia?a.

Ma?a galerja mia?a jednak sto pi??dziesi?t metr?w d?ugo?ci, a sze??dziesi?t pi?? szeroko?ci. Musia?o w niej by?, jak si? zdawa?o Schwartz?owi, przynajmniej sze??set tygl?w, umieszczonych po cztery, po osiem i po dwana?cie, stosownie do swej wielko?ci, w pobocznych piecach.

Formy, do kt?rych miano wlewa? roztopion? stal, u?o?one w g??bi rowu id?cego ?rodkiem, spoczywa?y na osi galerji. Z ka?dej strony rowu, po linii szyn, przesuwaj? si? ruchowy d?wig, kt?ry d?wiga? z miejsca na miejsce, ogromne ci??ary. Tak jak w hartowni z jednej strony poci?gi przywozi?y bry?y stopione stali, z drugiej, wywozi?y dzia?a wyj?te z form.

Przy ka?dej formie cz?owiek z pr?tem pilnowa? w tyglach temperatury roztopionego metalu.

To co Schwartz widzia? gdzieindziej, powtarza?o si? tutaj, ale doprowadzone by?o do wysokiego stopnia doskona?o?ci.

Kiedy nadesza? chwila odlewania, oznajmi? o tem dzwonek daj?cy sygna? wszystkim tym, co dogl? dali topi?cego si? metalu. Zaraz potem robotnicy r?wnego wzrostu, id?cy parami i nios?cy pionowo na ramieniach ?elazne dr?gi, krokiem r?wnym i ?ci?le mierzonym, zbli?ali si? do piec?w i po dw?ch stawali pod ka?dym z nich.

Majster uzbrojony w ?wistawk?, z chronometrem, oznaczaj?cym sekundy, w r?ku, stawa? przy formie, umieszczonej w pobli?u wszystkich pal?cych si? piec?w. Z ka?dej strony znajdowa?y si? rynny z ogniotrwa?ej ceg?y pokrytej ?elazn? blach?; sz?y one po ?agodnej pochy?o?ci a? do miednicy, maj?cej ksztalt lejka, umieszczonej ponad sam? form?. Komenderuj?cy dawa? sygna? ?wistawk?. Natychmiast obc?gami wyci?gano z ognia tygiel; dw?ch robotnik?w, stoj?cych przed pierwszym piecem zawiesza?o go na ?elaznym dr?gu. ?wistawka zaczyna?a przygrywa? i dwaj

robotnicy pod takt tej muzyki wylewali metal z tygla do odpowiedniej rynny. Potem wrzucali do kadzi pr??ne i rozpalone naczynie.

Praca trwa?a bez przerwy w odst?pach ?ci?le wymierzonych, a?eby wylew odby? si? jak najr?wniej i jaknajregularniej; robotnicy stoj?cy przy innych piecach, post?powali tak samo.

Dok?adno?? ruch?w by?a przytem tak nadzwyczajna, ?e w dziesi?tej sekundzie, przeznaczonej na ostatni ruch, ostatni tygiel zosta? wypr??niony i wrzucony do kadzi. Ca?a ta czynno?? zdawa?a si? raczej rezultatem ?lepego mechanizmu, ani?eli nast?pstwem po??czonych stu ludzkich usi?owa?.

?cis?a karno??, si?a przyzwyczajenia i pot?ga muzycznego rytmu dokona?y jednak tego cudu.

Schwartz zdawa? si? by? oswojony z tym widokiem. Postawiono go do pracy z robotnikiem jego wzrostu, wypr?bowano umiej?tno?ci w wylewie mniejszego znaczenia i uznano za doskona?ego robotnika. W ko?cu dnia, dozorca obieca? mu nawet szybki awans.

Wyszed?szy o godzinie si?dmej wiecz?r z oddzia?u O, i z zewn?trznego obwodu, Schwartz uda? si? po swoj? waliz? do ober?y. Potem zwr?ci? si? w stron?, gdzie zrana zauwa?y? grup? dom?w i z ?atwo?ci? wynalaz? kawalerskie mieszkanie u pewnej poczciwej kobiety, kt?ra ?trzyma?a lokator?w?.

Ale m?ody robotnik nie poszed?, jak inni po wieczery do piwiarni. Zamkn?? si? w swoim pokoju, wyj?? z kieszeni kawa?ek stali, kt?r? zapewne podni?s? w hartowni i od?amek gliny od tygla, znalezione w oddziale O; potem przypatrywa? si? im ze szczeg?ln? pilno?ci?, przy ?wietle kopc?cej lampy.

Nast?pnie wzi?? z walizy gruby oprawny zeszyt i napisa? co nast?puje w dobrej francuszczy?nie, ale dla najwi?kszej ostro?no?ci tajemnym pismem, do kt?rego klucz sam tylko posiada?:

?10 listopada. – Stahlstadt. – Niema nic szczeg?lnego w sposobie hartowania z wyj?tkiem – ma si? rozumie? – kombinacji dw?ch r??nych temperatur, stosunkowo niskich do pierwszego pieca i dla powt?rnego rozpalania, pod?ug prawide? wskazanych przez Chernoffa. Odlewanie odbywa si? pod?ug systemu Kruppa, ale z godn? podziwu dok?adno?ci? i r?wno?ci? ruch?w. Dok?adno?? ruch?w jest wielk? si?? niemc?w. Pochodzi ona z wrodzonego rasie germa?skiej poczucia rytmu. Anglicy nigdy nie dojd? do tej doskona?o?ci; braknie im s?uchu, je?li nie karno?ci. Francuzi b?d?c dobrymi tancerzami mog? ?atwiej przyswoi? sobie t? sztuk?.

Jak dot?d nie widz? nic tajemniczego w wielkim powodzeniu wyrob?w Stahlstadtu. Kawa?ki rudy, kt?re znalaz?em w g?rach, s? zupe?nie podobne do naszej dobrej rudy ?elaznej. Pr?bki w?gla kamiennego s? w istocie bardzo pi?kne i gatunek ich jest w wysokim stopniu metalurgiczny, ale i tu nie dostrzegam nic niezwyk?ego. Nie ulega w?tpliwo?ci, ?e fabryka Schultza dok?ada szczeg?lnych stara?, by oczy?ci? surowiec z wszelkich obcych domieszek i u?ywa ich w stanie doskona?ej czysto?ci.

Ale i do tego rezultatu doj?? ?atwo. A zatem chc?c pozna? wszystkie pierwiastki zagadnienia, pozostaje mi tylko okre?li? sk?ad glinki ogniotrwa?ej, z kt?rej zrobione s? tygle i rynny. Kiedy si? to wyja?ni i nasi giserzy wykszta?c? si? i wprawi?, nie widz? dlaczego nie mieliby?my robi? tego, co

si? robi tutaj.

Ale b?d? co b?d?, pozna?em dot?d tylko dwa oddzia?y, a jest ich przynajmniej dwadzie?cia cztery!
Co oni tam knuj? w tej jaskini? Jak?e przyjaciele nasi nie maj? si? obawia? gr??b, kt?re wyrzek?
Herr Schultze, odziedziczywszy po?ow? spadku.

Dumaj?c tak, Schwartz dosy? zm?czony przebytym dniem, rozebra? si?, wsun?? do ma?ego ???eczka,
niewygodnego o tyle, o ile tylko mog? by? niewygodne ???ka niemieckie – zapali? fajk? i zacz??
czyta? star? ksi??k?. Ale my?l jego by?a gdzieindziej. Ma?e k??by pachn?cego dymu wymyka?y si? z
ust w r?wnych odst?pach czasu z odg?osem:

?Pach!? Pach!? Pach!? Pach!??

Po?o?y? wreszcie ksi??k? i zamy?li? si?, jakgdyby pracuj?c nad rozwi?zaniem jakiego? trudnego
zadania.

– Ach! – zawo?a?. – Cho?by sam szatan wmiesza? si? w to, odkryj? tajemnic? Herr Schultzego,
dowiem si?, co knuje przeciw Frankopolis.

Schwartz usn??, wymawiaj?c imi? doktora Sarrasin?a; ale we ?nie imi? Joanny wr?ci?o mu na usta.
Wspomnienie dziewczynki pozosta?o niezmiennym, chocia? Joanna od chwili, kiedy j? po?egna?,
sta?a si? ju? m?od? pann?. Prawa asocjacji my?li ?atwo t??macz? to zjawisko; my?l o doktorze
zawiera?a w sobie my?l o jego c?rce, by?a to zatem asocjacja my?li bliskich sobie. To te? kiedy
Schwartz, a raczej Marceli Bruckman obudzi? si? z imieniem Joanny na ustach, nie dziwi? si? wcale,
upatruj?c w tem nowy tylko dow?d doskona?o?ci psychologicznych zasad Stuarta Milla.

Rozdział VI

Studnia Albrechta.

Pani Bauer, poczciwa kobieta, u której zamieszkała Marceli Bruckman, szwajcarka rodem, była wdową po górniku, który przed czterema laty zginął w jednym z tych kataklizmów, zamieniających życie górnika w nieustanny ból.

Fabryka wypłacała jej miesięczną pensję w wysokości trzydziestu talarów rocznie; dochodziło do tego zarobek, jaki miała, wynajmując pokój umeblowany i piękny, który miała jej syn Karl przynosił co niedzielę.

Karl, chociaż liczył dopiero lat trzynastu, miał w kopalni węgla obowiązek otwierania i zamykania drzwi, któremi przewożono węgiel z węgłem; był to jeden z otworów, koniecznych do wentylacji galerji; za ich pomocą zwracano przeciw powietrza w pewnym określonym kierunku. Ponieważ dom, najmowany przez matkę Karla, zanadto był oddalony od studni Albrechta, tak, że choć nie mógł wracać wieczorem do domu, powierzono mu przeto w dodatku obowiązek nocny w samej kopalni. Musiał pilnować i dopatrywać się koni w podziemnej stajni, podczas kiedy wódnica wychodziła nazwewnątrz kopalni.

Całe zatem życie Karla upływało o pięćset metrów pod powierzchnią ziemi. W dzień stał na straży przy swoich drzwiach; w nocy spał na sianie przy koniach. Dopiero w niedzielę rano wracał do światła dziennego i mógł korzystać z tych darów wszystkich ludzi: ze słońca, błękitnego nieba i macierzyńskiego uśmiechu.

Ważnym dla niego było, że po takim tygodniu, kiedy wychodził ze studni, powierzchownie jego niekoniecznie przypominała eleganta; podobny był raczej do jakiegoś gнома w państwie czarów, do kominiarza, lub do murzyna papuasa. To też pani Bauer poświęcała zwykle całe godziny na szorowanie go, zużywając przy tej czynności wiele wody i mydła. Potem wkładała na niego dobre ubranie z zielonego sukna, zrobione z ojcowskiego odzienia (wydobywała je z wielkiej sosnowej szafy) i od tej chwili aż do wieczora nie spuszczała oka z syna, który wydawał się jej najpiękniejszym chłopcem na świecie.

Oswobodzony od osadu węgla, który go pokrywał przez cały tydzień, Karl nie był brzydszy od innych. Włosy jasne, jedwabiste, oczy niebieskie, pogodne, dostrajały się do niezwykle białej cery; ale figurką miał za szczupłą na swój wiek.

Życie bez słońca czyniło z niego istotę anemiczną jak szałata; gdyby przyrzędo rachowania ciętek krwi wynalazku doktora Sarrasina zastosowano do krwi matrego górnika, prawdopodobnie znalazłoby w niej zupełnie niedostateczną ilość czerwonych krwinek. Było to dziecię milczne, spokojne, flegmatyczne z odrobiną owej dumy, którą wyrabia uczucie ciągłego niebezpieczeństwa, przyzwyczajenie do regularnej pracy i zadowolenie z przewyższonych trudnościami.

Czuł się najszczęśliwszym, kiedy siedział koło matki, przy dużym stole, stojącym pośrodku sali i przykuśnięty do kartonu mnóstwo szkaradnych owadów, które przynosił z wnętrza ziemi. Ciepła i r

wnomierna temperatura kopalni ma w?a?ciw? faun?, ma?o znan? naturalistom, tak jak wilgotne ? ciany w?gla kamiennego maj? sw? dziwn? flor? z zielonych mch?w, nieznan?ch grzyb?w i bezkszta? tnych porost?w. In?ynier Maulm?hle, lubownik entomologii, zwr?ci? na to uwag? i obieca? pieni??n? nagrod? za ka?dy nowy okaz, kt?ry mu Karl przyniesie. Nagroda ta zach?ci?a pocz?tkowo ch?opca do pilnego zwiedzania wszystkich k?t?w kopalni, ale powoli zrobi?a ze? prawdziwego zbieracza. Teraz ju? na sw?j w?asny rachunek wyszukiwa? owady.

W dodatku zami?owanie jego nie ogranicza?o si? do paj?k?w i ston?g. W samotno?ci zawi?za? ? cis?e stosunki z dwoma nietoperzami i z wielkim szcurem le?nym. Co wi?ksza, utrzymywa?, ?e te zwierz?ta by?y najrozumniejszymi i najmilszymi stworzeniami na ?wiecie, dowcipniejszymi nawet od koni, o jedwabistej sier?ci, o kt?rych m?wi? jednak z najwi?kszym uwielbieniem.

Szczeg?ln? mi?o?ci? otacza? Blair-Athola, dziekana stajni, starego filozofa, kt?ry przed sze?ciu laty zeszed? o pi??set metr?w ni?ej poziomu morza i od tej chwili nie ogl?da? ju? wi?cej ?wiat?a dziennego. Teraz by? prawie ?lepy. Ale jak dobrze zna? sw?j podziemny labirynt! Jak umia? zwraca? si? na prawo, na lewo, ci?gn?c sw?j w?zek, i nigdy nie omyli? si? ani o jeden krok! Jak w por? zatrzymywa? si? przed drzwiami, zostawiaj?c potrzebn? przestrze? do otworzenia ich! Jak przyja?nie r?a?, rano i wiecz?r, ?ci?le pilnuj?c chwili, w kt?rej nale?a? mu si? obrok! A jak by? dobry, jak ? askawy, jak czu?y!

– Wierz mi, matko, ?e ca?uje mi?, pocieraj?c pysk o moj? twarz, – m?wi? Karl. – A jak to wygodnie, ?e Blair-Athol ma zegar w g?owie! Bez niego nie wiedzieliby?my przez ca?y tydzie?, czy jest dzie? czy noc, rano czy wiecz?r!

Ch?opak by? rozmowny, a matka Bauer s?ucha?a go z zachwytem. I ona kocha?a Blair-Athola, dziel?c uczucie syna i przez wdzi?czno?? posy?a?a mu nieraz kawa?ek cukru. C??by da?a za to, gdyby jej pozwolono odwiedzi? tego starego s?ug?, kt?rego m?? jej zna? niegdy?, a zarazem obejrze? nieszcz?sne miejsce, gdzie po wybuchu znaleziono zw?oki biednego Bauera, czarne jak atrament, zw? glone przez ogie? gazowy!? Ale kobiet nie wpuszczaj? do kopalni w?gla, i trzeba by?o zadowolili? si? opisami, jakie syn jej roztacza? bezustannie.

Ach, zna?a dobrze t? kopalni?, t? wielk? czarn? dziur?, z kt?rej m?? jej nie wr?ci? wi?cej. Ile? razy oczekiwa?a przy tej rozdziawionej paszczy, maj?cej osiemna?cie st?p ?rednicy, i zapuszcza?a wzrok wzd?u? obmurowania z kamienia ciosowego w opuszczaj?c? si? podw?jn? wind? d?bow?, w kt?rej przesuwa?y si? beny, umocowane do liny i zawieszzone na stalowych blokach; ile? razy zwiedza?a zewn?trzne budowle kopalni, budynek maszyny parowej i izdebk? markiera. Ile razy grza? a si? przy silnym zawsze ogniu owego ogromnego kosza ?elaznego, przy kt?rym g?rnicy susz? swoje odzienie, wyszed?szy z otch?ani, lub niecierpliwie zapalaj? fajki. Jak bardzo oswojon? by?a z ha? asem i ruchem, panuj?cym przy tej piekielnej bramie! Ile razy widzia?a przy pracy robotnik?w, maj? cych r??ne zadania: jedni odczepiali wagony, na?adowane w?glem, drudzy gatunkowali w?giel; byli tam pomywacze, palacze i t. d. Nie mog?a widzie?, a jednak widzia?a dobrze oczami serca to, co si? dzia?o, kiedy winda znikn??a, unosz?c garstk? robotnik?w, a mi?dzy nimi m??a jej, a teraz jedyne dzieci?!

S?ysza?a ich g?osy i ?miechy oddalaj?ce si?, s?abn?ce, wreszcie gin?ce w g??bi. My?l? d??y?a za wind?, zanurzaj?c? si? w czelu?? ciasn? i prostopad??, o pi??set, sze??set metr?w, cztery razy

tyle, co wysoko?? wielkiej piramidy!? Gdy stawa?a u celu, widzia?a ludzi ?piesznie wyskakuj?cych na korytarz.

Rozsypywali si? natychmiast w tem mie?cie podziemnem; jedni szli na prawo, inni na lewo; ci udawali si? do swoich wagon?w, tamci uzbrojeni w dr?gi okute ?elazem, d??yli ku bry?om w?gla, na kt?re mieli natrze?; niekt?rzy umacniali sklepienia w korytarzach, w kt?rych wydobyto skarby w?gla; inni budowali z drzewa rusztowania, na kt?rych opiera?y si? niemuirowane galerje; naprawiono drogi, k?adziono szyny i umacniano sklepienia.

G??wna galerja wychodzi?a ze studni i nakszta?t szerokiego bulwaru si?ga?a innej studni, oddalonej o trzy lub cztery kilometry. Stamt?d rozchodzi?y si? pod prostymi k?tami galerje drugorz?dne, a na r?wnoleg?ych liniach galerje trzeciorz?dne. Mi?dzy tymi drogami ci?gn??y si? mury, s?upy utworzone z tego samego w?gla albo ze ska?y. Wszystko to regularne, szerokie, mocne, czarne.

A w tym labiryncie ulic, r?wnych tak pod wzgl?dem d?ugo?ci jak szeroko?ci, ca?a armja g?rnik?w, nawp?? nagich, porusza?a si?, rozmawia?a, pracowa?a przy ?wietle lamp.

Oto obraz, kt?ry powo?ywa?a do ?ycia pani Bauer, samotnie dumaj?c przy ogniu.

W tych krzy?uj?cych si? galerjach widzia?a jedn?, – jedn?, kt?r? zna?a lepiej ni? inne, t?, kt?rej drzwi jej ma?y Karl otwiera? i zamyka?.

Wieczorem ci, co pracowali we dnie, wracali na powierzchni? ziemi, a miejsca ich zajmowali inni. Ale jej ch?opiec, jej syn, nie siada? z powrotem do windy. Szed? do stajni, do swego kochanego Blair-Athol?a, dawa? mu jego wieczorz? z?o?on? z owsa i siana; potem zkolei sam jad? sw?j skromny zimny obiad, kt?ry mu spuszczano zg?ry, bawi? si? chwil? ze swoim wielkim szczurem, siedz?cym nieruchomo u n?g jego i ze swymi dwoma nietoperzami, kt?re lata?y ko?o niego, wreszcie zasypia? na pod?ci??ce ze s?omy.

Jak dobrze wiedzia?a o tem wszystkim pani Bauer i jak doskonale z kilku s??wek Karla domy?la?a si? wszystkich szczeg???w!

– Wiesz, matko, co mi wczoraj powiedzia? in?ynier Maulm?hle? Powiedzia?, ?e je?eli dobrze odpowiem na wszystkie pytania z arytmetyki, kt?re mi wkr?tce zada, to we?mie mnie do trzymania sznura mierniczego, gdy b?dzie z busol? zdejmowa? plany kopalni. Maj? podobno przebi? galerj?, celem po??czenia studni Albrechta ze studni? Webera. Pan in?ynier b?dzie mia? nie?atw? robot?, chc?c trafi?, jak si? nale?y!

– Nie mo?e by?! – zawo?a?a pani Bauer. – pan in?ynier Maulm?hle tak powiedzia??

I wyobra?a?a ju? sobie syna, jak trzyma ?a?cuch wzd?u? galerji, podczas kiedy in?ynier, z ksi??eczki? notatek w r?ku kre?li w niej cyfry i z okiem, utkwionem w busoli wskazuje, w jakim kierunku ma by? przebita nowa droga.

– Na nieszcz??cie, nie mam nikogo, ktoby mi wyt?umaczy? niekt?re teorie z arytmetyki i boj? si?, ?e odpowiem ?le!

Marceli, kt?ry siedz?c przy ogniu pali? fajk?, do czego mia? prawo jako lokator, wmiesza? si? do rozmowy, m?wi?c do dziecka:

– Mo?e b?d? ci m?g? obja?ni? to, czego nie rozumiesz?

– Wy? – zapyta?a pani Bauer z pewnem niedowierzaniem.

– Bez w?tpienia, – odrzek? Marceli. – My?li pani, ?e niczego si? nie ucz? na lekcjach wieczornych, na kt?re chodz? codziennie po wieczery. Nauczyciel jest bardzo zadowolony ze mnie i m?wi, ?e m?g?bym by? jego pomocnikiem!

– M?wi?c to, Marceli uda? si? do swego pokoju po zeszyt, potem usiad? przy ch?opcu, zapyta?, czego ten nie pojmuje, i obja?ni? mu zadanie tak dok?adnie, tak przyst?pnie, ?e Karl by? zachwycony.

Od tego dnia pani Bauerowa mia?a wi?ksze poszanowanie dla swego lokatora, a Marceli polubi? ma?ego koleg?.

Zreszt? on sam by? przyk?adnym robotnikiem i wkr?tce przeszed? najpierw do drugiej, a potem do pierwszej klasy. Co rano o godzinie si?dmej by? u bramy O. Co wiecz?r po wieczery ucz?szcza? na kursa, na kt?rych wyk?adowc? by? pan in?ynier Gruber. Z r?wnym zapa?em pracowa? nad geometri?, algebr?, rysunkiem figur i maszyn; post?py jego w naukach by?y tak szybkie, ?e wzbudzi?y ?ywy podziw w profesorze. W dwa miesi?ce po wst?pieniu do fabryki Schultze?go, uwa?any by? za najzdolniejszego robotnika nie tylko w wydziale O., ale w ca?em Mie?cie Stalowem. Bezpo?redni naczelnik w kwartalnym raporcie tak? o nim uczyni? wzmiank?:

– Schwartz (Johann), 26 lat, robotnik-giser pierwszej klasy. Musz? zwr?ci? uwag? centralnej administracji na tego cz?owieka o wy?szym pokroju, tak pod wzgl?dem wiadomo?ci teoretycznych, jak praktycznej bieg?o?ci, jakote? wybitnej zdolno?ci do wynalazk?w.

Trzeba by?o jednak szczeg?lnego trafu, by g??wny zarz?d zwr?ci? uwag? na Marcelego. Traf ten wydarzy? si? wkr?tce, tak jak to zwykle bywa pr?dziej lub p??niej, i na nieszcz??cie, sta?o si? to z powod?w szczeg?lnie tragicznych.

Pewnej niedzieli Marceli zdziwiony, ?e mimo godziny dziesi?tej, jego ma?y przyjaciel Karl nie pokaza? si? dot?d, zeszed? do pani Bauer, pytaj?c, czy wiedzia?a jaka jest przyczyna op??nienia. Ale i ona nie wiedzia?a i by?a bardzo niespokojna z tego powodu. Karl powinien by? by? od dw?ch godzin. Widz?c jej niepok?j, Marceli oznajmi?, ?e p?jdzie dowiedzie? si? co zasz?o, i uda? si? w stron? studni Albrechta.

W drodze spotka? kilku g?rnik?w i pyta? ich, czy nie widzieli ch?opca; otrzymawszy od nich przeczc? odpowied? i zamieniwszy z nimi owe ?Gl?ck auf!? – szcz??liwego powrotu – kt?rem g?rnicy niemieccy pozdrawiaj? si? wzajemnie, Marceli szed? dalej.

Ko?o godziny jedenastej by? w studni Albrechta. Nie by?o tu teraz ani t?umu ani zwyk?ego ruchu, panuj?cego w ci?gu tygodnia. Tylko jedna z m?odych ?modystek?, – przezwisko, kt?rem g?rnicy mianowali robotnice, przeznaczone do gatunkowania w?gla – gaw?dzi?a z markierem, bo ten, nawet

w niedziel?, musia? z obowi?zku czuwa? przy paszczy studni.

– Czy widzieli?cie ma?ego Karla Bauera, numer 41.902? – zapyta? Marceli urz?dnika.

Ten popatrza? na swoj? list? i potrz?sn?? g?ow?.

– Czy kopalnia ma inne wyj?cie?

– Nie, tylko to jedno, – odpowiedzia? markier. – Nowe, kt?re maj? zrobi? po stronie p??nocnej jest jeszcze niedoko?czone.

– A wi?c ch?opiec jest na dole?

– Naturalnie; w istocie to rzecz dziwna, bo w niedziel? jedynie pi?ciu wartownik?w pozostaje pod ziemi?.

– Czy mog? zej??, by si? dowiedzie??

– Owszem, ale za pozwoleniem.

– Mo?e si? sta? jaki wypadek, – powiedzia?a modystka.

– W niedziel? nie mo?e by? wypadku.

– Ale przecie, rzek? Marceli, – musz? wiedzie?, co si? dzieje z dzieckiem.

– Prosz? uda? si? do nadzorcy maszyny, w tem biurze? je?eli jest tam jeszcze?

Nadzorca, w ?wi?tecznym ubraniu, ze sztywnym jak r?g ko?nierzem u koszuli, sp??ni? si?, na szcz??cie, i ?l?cza? nad rachunkami. A ?e by? cz?owiekiem inteligentnym i ludzkim, wi?c te? natychmiast podzieli? obawy Marcelego.

– Zobaczymy, co si? sta?o, – rzek?.

I rozkazawszy dy?urnemu mechanikowi, by stan?? u liny, mia? ju? spu?ci? si? do kopalni z m?odym robotnikiem, gdy ten zapyta?:

– Czy nie macie przyrz?d?w Galiberta? Mog? by? potrzebne?

– Masz s?uszn???. Nigdy nie wiadomo, co si? dzieje w g??bi dziury.

Nadzorca wyj?? z szafy dwa rezerwoary z cynku, kszt?tem swoim przypominaj?ce owe naczynia, kt?re kupcy coco nosz? w Pary?u na plecach. S? to skrzynie do ?cie?nionego powietrza; ??cz? si? ustami za po?rednictwem dw?ch rur kauczukowych, zako?czonych rogow? g??wk?, kt?r? wk?ada si? do ust. Nape?niaj? si? powietrzem za pomoc? szczeg?lnych miech?w, tak zrobionych, ?e mog? si? zupe?nie opr??nia?. ?cisz?wszy nos drewnianymi szczypcami i zaopatrzwszy si? w pewn? ilo?? powietrza, mo?na bezpiecznie zapuszcza? si? w atmosfer? najmniej stosown? do oddychania.

Skończywszy przygotowania, nadzorca i Marceli uczepili się windy, lina pomknęła, i zaczęli spuszczać się w głęb kopalni. Zstępując w głąb ziemi, rozmawiali ze sobą przy świetle dwóch małych lamp elektrycznych.

– Jak na człowieka, nie należącego do rzemiosła, można powiedzieć, że mi dmuchasz w palce, mówi nadzorca. – Widziałem takich, co nie mogli odważyć się spuścić, albo jak króliki siedzieli skuleni w windzie.

– Doprawdy? – odrzekł Marceli. – Mnie to jest zupełnie obojętne. Prawda, że dwa czy trzy razy spuszczałem się już do kopalni.

Dosięgnęto wkrótce dna studni. Wartownik, znajdujący się na placyku, gdzie stanęła winda, nie umiał nic powiedzieć o Karlu.

Udano się do stajni. Konie były same i wydawały się nawet bardzo znudzone. Należało tak wnieść z radosnego rżenia Blair-Athol'a, którym pozdrowił trzy ludzkie postacie. Na gwoździu wisiał worek Karla, a w kącie obok zgrzebła leżała jego księżka arytmetyczna.

Marceli zwrócił zaraz uwagę na brak latarni chłopców, co było nowym dowodem, że dziecko musiało być w kopalni.

– Może spotkał go jakiś wypadek przy obalaniu się ściany, rzekł nadzorca, ale to niebardzo prawdopodobne! Czyby robił w niedzielę w galerjach, gdzie wydobywają węgiel?

– Och, może nim wyszedł, szukał tam owadów, – odpowiedział wartownik. – To jest prawdziwa jego namiotność.

Chłopiec stajenny, który w tej chwili nadszedł, potwierdził to przypuszczenie. Widział Karla, jak wychodził z latarni w rękę przed siebie.

Nie pozostało zatem nic więcej, jak rozpocząć prawidłowe poszukiwania.

Przy pomocy gwizdawki przywołano innych wartowników, na wielkim planie kopalni podzielono pracę i wszyscy, zaopatrzywszy się w lampy, rozpoczęli przegląd galerji drugo i trzeciorzędnych, stosownie do tego, jak co komu przeznaczono.

W ciągu dwóch godzin zwiedzono wszystkie części kopalni i wszyscy znów wrócili na placyk. Nigdzie nie znaleziono najmniejszego śladu zaważenia się ściany, ale też nigdzie żadnego śladu Karla. Nadzorca może pod wpływem wzmagającego się apetytu, przychylił się do mniemania, że chłopiec mógł przejść niepostrzeżony i znajdować się teraz poprostu w domu; ale Marceli przekonany, że tak nie było, nastawał, by szukał go jeszcze w kopalni.

– Co to jest? – zapytał, wskazując kropkowane miejsce na planie, które obok szczegółów wyraźnie określonych było podobne do owych terrae ignotae, które geografowie znaczą na kartach lądów w arktycznych.

– Jest to pas, który porzucono, dla zwązkiego w nim pokładu węgla, odpowiedział nadzorca.

– Jest opuszczony pas?? To tam trzeba szuka?! – rzekł Marceli ze stanowczością, której inni ulegli.

Dostali się wkrótce do otworu galerji, której lepkie i spleśniałe ściany okazywały, że opuszczono ją od kilku lat.

Przez jakiś czas szli po nich, nie spostrzegając nic podejrzanego, kiedy Marceli, zatrzymując się, rzekł:

– Czy nie doznajecie pewnej ociężałości i bólu głowy?

– Tak! – odpowiedzieli prawie jednocześnie.

– Co do mnie, czuję się nawpół odurzonym. Musi tu być z pewnością dwutlenek węgla! Czy mogł zapalić zapałkę? – spytał nadzorca.

– Mozesz, mój chłopcze, rób, jak chcesz.

Marceli wyjął z kieszeni małe pudełko zapałek, potarł o nie zapałkę, i pochyliwszy się, zbliżył się do ziemi. Zgasła natychmiast.

– Byłem tego pewny? – rzekł. – Gaz, cięższy od powietrza, trzyma się przy samej ziemi. Nie może na tu pozostawać; mówię o tych, którzy nie mają przyrzędu Galiberta. A my z panem nadzorcą, jeżeli się zgadza, będziemy szukali dalej.

Kiedy przystano na to, Marceli i nadzorca, wzięwszy w żęby koniec rurki od skrzyni z powietrzem i zatknęwszy kleszczyki na nozdrza, zagłębili się w szereg starych galerji. W kwadrans później wyszli dla odnowienia powietrza w rezerwuarach; skuteczniejszy to, szli dalej.

Za trzecim razem, usiłowania ich zostały uwiecznione pomyślnym rezultatem. Zdała, w ciemności, dostrzegli małe niebieskawe światła lampy elektrycznej. Pobiegli w tę stronę.

U stóp wilgotnego muru leżał nieruchomy i zimny już biedny mąż Karl. Sine usta, nalana twarz i cała postawa wyraźnie mówiły, co się z nim stało.

Chciał podnieść coś z ziemi, nachylił się i dosłownie utonął w gazie dwutlenku węgla.

Nic nie zdołało przywołać go do życia. Śmierć zaskoczyła go cztery czy pięć godzin temu. Nazajutrz wieczorem, nowy cmentarz Stahlstadtu miał o jeden grób więcej, a biedna pani Bauer została wdową po dziecku, tak jak była już wdową po mężu.

Rozdział VII

Centralny oddział.

W raporcie swoim dokt?r Echternach, g?wny lekarz oddzia?u studni Albrechta, zawyrokowa?, ?e trzynastoletni Karl Bauer, nr. 41.902, pe?ni?cy obowi?zki wartownika u drzwi, prowadz?cych do 228 galerji, umar? wskutek uduszenia, kt?re nast?pi?o dzi?ki wch?oni?ciu wielkiej ilo?ci dwutlenku w?gla przez organy oddechowe.

Inny raport in?yniera Maulm?hle, niemniej jasny od pierwszego, przedstawia? w?adzy konieczno?? zaprowadzenia systemu wentylacji w strefie B., planu XIV, kt?rego galerje wydziela?y truj?cy gaz, sposobem powolnym i nieznacznym, ale niew?tpliwie szkodliwym.

Wreszcie ten sam urz?dnik w osobnym pi?mie donosi? w?adzy o po?wi?czeniu si? nadzorcy Rayer?a i gisera pierwszej klasy, Johanna Schwartz?a.

W tydzie? lub dziesi?? dni potem, m?ody robotnik, wszed?szy do pokoju od?wiernego dla wzi?cia swego znaczku obecno?ci, znalaz? na gwo?dziu drukowany rozkaz pod swoim adresem:

?Giser Schwartz stawia si? dzisiaj o godzinie dziesi?tej w biurze g?wnego dyrektora. Dzielnica centralnej bramy i droga A. Ubranie ?wi?teczne.

– Nareszcie! – pomy?la? Marcelli. – D?ugo si? namy?lali, ale mam ich wko?cu!

W rozmowach z kolegami i w niedzielnych swych przechadzkach doko?a Stahlstadtu, pozna? ju? na tyle og?ln? organizacj? miasta, ?e wiedzia?, i? pozwolenia wej?cia do ?rodkowej dzielnicy nie otrzymywa? byle kto. Prawdziwe legendy kr??y?y na ten temat. M?wiono, ?e ciekawi, kt?rzy podst?pem wdarli si? do tego warownego obwodu, nie pokazali si? wi?cej; ?e robotnicy i urz?dnicy, zanim zostali przyj?ci tam, musieli si? podda? pewnym obrz?dkom wolnomularskim i pod najuroczysts? przysi?g? zobowi?za? si?, ?e nie wydadz? nic z tego, co ujrz?; ?e tajemny trybuna? kara? ?mierci? tych, kt?rzy nie dotrzymywali przysi?gi. Podziemna kolej ?elazna ??czy?a t? ?wi?tyni? z linj? obwodow?? Nieznani go?cie przybywali tam nocnymi poci?gami? Odbywa?y si? tam niekiedy najwy?sze s?dy, w kt?rych tajemnicze osoby zasiada?y i bra?y udzia? w naradach?

Nie przyk?adaj?c zbytnej wiary do tych opowiada?, Marcelli rozumia? jednak dobrze, ?e by?y one wyrazem rzeczywistego faktu; nadzwyczajnej trudno?ci dostania si? do oddzia?u ?rodkowego. Ze wszystkich robotnik?w, jakich zna?, a mia? przyjaci?? mi?dzy g?rnikami z kopal? ?elaza i w?gla, mi?dzy robotnikami, obs?uguj?cymi wielkie piece, mi?dzy cie?lami i kowalami, ?aden z nich nigdy nie przekroczy? bramy A.

Z uczuciem ciekawo?ci i przyjemno?ci stan?? sam u tej bramy. Przekona? si? wkr?tce, ?e ostro?no?ci, jakie tam przedsi?brano by?y bardzo surowe.

Spostrzeg? najpierw, ?e go oczekiwano. Dw?ch ludzi w szarych mundurach, z szabl? u boku i rewolwerem u pasa, znajdowa?o si? w lo?y od?wiernego. Lo?a ta, jak izdebka siostry zakonnej, pilnuj?cej klasztornej furty, mia?a dwoje drzwi, jedno wychodz?ce na zewn?trz a drugie na wewn?trz; drzwi te nigdy nie otwiera?y si? jednocze?nie.

Przejrzano i po?wiadczone przepustk? Marcelego, nast?pnie podano mu bia?? chustk?; m?odzieniec nie okaza? najmniejszego zdziwienia i da? sobie starannie zawi?za? oczy dw?m figurom w

mundurach.

Ci wzięli go pod rękę i nie mówiąc ani słowa, poprowadzili ze sobą. Uszedłszy dwa lub trzy tysiące kroków, weszli na schody; potem otwarto i zamknięto jakieś drzwi, wreszcie pozwolono Marcelemu zdjąć przepaskę z oczu.

Był w zwykłej sali, zawierającej kilka krzeseł, czarne tablice i szerokie deski, a przy niej przybory do kreślenia. Wysokie okna o matowych szybach oświetlały tę salę.

Prawie jednocześnie weszły do niej dwie osoby, mające powierzchownie profesorski wygląd uniwersytecki.

– Powiedziano nam, że odznaczacie się niezwykłą inteligencją, – rzekł jeden z nich. – Chcemy wyegzaminować was i przekonać się, czy można was przyjąć do oddziału wzorów. Czy możecie odpowiadać na nasze pytania?

Marceli skromnie oświadczył, że gotów jest poddać się próbie.

Dwaj egzaminatorowie zadali mu w pewnym czasie kolejne pytania z chemii, geometrii i algebry. Młody robotnik zadowolony ich ciekawością, tak jasno i pewnie, jak dokądnoś swoich odpowiedzi. Figury, które kreślił kredą na tablicy, były wyraźne, kształtne i swobodne. Równania algebraiczne szły jedno za drugim w równych, czystych szeregach, jak linie wyborowego pułku. Jedno z dowodów było tak znakomite a zarazem nowe dla sędziego, że ci zapytali go ze zdziwieniem, gdzie się tego wyuczył.

– W Szaffuzie, w moim kraju, w szkole powszechnej.

– Zdaje się, że jesteś dobrym rysownikiem.

– Był to mój ulubiony przedmiot.

– Dobrze uczysz w tej Szwajcarii, – rzekł jeden z egzaminatorów. Zostawimy ci samego na dwie godziny dla wykonania tego rysunku, – mówił dalej, podając kandydatowi wizerunek dość skomplikowanej maszyny parowej w przekroju. – Jeżeli wykreślisz go, zostaniesz przyjęty z notą: dobrze.

Zostawszy sam, Marceli wziął się z zapałem do roboty.

Kiedy sędziowie wrócili o oznaczonej godzinie, byli tak zachwyceni jego rysunkiem, że do obiecanego noty dodali: Nie mamy rysownika z równym talentem.

Szaro ubrani jegomoście pochwycili go znowu i z takim samym ceremonijem, to jest z oczyma zawiązanymi, zaprowadzili do biura głównego dyrektora.

– Został wyznaczony do jednej z pracowni kreślarskich w oddziale wzorów, – rzekł dyrektor. – Czy chcesz poddać się warunkom regulaminu?

– Nie znam ich, – rzekł Marcelem, – ale przypuszczam, że są może do spełnienia.

– O te warunki: 1) Przez cały czas trwania zobowiązania musisz mieszkać w samym wydziale. Za szczególnym i zupełnie wyjątkowym pozwoleniem będziesz mógł wyjść poza obręb wydziału. 2) Musisz się poddać rygorowi wojskowemu i pod groźbą kar wojskowych być tylko posłuszny swoim naczelnikom. W zamian za to zostaniesz zaliczonym do podoficerów czynnej armii i, stopniowo awansując, możesz dojść do najwyższych stopni. 3) Zobowiązujesz się pod przysięgą, że nigdy nikomu nie wyjawisz nic z tego, co będziesz widział w oddziale, do którego zostaniesz przydzielony. 4) Listy twoje, tak do ciebie, jak od ciebie, będą przechodziły przez ręce i cenzurę twoich naczelników i korespondencja musi się ograniczyć do twojej rodziny.

– Krótko mówiąc, jestem w więzieniu, – pomyślał Marcelem.

Począł odpowiadać prosto:

– Warunki te wydają mi się sprawiedliwe, i gotów jestem przyjąć je.

– Dobrze. Podnieść rękę? Przysięgasz? Jesteś mianowany rysownikiem w 4 pracowni. Mieszkanie zostanie ci wyznaczone, a co do pożywienia, to będziesz je otrzymywał w bardzo dobrej jakości. Nie masz rzeczy z sobą?

– Nie, panie. Nie wiem, czego chcą ode mnie, zostawiłem je u mojej gospodyni.

– Poszłaś po nie, bo nie możesz już wyjść z oddziału.

– Dobrze zrobię, – pomyślał Marcelem, – że notatki moje piszę tajemnym piśmem! Pięknie byłoby teraz, gdyby je znaleźli!

Przed wieczorem Marcelem został umieszczony w żadnym pokoju na czwartym piętrze, w budynku o wielkim podwórzu, i powziął już pewne wyobrażenie o życiu, jakie miał tam prowadzić.

Sądził, że nie będzie tak smutne, jak mu się zdawało początkowo. Koledzy, poznał ich w restauracji, byli spokojni i pogodni, jak wszyscy ludzie pracy. Chęć rozzerwać się trochę, bo temu automatycznemu życiu brakowało wesołości, kilku z nich utworzyło orkiestrę, i co wieczór zabawiali się dosyć dobrze muzyką. Podczas rzadkich swobodnych godzin, umysł mógł dowoli czerpać w bibliotece, w czytelni. Pod względem naukowym, nie brakowało tu niczego. Specjalne kursy, na których wykładowcami znakomici profesorowie, były obowiązkowe dla wszystkich pracowników; przez tego odbywały się często egzaminy i konkursy. Ale brakowało powietrza, swobody w tym ciasnym obrębie fabryki. Było to niby kolegium, ale z regulaminem bardziej obojętnym, – i dla ludzi dorosłych. Otaczająca atmosfera ciążyła na wszystkich umysłach, nawet najwięcej oswojonych z elastycznym karnością.

Zimą ukończyła się wkrótce praca, którą Marcelem oddał duszy i ciałem. Jego pilność, doskonałość rysunków, nadzwyczajne postępy w nauce, zyskały mu w krótkim czasie uznanie wszystkich nauczycieli i wszystkich egzaminatorów, i wyrobiły mu pewną sławę w kręgu tych pracowitych ludzi. Wszyscy się zgadzali, że byłby najzdolniejszym, najlepszym i najbogatszym w pomysłach

rysownikiem. Jeżeli zachodzi jaka trudno?? udawano si? natychmiast do niego. Sami naczelnicy uciekali si? do jego do?wiadczenia z owym powa?aniem, jakie prawdziwa zas?uga zawsze sobie potrafi zdoby?, nawet u najzawistniejszych ludzi.

Ale je?li Marceli liczy?, ?e dostawszy si? do oddzia?u wzor?w, przeniknie tajemnic? to si? grubo omyli?.

?ycie jego up?ywa?o w obr?bie ?elaznej kraty, maj?cej trzysta metr?w ?rednicy, kt?ra otacza?a dzielnic? ?rodkow?. Dzia?alno?? jego mog?a i musia?a si?gn?? najdalszych ga??zi przemys?u metalurgicznego.

W praktyce ogranicza?a si? do rysunk?w maszyn parowych. By?y one rozmaitych rozmiar?w i r??nych si?, dla rozmaitych u?ytk?w i przemys??w, dla okr?t?w wojennych i pras drukarskich. Tak? by? a jego specjalno??. Podzia? pracy posuni?ty do ostatecznych granic, ?ciska? go w swoich kleszczach.

Po czterech miesi?cach pobytu w oddziale A, wiedzia? nie wi?cej ni? przedtem o ca?o?ci tego, co si? robi?o w Stalowym Mie?cie. Conajwy?ej, zebra? troch? og?lnych wiadomo?ci o organizacji, w kt?rej sam, mimo zas?ug i zdolno?ci by? tylko nic nieznacz?cem k??kiem. Wiedzia?, ?e ?rodkiem paj?czyzny, kt?r? stanowi?o Stahlstadt, by?a wie?a Byka, rodzaj olbrzymiego gmachu, panuj?cego nad wszystkimi s?siednimi zabudowaniami. Dowiedzia? si? tak?e, z opowiada? kucharzy i kamerdyner?w, ?e osobiste mieszkanie Herr Schultze?a znajdowa?o si? u podn??a owej wie?y i ?e s?ynny tajemny gabinet mie?ci si? w jej wn?trzu. Dodawano r?wnie?, ?e sala ta by?a sklepiona, zabezpieczona od po?aru i ufortyfikowana od wewn?trz, tak jak kr??ownik, lub pancernik, ?e zamyka?a si? drzwiami ze stali, zaopatrzonemi w strzelaj?ce zamki, godne Federal Reserve Banku. Wreszcie og?lnie m?wiono, ?e Herr Schultze pracowa? nad uko?czeniem maszyn wojennych o sile i doskona?o?ci nieznanej wsp??czesnej technice. Maszyny te mia?y zapewni? Niemcom panowanie nad ca?ym ?wiatem.

Marceli tworzy? z pocz?tku zuchwa?e plany wdarcia si? lub dostania jakimkolwiek sposobem do zaczarowanej fortecy, kt?rej tajemnic? chcia? koniecznie posi???. Nie m?g? wynale?? nic praktycznego. Grube ponure mury, o?wietlone w nocy potokami ?wiat?a, strze?one przez pewn? wart?, sta?y przed nim jak nieprzewyci??ona przeszkoda. Gdyby nawet uda?o mu si? przedrze? przez ?a?cuch stra?y, co m?g?by zobaczy?? Szczeg??y, szczeg??y, nigdy ca?o?ci.

Mniejsza o to. – Przysi?g? sobie, ?e nie ust?pi i dotrzyma tej przysi?gi. Cho?by mia? czeka? dziesi?? lat nie opu?ci stanowiska. Musi wreszcie wybi? godzina, w kt?rej tajemnica stanie si? jego w?asno?ci?! Musi tak by?. Frankopolis rozwija? si? pomy?lnie; jego dobroczynne instytucje sprzyja? y wszystkim i ka?demu, wskazuj?c zniech?conym ludom nowe widnokr?gi. Marceli nie w?tpi?, ?e wobec takiego powodzenia rasy ?aci?skiej Schultze wi?cej ni? kiedykolwiek zechce wykona? swe pogr??ki. Sam Stahlstadt i rodzaj pracy, kt?ra si? w niem wykonywa?a, by?y dostatecznym tego dowodem.

Tak up?yn??o kilka miesi?cy.

Pewnego dnia, w marcu, Marceli po raz tysi?czny mo?e powt?rzy? sobie samemu t? przysi?g? Hannibala, gdy dano mu zna?, ?e g??wny dyrektor, ma mu co? powiedzie?.

– Otrzymałem od Herr Schultze’a – rzekł dygnitarz – rozkaz przysłania najlepszego naszego rysownika. Proszę złożyć swoje rzeczy; przejdzie pan do wewnętrznego obwodu. Został pan awansowany na porucznika.

A zatem, w tej właśnie chwili, kiedy tracił już prawie nadzieję, logiczne i naturalne następstwo heroicznej pracy, zjednało mu w upragniony przystęp! Marceli tak był przejęty radością, że uczucie to, mimowoli odbiło mu się na twarzy.

– Bardzo mi przyjemnie, że mogłem zwiastować tak dobrą wiadomość, – mówił dalej dyrektor – i radzę wytrwać na drodze, którą pan idzie tak odważnie. Najwieloletniejsza przyszłość czeka pana. Może pan odejść?

Wreszcie po długiej próbie, Marceli ujrzał cel, do którego wytrwale dążył.

W kilka minut złożył swoje odzienie do walizki i w towarzystwie żołnierzy w szarych mundurach dostał się do ostatniego muru, do którego jedyna brama, wychodząca na drogę A., mogła być tak długo jeszcze zamknięta przed nim.

Znalazł się u stóp niedostępnej wieży Byka, której nasróżony główny widział zdala niknąc w obłokach.

Widok, jaki zobaczył, należał z pewnością do najbardziej niespodzianych. Wyobraźcie sobie człowieka, nagle, odrazu przeniesionego z pracowni europejskiej, hałaśliwej, pospolitej, w głębokim dziewiczym lasu podzwrotnikowej sfery. Taka to niespodzianka czekała Marcelego w rodoku Stahlstadtu.

Znalazł się we wspaniałym parku Herr Schultze’a. Wysmukłe palmy, gęste banany, tworzyły ciemny nieprzebyty gęszcz. Cudaczne liany, pnąc się z wdziękiem, zwieszały się zielonymi wieściami lub opadały w bogatych warkoczach. Najdziwniej wyglądające rośliny kwitły tu i dojrzewały. Ananasy dojrzewały obok pomarańczy. Kolibry i ptaki rajskie roztaczały na wolnym powietrzu przepych swego pierza, wreszcie sama temperatura była tak zwrotnikowa, jak cała roślinność.

Marceli wodził oczami, szukał kaloryferów i szklanego dachu, które dokonywały tego cudu, i oszupiał na chwilę, widząc tylko błękit nieba.

Przy niej przypomniał sobie, że niedaleko stamtąd była kopalnia węgla, paląca się ciętym ogniem, zrozumiał, że Herr Schultze dowcipnie zużytkował te skarby podziemnego ciepła i sprowadzał je metalicznymi rurami, urządził u siebie stałą temperaturę cieplarni.

Ale chociaż rozum młodego Alzaczyka wytłumaczył mu zagadkę, oczy jego były oczarowane zielonością trawników, a nozdrza z zachwytem wchłaniały zapach, napełniający atmosferę. Wynagradzał sobie teraz sześć miesięcy czasu, które spędził, nie widząc ani jednego śladu trawy. Ulicę wysypaną piaskiem doszedł po nieznaczej pochyłości do marmurowych schodów, ponad którymi panowała wspaniała kolumnada. Wtyle wznosiła się olbrzymia masa wielkiego czworokątnego gmachu, który był jakby podstawą Wieży Byka. W przedśionku Marceli spostrzegł siedmiu czy ośmiu lokajów w czerwonej liberji i szwajcara z kapeluszem o trzech rogach i halabardą; zauważył

bogate kandelabry z brązu między kolumnami, a kiedy wstąpiła na stopnie, usłyszała lekki huk, z którego domyśliła się, że pod stopami jego przechodziła podziemna kolej żelazna.

Marceli wymienił swoje nazwisko i został wprowadzony do przedpokoju, który był prawdziwym muzeum rzeźby. Nie zatrzymując się w nim, przeszedł czerwony salon, potem salon czarny i przybył do salonu zielonego, gdzie lokaj zostawił go samego na pięć minut. Wreszcie został wprowadzony do przepysznej zielonej gabinecie.

Herr Schultze we własnej osobie, palący długą, glinianą fajkę i popijający piwo ze swojego kufła, wśród całego tego przepychu, robił wrażenie plamy z bota na lakierowanym bucie.

Nie podniósł się, nie odwróciwszy nawet głowy, stalowy król rzekł zimno i obojętnie:

– Jesteś rysownikiem?

– Tak, panie.

– Widziałem twoje rysunki. Są bardzo dobre. Ale czy nie znasz nic więcej oprócz maszyn parowych?

– Nigdy mi nie pytano o nic więcej.

– Czy znasz trochę balistikę?

– Studjuję ją w swobodnych chwilach dla własnej przyjemności.

Odpowiedział przemówiła do serca Herr Schultze'a. Rządził spojrzeć na swego podwładnego.

– A zatem podejmujesz się wyrysować razem ze mną armatę? Zobaczmy, jak się z tego wywiędiesz? Trudno ci będzie zastąpić tego generała Sohne'a, który zabił się dziś rano, obracając w ręku woreczek z dynamitem? Bydlę! mój nas wszystkich wysadzi w powietrze!

Trzeba wyznać, że ten brak wszelkiego uczucia nie wydawał się oburzającym w ustach Herr Schultze'a.

Rozdział VIII

Jaskinia smoka.

Przy zwi?kszej?ciem si? ci?gle powodzeniu, jakiego doznawa? m?ody alzeczyk, czytelnik nie b?dzie si? zapewne dziwi?, ?e po kilku tygodniach zastanie go ?yj?cego w najwi?kszej poufa?o?ci z Herr Schultze?m. Nie roz??czali si? prawie ze sob?. Praca, posi?ek, przechadzka do parku, d?ugie fajki, palone obok musuj?cego piwa – wszystko to by?o im wsp?lne.

Nigdy jeszcze ex-profesor z Jeny nie mia? wsp??pracownika, kt?ryby go tak rozumia? p??s??wkami, rzecz mo?na, kt?ryby umia? tak zu?ytkowa? jego teoretyczne pomys?y.

Marceli nie tylko w najwy?szym stopniu posiada? znajomo?? swego rzemios?a we wszystkich jego ga??ziach, by? to zarazem najprzyjemniejszy towarzysz, pracownik niezmordowany, wynalazca p?odny, a pomimo to skromny nies?ychanie.

Herr Schultze by? nim zachwycony. Dziesi?? razy na dzie? m?wi? do siebie samego:

– Co za skarb! Co za per?a ten ch?opiec!

W istocie za? Marceli od pierwszego rzutu oka pozna? charakter straszego swego patrona. Dojrza?, ?e g??wn? cech? jego charakteru by? egoizm, pot??ny, wszystko?erny, objawiaj?cy si? na zewn?trz bezmiern? pr??no?ci? i do tego dostosowa? ca?e swoje post?powanie.

W ci?gu kilku dni m?ody Alzeczyk tak doskonale pozna? mechanizm tej klawiatury, ?e gra? na Herr Schultze?u, jak na fortepianie. Taktyka jego polega?a na tem, ?e stara? si? o ile m?g? wykaza? swoj? w?asn? zas?ug?, ale czyni? to w taki spos?b, by da? zarazem tamtemu mo?no?? wykazania jego wy?szo?ci nad sob?.

Naprzyk?ad, gdy chodzi?o o rysunek, wykonywa? go bez zarzutu, zostawiaj?c jednak?e jaki? b??d, ?atwy do poprawienia; tak, ?e ex-profesor zwraca? na? natychmiast uwag?.

Je?eli mia? jak?? teoretyczn? my?l, stara? si? da? j? pozna? w rozmowie, a to w taki spos?b, by Herr Schultze m?g? s?dzi?, ?e sam trafi? na ni?. Czasami nawet posuwa? si? dalej, m?wi?c naprzyk?ad.

– Zrobi?em plan tego statku o zdejmuj?cej si? ostrodze, o kt?rym m?wi? pan ostatnio.

– Ja? – odpowiada? Herr Schultze, kt?ry nigdy nie my?la? o niczem podobnem.

– No, tak! Zapomnia? pan o tem?? Ostroga odejmuje si? i zostawia w nieprzyjacielskim statku torped?, wybuchaj?c? dopiero po up?ywie trzech minut!

– Nic ju? nie pami?tam. Tyle mam pomys??w w g?owie!

I Herr Schultze spokojnie przyw?aszcza? sobie ojcostwo nowego wynalazku.

Może tylko nawp?? dawa? si? oszukiwa?. Prawdopodobnie czu? w duszy wy?szo?? Marcelego nad sob?. Ale egoizm i niezwalczona duma kaza?y mu k?ama? przed samym sob?. By? genialny; chcia?, by podw?adny mia? takie z?udzenie!?

– A to g?upiec, z ca?ym swoim rozumem! – m?wi? do siebie niekiedy, ?miej?c si? zcicha i ukazuj?c swoje trzydzie?ci dwa z?by.

Zreszt?, pr??no?? jego umia?a to sobie wynagrodzi?. On tylko jeden na ?wiecie m?g? urzeczywistni? tego rodzaju marzenia przemys?owe!?. Marzenia te mia?y warto?? tylko przez niego i dla niego!?. Marceli jest niczem wi?cej, jak jednym z k??ek organizmu, kt?ry on, Schultze, umia? stworzy? i t. d. i t. d.

Mimo to, nie wygada? si?, jak powiadaj?. Po pi?ciu miesi?cach pobytu w Wie?y Byka, Marceli nie wiele wiezia? o tajemnicach Dzielnicy ?rodkowej. Wprawdzie, podejrzenia jego sta?y si? prawie pewnikami. Coraz mocniej by? przekonany, ?e w Stahlstadzie ukrywa?a si? tajemnica, ?e i Herr Schultze opr?cz zysku, mia? jeszcze co? innego na celu. Wy??czny kierunek my?li jego, a nawet rodzaj przemys?u, kt?remu si? odda?, nasuwa? prawdopodobn? hipotez?, ?e chodzi?o o wynalazek jakiej? nowej maszyny wojennej.

Ale co i jak? Zagadka zawsze jeszcze by?a ciemn? i nieodgadni?t?.

Marceli doszed? wreszcie do przekonania, ?e nie dowie si? o niej bez jakiego? przesilenia. Widz?c, ?e to nie nast?pi samo, postanowi? doprowadzi? do niego.

By?o to wieczorem 5 wrze?nia, pod koniec obiadu. Rok temu, w ten sam dzie?, Marceli odnalaz? w studni Albrechta zw?oki swego ma?ego przyjaciela, Karla.

D?uga, surowa zima tej Szwajcarji ameryka?skiej pokrywa?a jeszcze swoim bia?ym p?aszczem wszystkie pola doko?a. Ale w parku Stahlstadt?u temperatura by?a tak ciep?a, jak w czerwcu i ?nieg, topniej?c, zanim dotkn?? ziemi, opada? w postaci rosy, nie za? bia?ych p?atk?w.

– Prawda, jaka doskona?a kie?basa z kapust?? – odezwa? si? Herr Schultze, kt?ry mimo milion?w nie straci? upodobania do ulubionej potrawy.

– Doskona?a, – odrzek? Marceli, kt?ry jad? j? po bohatersku, chocia? czu? ju? do niej prawie wstr?t, tak mu obrzyd?a.

Buntuj?cy si? ?o??dek sk?oni? go wreszcie do kroku, nad kt?rym przemy?liwa? oddawna.

– Nie rozumiem, jak mog? ?y? narody, kt?re nie maj? ani kie?basy, ani kapusty, ani piwa! – doda? z westchnieniem Herr Schultze.

– ?ycie musi by? dla nich d?ug? m?czarni?, – odpowiedzia? Marceli. – B?dzie to prawdziwy humanitarny uczynek, kiedy si? je przy??czy do ?Vaterlandu?.

– Ho, ho!?. nast?pi to? nast?pi!?. – zawo?a? kr?l stalowy. – Usadowili?my si? ju? w samym ?rodku Ameryki. Niechno zdob?dziemy jedn? lub dwie wyspy w okolicach Japonji, a zobaczysz,

jakimi krokami p?jdziemy naprz?d.

Lokaj wni?s? fajki. Herr Schultze na?o?y? swoj? i zapali?. Marceli rozmy?lnie obra? t? chwil? b? ogiego usposobienia.

– Musz? wyzna?, – rzek? po chwilowem milczeniu, – ?e nie bardzo wierz? w ten podb?j!

– Jaki podb?j? – zapyta? Herr Schultze, kt?ry zapomnia? ju? o przedmiocie rozmowy.

– Podb?j ?wiata przez Niemc?w.

Eksprofesor s?dzi?, ?e ?le us?ysza?.

– Nie wierzysz w podb?j ?wiata przez Niemc?w?

– Nie?

– A to dobre, to mi si? podoba! – Chcia?bym wiedzie?, jaka jest przyczyna tego pow?tpiewania?

– Ta poprostu, ?e artylerzy?ci francuscy prze?cign? was i pobij?? Szwajcarzy, moi rodacy, kt?rzy znaj? ich dobrze, utrzymuj?, ?e u Francuza nauka nie idzie w las. Rok 1870 by? dla nich smutn? nauk?, kt?ra na z?e wyjdzie nauczycielom. Nikt o tem nie w?tpi w naszym ma?ym kraju, a je?eli mam panu powiedzie? wszystko, – takie te? jest zdanie najwytrawniejszych ludzi w Anglii.

Marceli wym?wi? te s?owa tonem zimnym, suchym stanowczym, co zwi?kszy?o jeszcze, je?eli podobna, wra?enie, jakie to blu?nierstwo, tak wr?cz wypowiedziane, musia?o sprawi? na kr?lu stalowym.

Herr Schultze oniemia?, os?upia?. Krew tak gwa?townie uderzy?a mu do twarzy, ?e m?odzieniec przestraszy? si?, czy nie za daleko zaszed?. Spozrzeg?szy jednak, ?e ofiara wytrzyma?a cios, chocia? o ma?o nie udusi?a si? z w?ciek?o?ci, m?wi? dalej:

– Przykro mi o tem m?wi?, ale tak jest. Nasi wsp??zawodnicy nie zdradzaj? si? ?adnym ruchem, ale tem zawzi?ciej pracuj?. My?li pan, ?e niczego si? nie nauczyli od czasu ostatniej wojny? Podczas gdy my niezdarnie powi?kszamy ci??ar naszych dzia?, b?d? pan pewien, ?e oni przygotowuj? co? nowego, o czem dowiemy si? przy pierwszej sposobno?ci.

– Nowego! nowego! – wyj?ka? Herr Schultze. – My te? robimy co? nowego!

– A tak, jest o czem m?wi?! Robimy ze stali to, co poprzednicy nasi robili z bronzu, ot i wszystko! Podwajamy rozmiary i donios?o?? naszych dzia?!

– Podwajamy?? – odrzek? Herr Schultze tonem, kt?ry znaczy?: – Naprawd?, wi?cej ni? podwajamy!

– Ale w gruncie rzeczy jeste?my tylko na?ladowcami. Chce pan, ?eby?m powiedzia? prawd?? Brak nam zdolno?ci do wynalazku. Nie mo?emy nic wynale??, a Francuzi? Z pewno?ci? nie

zasypiaj? gruszek w popiele, b?d? pan tego pewien!

Herr Schultze odzyska? zimn? krew. Jednak?e dr?enie jego warg i blado??, kt?ra nast?pi?a po apoplektycznej czerwono?ci twarzy, wskazywa?y, ?e wulkan nie uspokoi? si? jeszcze po wybuchu. Doj?? do takiego stopnia upokorzenia? Nazywa? si? Schultzem, by? absolutnym panem najwi?kszej fabryki i najlepszej na ?wiecie odlewni dzia?, widzie? u st?p swoich parlamenty i kr?l?w, i s?ysze? od lichego szwajcarskiego rysownika, ?e braknie ci zdolno?ci wynalazczych, ?e stoisz ni?ej francuskiego artylerzysty! I to w?wczas, kiedy tu? za murem, masz co?, czem m?g?by? wprawi? w zdumienie tego zuchwalca, zamkn?? mu usta i zniweczy? jego g?upie dowodzenie. Nie, trudno znie?? tak? m?czarni?.

Herr Schultze zerwa? si? tak nagle, ?e st?uk? fajk?. Potem, patrz?c na Marcelego z ironj?, i zaciskaj?c z?by, rzek?, a raczej sykn??:

– Chod? pan ze mn?, poka?? panu, czy ja, Herr Schultze, nie mam zdolno?ci do wynalazku!

Marceli postawi? wiele na stawk?, ale wygra?, dzi?ki zdziwieniu, jaki wywo?a? jego nag?y i niespodziewany atak i dzi?ki gwa?townemu gniewowi, kt?ry ogarn?? ex-profesora. Pr??no?? by?a silniejsza, ni? ostro?no??. Teraz ju? pilno by?o Schultze?mu wyja?ni? tajemnic?, i jak gdyby pchni?ty jak?? si??, wszed? do swego gabinetu, starannie zamykaj?c drzwi. Skierowa? si? prosto do szafy z ksi??kami i dotkn?? jednej z jej ?cian. Rozleg? si? zgrzyt i ukaza? si? murze otw?r, zakryty rz?dami tom?w. By?o to wej?cie do w?skiego przej?cia, kt?rego kamienne schody prowadzi?y a? do samych st?p Wie?y Byka.

Tam d?bowe drzwi otworzy?y si? za pomoc? ma?ego kluczyka, z kt?rym si? nigdy nie rozstawa?. Nast?pne drzwi zamkni?te by?y na sylabiczn? k??dk?, w rodzaju tych, jakich si? u?ywa do okutych skrzy?. Herr Schultze u?o?y? s?owo i otworzy? ci??kie ?elazne podwoje, z wewn?trznej strony uzbrojone w skomplikowany przyrz?d samowybuchaj?cy, kt?remu Marceli, zapewne przez zawodow? ciekawo??. chcia? si? bli?ej przypatrzy?. Ale przewodnik nie da? na to czasu.

Obydwaj znale?li si? przed trzeciemi drzwiami, bez widocznego zamku, kt?re otworzy?y si? za prostym pchni?ciem, wykonaniem, ma si? rozumie?, pod?ug okre?lonych prawide?.

Przebywszy te trzy sza?ce, Herr Schultze i towarzysz jego musieli wej?? na dwie?cie stopni ? elaznych schod?w i dostali si? na szczyt Wie?y Byka, kt?ra panowa?a nad Stalowem Miastem.

Na tej wie?y z granitu, kt?rej moc by?a niepokonana, znajdowa? si? rodzaj zaokr?glonej kazematy, a w niej kilka strzelnic. Na ?rodku kazematy sta?a armata ze stali.

– Prosz?, – rzek? profesor, kt?ry przez ca?? drog? milcza?.

By?a to najwi?ksza z obl??niczych armat, jakie Marceli widzia? kiedykolwiek. Musia?a wa?y? przynajmniej trzysta tysi?cy kilogram?w i nabija?a si? od ty?u. Otw?r jej mia? p??tora metra ? rednicy. Osadzona na lawecie ze stali, toczy?a si? po pasach z tego? metalu; dzi?ki systemowi z? batych k??, ruchy jej by?y tak u?atwione, ?e dziecko mog?oby ni? kierowa?. W tyle lawety znajdowa?a si? spr??y?na, kt?ra mia?a zapobiega? cofaniu si? dzia?a, a przynajmniej ?ci?le r?

wnowa?y? je i po ka?dym strzale automatycznie ustawia? na dawnym miejscu.

– Jaka jest si?a tego dzia?a? – zapyta? Marceli.

– O dwadzie?cia tysi?cy metr?w pe?nym pociskiem przebijamy blach? grub? na czterdzie?ci cali z tak? ?atwo?ci?, jak gdyby to by?a kartka papieru.

– Jaka jest jego dono?no???

– Dono?no?? jego! – zawo?a? Herr Schultze, unosz?c si?. – M?wi?e? przed chwil?, ?e nasz na? ladowczy genjusz zdoby? si? tylko na zwi?kszenie dono?no?ci tera?niejszych dzia?? Ot?? ja podejmuj? si? wyrzuci? z tego dzia?a pocisk na dziesi?? mil odleg?o?ci.

– Dziesi?? mil? – zawo?a? Marceli. – Dziesi?? mil! Jakiego nowego prochu u?ywa pan, na Boga?

– Teraz ju? mog? wszystko powiedzie?: – powiedzia? Herr Schultze szczeg?lnym tonem. – Nic ju? teraz nie stoi na przeszkodzie. Mog? ci ods?oni? wszystkie moje tajemnice! Gruboziarnisty proch robi? ju? swoje. Ja u?yвам bawe?ny strzelniczej, kt?rej si?a rozsadzania jest cztery razy wi?ksza od zwyk?ego prochu, si?? t? powi?kszam pi?ciokrotnie, dodaj?c saletry w ilo?ci o?miu dziesi?tych wagi bawe?ny.

– Ale, – robi? uwag? Marceli, – ?adna armata, chocia?by by?a z najlepszej stali nie potrafi oprze? si? ci?nieniu tych gaz?w. Dzia?o pa?skie po trzech, czterech, pi?ciu wystrza?ach b?dzie zepsute i nie do u?ytku.

– Chocia?by wystrzeli?o jeden raz, tylko jeden, to wystarczy.

– Ten raz kosztowa?by drogo!

– Miljon, poniewa? armata tyle kosztuje!

– Strza? jednomiljonowy!?

– Mniejsza o to, je?eli ten strza? mo?e zniszczy? miliard?

– Miliard! – zawo?a? Marceli.

Powstrzyma? si? jednak od wybuchu zgrozy, pomieszanej z uczuciem podziwu, kt?ry budzi? w nim ten nadzwyczajny cz?owiek. Potem doda?:

– Dzia?o to jest niew?tpliwie doskona?e, ale pomimo wszystkich jego zalet, widz?, ?e usprawiedliwia moje poprzednie zdanie: udoskonalenia, na?ladownictwo, brak my?li tw?rczej.

– Brak my?li tw?rczej? – odpowiedzia? Herr Schultze, wzruszaj?c ramionami. – Powtarzam, ?e nie mam ju? tajemnic przed panem. Prosz? za mn?!

Stalowy kr?li towarzysz jego opu?cili kazemat? i zeszli na ni?sze pi?tro, kt?re ??czy?o si? z

platform? za pomoc? hydraulicznych wind. Znajdowa?a si? tam pewna ilo?? przedmiot?w pod?u? nego ksza?tu, formy cylindrycznej; zdaleka wygl?da?y, jak armaty, zdj?te z lawet.

– Oto nasze granaty, – rzek? Herr Schultze.

Tym razem Marceli musia? wyzna?, ?e narz?dzia, na kt?re patrza?, w niczem nie by?y podobne do tych, jakie zna? dawniej.

By?y to ogromne rury, d?ugie na dwa metry, maj?ce w ?rednicy jeden metr i dziesi?? centymetr?w, wewn?trz pokryte o?owiem, na kt?rym mog?y si? odcisn?? gwinty lufy dzia?owej, zamkni?te zty?u? stalow? nitowan? blach?, a z przodu zako?czone kojcem ze stali, zaopatrzonym w perkusyjny, czyli pistonowy guzik.

Jak by?a szczeg?lna w?asno?? tych granat?w? Z powierzchniowo?ci ich trudno si? by?o tego domy?le?. Mo?na by?o chyba tylko przeczuwa?, ?e zawiera?y w swoim wn?trzu jaki? materia? straszliwie wybuchaj?cy, straszliwiej od wszystkiego, co dot?d zrobiono w tym rodzaju.

– Nie odgadujesz? – zapyta? Herr Schultze, widz?c, ?e Marceli milczy.

– Na honor, nie! POCO granat tak d?ugi i ci??ki, przynajmniej z pozoru?

– Poz?r myli, – odpowiedzia? Herr Schultze, – ci??ar jego nie bardzo si? r??ni od zwyk?ego granatu tego? kalibru? No, trzeba ci wszystko powiedzie?!? Granat-raca jest zrobiony ze szk?a, pokrytego drzewem d?bowem i na?adowany p?ynnym dwutlenkiem w?gla, przy wewn?trznem ci?nieniu siedemdziesi?ciu dw?ch atmosfer. Spadaj?c, granat p?ka, i p?yn zamienia si? w gaz. Nast?pstwa tego s? takie: na dosy? znacznej przestrzeni w tem miejscu, gdzie p?k? granat, powstaje zimno oko?o stu stopni poni?ej zera, a jednocze?nie ogromna ilo?? dwutlenku w?gla zmiesza si? z otaczaj?cem powietrzem. Wszystkie ?ywe istoty, znajduj?ce si? w promieniu trzydziestu metr?w od miejsca wybuchu, ulegaj? zmarzni?ciu, a zarazem uduszeniu. M?wi?c trzydzie?ci metr?w, bior? tylko t? liczb?, jako podstaw? rachunku, bo prawdopodobnie dzia?anie rozci?gnie si? bez por?wnania dalej. Zachodzi przytem bardzo korzystna okoliczno??: poniewa? dwutlenek w?gla wskutek swego ci??aru, wi?kszego od powietrza, przez d?ugi czas trzyma si? ni?szych warstw atmosfery, przeto niebezpieczny ten pas zachowuje niszc?ce swe w?asno?ci przez kilka godzin po wybuchu, tak, ?e kto tylko zechce przez ten czas przekroczy? go, musi nieodwo?alnie zgin??. Skutek strza?u armatniego jest zatem natychmiastowy i trwa?y? To te? w?wczas niema ju? rannych, sami tylko umarli!

Herr Schultze doznawa? widocznej przyjemno?ci, kiedy tak rozwija? zalety swojego wynalazku. Wr?ci? mu dobry humor, twarz okry?a si? rumie?cem dumy i wszystkie z?by wyszczerzy? w u?miechu.

– Wyobra? sobie, – doda?, – pewn? ilo?? moich dzia?, skierowanych na oblegane miasto! Licz?c po jednej armacie na hektar przestrzeni, trzeba b?dzie sto baterij po dziesi?? dobrze ustawionych dzia? na miasto o powierzchni tysi?ca hektar?w. Wyobra?my sobie, ?e wszystkie te dzia?a znajduj? si? na przeznaczonym miejscu i ka?de z nich ma sw?j cel, ?e powietrze jest spokojne i przyjazne, wreszcie, ?e w danej chwili drut elektryczny daje og?lny sygna?? W jednej chwili nie pozostanie przy ?yciu ani jedna istota na przestrzeni tysi?ca hektar?w. Prawdziwy ocean dwutlenku w?gla zaleje

miasto! My!ł ta powsta?a mi w g?owie w zesz?ym roku, kiedy czyta?em sprawozdanie lekarskie o przypadkowej ?mierci ma?ego g?rnika w studni Albrechta! Powzi??em j? najprz?d w Neapolu, kiedy zwiedza? Psi? Grot?¹. Ale dopiero ten ostatni wypadek rozwin?? j? i ustali? ca?kowiec. Rozumiesz dobrze zasad?, prawda? Sztuczny ocean czystego dwutlenku! Ot?? jedna pi?ta proporcja tego gazu wystarcza, by zatru? powietrze i uczyni? je niemo?ebnem do oddychania.

Marceli nie m?wi? ani s?owa. Zamkni?to mu usta. Herr Schultze tak ?ywo odczu? sw?j triumf, ?e nie chcia? go nadu?ywa?.

– Jeden tylko szczeg?? niepokoi mnie, – rzek?.

– Jaki? – zapyta? Marceli.

– Nie uda?o mi si? wynale?? sposobu usuni?cia towarzyszc?ego wybuchowi ?oskotu, skutkiem czego m?j strza? armatni wiele b?dzie mia? podobie?stwa z pospolitym strza?em. Pomy?ł sobie, coby to by?o, gdybym wynalaz? cichy strza?! Ta nag?a ?mier?, spadaj?ca bez najmniejszego ha?asu na sto tysi?cy ludzi odrazu w noc spokojn? i pogodn?!

Herr Schultze pogr??y? si? w marzeniach o uroczym ideale i marzenie to, kt?re by?o w?a?ciwie tylko g??boki?m zanurzaniem si? w uczuciu mi?o?ci w?asnej, poci?gn??oby si? zapewne d?ugo, gdyby Marceli nie przerwa? go nast?puj?c? uwag?:

– Bardzo dobrze, panie, bardzo dobrze, ale tysi?ce dzia? tego rodzaju, to? to olbrzymia suma pieni?dzy i czasu.

– Pieni?dzy? mam je na zawo?anie! Czasu? Czas do nas nale?y!

Herr Schultze wierzy? naprawd?, w to co m?wi?.

– Niech i tak b?dzie, – odpowiedzia? Marceli. – Granat pa?ski, na?adowany dwutlenkiem w?gla, niekoniecznie jest nowo?ci?, pochodzi bowiem od dawna znanych truj?cych pocisk?w; ale nie przecz?, ?e jest pot??nie niszczy?ym. Tylko?

– Tylko??

– Wzgl?dnie do swych rozmiar?w jest za lekki i je?li p?jdzie o dziesi?? mil?

– Jego przeznaczeniem jest p?j?? tylko o dwie mile, – odpowiedzia? z u?miechem Herr Schultze. – Ale, – doda?, pokazuj?c inny granat, – oto pocisk z lanego ?elaza. Ten jest pe?ny i zawiera w sobie sto ma?ych dzia? symetrycznie u?o?onych, osadzonych jedne w drugich tak, jak rury w perspektywie, i kt?re, wyrzucone jako pociski staj? si? dzia?ami i z kolei wyrzucaj? ma?e granaty, na?adowane palnymi materja?ami. To tak, jakgdybym wyrzuci? w powietrze baterj?; zaniecie ona po?ar i ?mier? na ca?e miasto, zasypuj?c je gradem nieugaszonych ogni! Ten pocisk ma ci??ar potrzebny do przebycia dziesi?ciu mil, o kt?rych m?wi?em! I wkr?tce zrobimy z nim takie do?wiadczenie, ?e niedowiarki b?d? mogli dotkn?? palcem stu tysi?cy trup?w, kt?re legn? od niego na ziemi.

Złby ?wieci?y si? w tej chwili tak niezno?nym blaskiem w ustach Herr Schultze?a, ?e Marceli mia? gwa?town? ochot? wybi? mu ich z tuzin. Ale mia? si?? powstrzyma? si?. Nie by?o to bowiem jeszcze wszystko, co mia? us?ysze? od Stalowego Kr?la.

W istocie Herr Schultze przem?wi? dalej:

– Powiedzia?em ju?, ?e niezad?ugo odb?dzie si? stanowcza pr?ba.

– Jak? gdzie? – zawo?a? Marceli.

– Jak? Jednym z tych granat?w, kt?ry, wyrzucony przez moj? armat? przeb?dzie ?a?cuch Cascade-Mounts!?. Gdzie? Na miasto, odleg?e od nas conajmniej o dziesi?? mil, miasto, kt?re nie mo?e spodziewa? si? tego gromu; a chocia?by si? nawet spodziewa?o, nie mog?oby si? uchroni? od piorunuj?cych nast?pstw jego. Mamy dzi? pi?ty wrze?nia? A zatem 13-go, trzy kwadransy przed p?? noc? Frankopolis zniknie z powierzchni ziemi! B?dzie to nowy po?ar Sodomy! Profesor Schultze ci? nie wszystkie ognie niebios na ziemi?!

Na t? niespodzian? wiadomo?? wszystkie krew Marcelego zbieg?a mu do serca. Na szcz??cie Herr Schultze nie spostrzeg?, co si? z nim dzia?o.

– Tak, – m?wi? dalej swobodnym tonem. – My tutaj robimy rzeczy wprost przeciwne temu, co czyni? wynalazcy Frankopolis. My szukamy tajemnicy skr?cenia ?ycia ludzkiego, podczas kiedy oni szukaj? sposobu przed?u?enia go. Ale dzie?o ich skazane jest na zagub?, a ze ?mierci, kt?r? zasiejemy, ma powsta? ?ycie.

Jednak?e wszystko w przyrodzie ma sw?j cel, i dokt?r Sarrasin, zak?adaj?c odosobnione miasto, dostarczy? mi, nie domy?laj?c si? tego, najwspanialszego pola do moich do?wiadcze?.

Marceli nie chcia? wierzy? temu, co s?ysza?.

– Ale, – rzek? g?osem, kt?rego mimowolne dr?enie zwr?ci?o uwag? Herr Schultze?go, – mieszka?cy Frankopolis nie zrobili panu nic z?ego! O ile wiem, nie ma pan ?adnego powodu do wojny z nimi?

– M?j drogi, – odpowiedzia? Herr Schultze – w m?zgu twoim, dobrze zorganizowanym pod innymi wzgl?dami, jest zas?b idei celtyckich, kt?re szkodzi?yby ci bardzo, gdyby? mia? d?ugo ?y?. Prawo, dobro, z?o, to s? rzeczy wzgl?dne i zale?ne od sposobu zapatrywania. Jedynie wielkie prawa natury s? bezwzgl?dne. Prawo wsp??zawodnictwa bytu jest absolutne, jak prawo ci??enia. By?oby szale?stwem nie uznawa? praw walki o byt. Zastosowanie si? do tego prawa i dzia?anie w jego duchu jest rzecz? rozs?dn? i m?dr?, i dlatego zniszcz? miasto doktora Sarrasin?a. Dzi?ki mojej armacie, pi??dziesi?t tysi?cy Niemc?w ?atwo pokona sto tysi?cy marzycieli, skazanych na zag?ad?.

Marceli, pojmuj?c, ?e dyskusja z Herr Schultze?m by?aby r?wnoznaczna z przys?owiem rzucaniem grochu o ?cian?, nie stara? si? go odwie?? od jego zamiaru.

Obydwaj opu?cili pok?j granat?w i wr?cili do pokoju jadalnego.

Z najnaturalniejsz? min? w ?wiecie Herr Schultze podni?s? do ust sw?j kufel piwa i

zadzwońszy na s?u??cego, kaza? sobie poda? inn? fajk? na miejsce tej, kt?r? st?uk?, poczem rzek? do lokaja:

– Czy Arminjus i Sigimer s? na podor?dziu?

– Tak, panie.

– Powiedz im, ?e maj? by? na moje zawo?anie.

Kiedy s?u??cy opu?ci? jadalni?, kr?l stalowy, obr?ciwszy si? do Marcelego, spojrze? mu prosto w twarz.

Alzacyjny nie spu?ci? oczu przed tym ostrym, jak metal, wzrokiem.

– Wykona pan ten projekt?

– Wykonam. Znam doskonale po?o?enie Frankopolis, wiem, na jakiej le?y szeroko?ci geograficznej i 13-go wrze?nia trzy kwadransy przed p??noc? miasto Sarrasina zako?czy sw?j byt.

– Nale?a?oby plan ten utrzyma? w zupe?nej tajemnicy!

– M?j drogi, – odpowiedzia? Herr Schultze, – widz?, ?e nigdy nie b?dziesz logiczny. Z tego powodu mniej ju? ?a?uj?, ?e masz tak m?odo umrze?.

Marceli powsta?.

– Jakt?, – zimno doda? Herr Schultze, – czy? nie zrozumia?, ?e o moich zamiarach m?wi? tylko tym, kt?rzy nigdy ich nie b?d? mogli powt?rzy?Zadzwoń? znowu. Dwaj olbrzymi, Arminjus i Sigimer, ukazali si? we drzwiach sali.

– Chcia?e? pozna? moj? tajemnic?, pozna?e? j?, – rzek? Herr Schultze? – Teraz musisz umrze?.

Marceli nic nie odpowiedzia?.

– Za wiele masz rozumu, – m?wi? dalej Herr Schultze, – by? m?g? s?dzi?, ?e pozwol? ci ?y? teraz, kiedy wiesz o moich zamiarach. By?aby to lekkomy?lno?? nie do darowania, by?aby to nielogiczno??. Wielko?? celu nie pozwala mi nara?a? jego powodzenia dla wzgl?du tak ma?ej stosunkowo warto?ci, jak ?ycie cz?owieka – nawet takiego cz?owieka, jak ty, m?j kochany, kt?rego dobr? organizacj? m?zgow? wysoko ceni?. To te? ?a?uj?, ?e mi?o?? w?asna poci?gn??a mi? za daleko i ?e teraz musz? ci? zg?adzi?. Ale musisz zrozumie?, i? wobec sprawy, kt?rej si? po?wi?ci?em, nie mo?e by? mowy o uczuciu. Mog? ci wyzna?, ?e tw?j poprzednik Sohne umar? dlatego tylko, ?e odkry? moj? tajemnic?, a nie z powodu wybuchu dynamitu. Prawid?o jest bezwzgl?dne i musi by? niez?omne. Nic na to poradzi? nie mog?.

Marceli patrze? na Herr Schultze?a. Z d?wi?ku jego g?osu, ze zwierz?cego uporu tej ?ysey g?owy, zrozumia?, ?e jest zgubiony. To te? nie my?la? si? sprzeciwia?.

– Kiedy umr? i jak? ?mierci??

– Nie troszcz si? o te szczeg??y, – odrzek? spokojnie Herr Schultze. – Umrzesz, ale nie b?dziesz cierpia?. Pewnego rana nie obudzisz si? wcale. Nic wi?cej.

Na znak dany przez stalowego kr?la, Marceli zosta? wyprowadzony i zamkni?ty w swoim pokoju, przy kt?rego drzwiach zostali na stra?y dwaj olbrzymi.

Pozostawszy sam, m?ody cz?owiek z gniewem i strasznym niepokojem zacz?? my?le? o doktorze i jego rodzinie, o swoich rodakach, o wszystkich tych, kt?rych kocha?.

– Niczem jest ?mier?, kt?ra mi? czeka, – m?wi? do siebie, – ale to niebezpiecze?stwo, kt?re im grozi. Jak temu zapobiec!?

[?](#)

[\[2\]](#)1 Psia Grota, znajduj?ca si? w okolicach Neapolu, zawdzi?cza sw? nazw? szczeg?lnej w?asno?ci atmosfery, od kt?rej dusi si? pies lub ka?de inne czworono?ne zwierz? o niskich nogach, a kt?ra nie szkodzi stoj?cemu cz?owiekowi. W?asno?? ta pochodzi od warstwy dwutlenku w?gla, grubej na sze??dziesi?t centymetr?w; ten bowiem jako ci??szy od powietrza trzyma si? przy ziemi.

[?](#)

Rozdzia? IX

Ucieczka.

W istocie, po?o?enie by?o bardzo niebezpieczne. Co m?g? zrobi? Marceli, kt?rego godziny ?ycia by?y policzone i kt?rego ostatni dzie? zbli?a? si? z zachodem s?o?ca!

Nie spa? ani chwili – nie z obawy, ?e si? nie obudzi wi?cej, jak powiedzia? Herr Schultze, ale dlatego, ?e my?l jego nie mog?a rozsta? si? z Frankopolis, kt?remu grozi?a tak bliska katastrofa.

– Co pocz??? – powtarza?. – Zniszczy? t? armat?? Wysadzi? w powietrze wie??, w jakiej si? znajduje? Jak m?g?bym tego dokona?? Ucieka?!? ucieka?, kiedy pokoju mego strzeg? te dwa olbrzymy. A chocia?by nawet uda?o si? przed dat? 13-go wrze?nia opu?ci? Stahlstadt, w jaki spos?b m?g?bym przeszkodzi? katastrofie?? Ale tak! Je?eli nie drogie nasze miasto, to przynajmniej jego mieszka?c?w m?g?bym uratowa?, dosta? si? do nich i zawo?a?: Uciekajcie! uciekajcie niezw?ocznie! Grozi wam ogie?, grozi ?elazo- Uciekajcie wszyscy!

Potem my?li Marcelego pod??y?y w inn? stron?.

– Ten n?dznik Schultze! – my?la?. – Przypuszczaj?c nawet, i? przesadzi m?wi?c o niszcz?cych skutkach swego granatu i ?e nie mo?e zala? ca?ego miasta nieugaszonym ogniem, pewn? jest jednak rzecz?, ?e znacz? cz??? jego mo?e spali? odrazu. Wynalaz? straszn? maszyn?. Mimo przestrzeni, kt?ra dzieli oba miasta, olbrzymia armata potrafi si?gn?? celu swoim pociskiem. Szybko?? pocz?tkowa dwadzie?cia razy wi?ksza od szybko?ci otrzymanej dot?d! Co? ko?o dziesi?ciu tysi?cy metr?w, dwie i p?? mili na sekund?! Ale? to prawie trzecia cz??? szybko?ci, z jak? ziemia obiega swoj? drog?. Czy podobna?? Tak, tak? je?eli dzia?o nie p?knie od pierwszego strza?u!? A nie p?knie, bo zrobione jest z metalu, kt?ry nigdy nie p?ka! ?otr ten zna doskonale po?o?enie Frankopolis! Nie wychodz?c ze swojej jaskini, wyceluje armat? ze ?cis?o?ci? matematyczn? i tak, jak powiedzia? – granat padnie w sam ?rodek miasta! Jak uprzedzi? o tem nieszcz??liwych mieszka?c?w?!

Marceli nie zmru?y? oka przez ca?? noc. Kiedy dzie? za?wita?, opu?ci? ???ko, na kt?rem pr??no si? m?czy? gor?czkow? bezsenno?ci?.

– No, – powiedzia? sobie, – ?mier? czeka na mnie na przysz?? noc! Ten kat, kt?ry chce mi zaoszcz?dzi? cierpienia b?dzie czeka? zapewne, p?ki sen nie przemo?e niepokoju i nie opanuje mi? zupe?nie. A w?wczas!? Ale jak?? ?mier? przeznacza mi? Czy zamierza zabi? kwasem pruskim, kt?ry da mi do oddychania, gdy b?d? spa?? Czy pok?j m?j nape?ni owym dwutlenkiem w?gla, kt?rego tak? ilo?? ma na zawo?anie? Mo?e gazu tego u?yje w stanie p?ynnym, tak, jak do owych granat?w ze szk?a; p?yn wracaj?c nagle do gazowego stanu, wywo?a zimno wynosz?ce sto stopni! A nazajutrz, zamiast ?mnie?, tego cia?a silnego, dobrze zbudowanego, pe?nego ?ycia, znajd? mumj? wysuszon?, zmarz??!? Ach! n?dznik! dobrze niech moje serce wyschnie, je?eli trzeba, niech ?ycie moje wyzi?bnie w tej temperaturze nie do zniesienia, ale niech przyjaciele moi, niech dok?r Sarrasin, jego rodzina, Joanna, moja ma?a Joanna, niech b?d? ocaleni!! ?eby si? to sta?o, musz? uciec? A zatem, uciekn?!

Wymawiaj?c te s?owa Marceli instynktownym ruchem po?o?y? r?k? sw? na klamce od drzwi, chocia? s?dzi?, ?e zamkni?te s? zzewn?trz.

Ku wielkiemu zdziwieniu jego, drzwi otwar?y si? i m?g?, jak zawsze, zej?? do ogrodu, gdzie mia? zwyczaj przechadza? si? czasami.

– Ach! – pomy?la?, – jestem wi??niem w centralnej dzielnicy, ale nie w moim pokoju! To ju? jest co?!

Ale znalaz?szy si? na dworze, Marceli natychmiast spostrzeg?, ?e chocia? wolny napoz?r, nie b?dzie m?g? zrobi? ani kroku bez towarzyszenia dw?ch figur, nosz?cych historyczne, a raczej przedhistoryczne imiona Arminjusa i Sigimera.

Nieraz dawniej, spotykaj?c ich, zapytywa? siebie, jaka jest czynno?? tych dw?ch kolos?w, szaro ubranych, o szyjach byka, musku?ach Herkulesa, czerwonych twarzach, g?stych, krzaczastych w?sach i takich samych faworytach.

Czynno?? ich! – zna? j? teraz. Byli wykonawcami wyrok?w Herr Schultze?a, a czasem straznikami jego w?asnej osoby.

Ci dwaj olbrzymi mieli go zawsze na oku, spali u drzwi jego pokoju, postpowali za nim krok w krok, jeżeli wyszedł do parku. Nadzór ich nabierał tem większego znaczenia, że oprócz mundurów, które mieli na sobie, uzbrojeni byli w rewolwery i sztylety.

Przy tem wszystkim milczeli, jak ryby. Kiedy Marceli próbował nawiązać z nimi rozmowę w celu dyplomatycznym, odpowiedzieli mu tylko srogiem spojrzeniem. Nie przyjęli nawet szklanki piwa, którą ofiarował im, przypuszczając, że nie potrafi oprzeć się tej pokusie. Przypatrując się im przez piętnaście godzin, jeden tylko upatrzył w nich skłonność – jeden – do fajki, którą pozwalali sobie palić, wczł się za nim. Czy skłonność ta da się wykorzystać na korzyść ocalenia Marceli nie wiedział, nie mógł jeszcze nic wynaleźć; ale przysięgł sobie, że ucieknie i musi korzystać ze wszystkiego, co może mu do tego dopomóc.

Rzecz nie cierpią zwłoki. Ale jak się wzięło do niej.

Marceli był pewien, że za najmniejszą oznakę buntu lub ucieczki, dostanie dwie kule w łeb. W najlepszym razie, nawet, gdy nie dosięgnę go, pozostanie jeszcze potrzebna linja oszczędowa, która opasywałaby miasto dokoła, wraz z potrzebnym rzędem strażników.

Dawny student Politechniki, podług swego zwyczaju, postawił kwestję w formie zadania matematycznego.

I tak, pewien człowiek, strzeżonych jest przez dwóch zuchów, nie znających skrupułów, osobiciście silniejszych od niego, a nadto uzbrojonych od stopy do głowy. Człowiek ten musi najpręd oszukać czujność swych dozorców. Kiedy tego dokona, musi się jeszcze wydostać z obwarowanego miejsca, do którego wszelki przystęp jest ściśle strzeżony.

Marceli obracał tę kwestję na wszystkie strony, przerabiał ją i obrabiał i zawsze widział, że niepodobna przebić muru głow.

Wreszcie – czy nadzwyczajna trudność pojęcia, jakim się znajdował, dodała silniejszego bodźca jego zdolnościom wynalazczym, – czy ten przypadek sam tylko wskazał mu potrzebny środek, – trudno to powiedzieć.

Dość, że nazajutrz, podczas kiedy przechadzał się po parku, oczy jego nagle zatrzymały się na krzewie, rosnącym na jednej z kwater kwiatowych.

Była to roślinina niepokojna, trawiasta, o liściach koźczasto-jajowatych i parzystych, z wielkimi czerwonymi kwiatami w kształcie dzwonek w jednopłatkowych, osadzonych na krótkiej szypułce.

Marceli, który jako amator, był tylko trochę obznajmiony z botaniką, poznał jednak, jak mu się zdawało, charakterystyczny w tym krzewie fizjonomję rodziny psiankowatych. Na wszelki przypadek, zerwał mały listek i przechadzał się po nim go lekko.

Nie omylił się. Uczuł wręczce ociężałość we wszystkich członkach, wraz z początkami nudności, co go przekonało, że miał pod ręką naturalne laboratorium belladony, to jest najsilniejszego narkotyku.

B??kaj?c si? po ogrodzie, doszed? do ma?ego sztucznego jeziora, kt?re znajdowa?o si? na po?udniowej stronie parku i w jednym swym ko?cu tworzy?o kaskad? wiernie na?laduj?c? wodospad lasku Bulo?skiego.

– Gdzie odp?ywaj? wody tej kaskady? – szepn?? Marceli.

Sp?ywa?a ona do ma?ej rzeczki, kt?ra zakre?liwszy kilkana?cie ?uk?w, znika?a na ko?cu parku.

Musia? si? tam przeto znajdowa? upust, kt?ry rzeczka prawdopodobnie nape?nia?a, poczem wymyka?a si? jednym z podziemnych kana??w, zraszaj?cych p?aszczyzn?, po?o?on? poza obr?bem Stahlstadtu.

Marceli dopatrywa? si? w tem mo?no?ci uciezki. Nie by?a to naturalnie szeroka brama, zawsze jednak by? to spos?b wydobycia si? ze Stahlstadtu.

A je?eli kana? zamkni?ty jest krat? ?elazn? – odezwa? si? g?os ostro?no?ci.

– Kto nic nie ryzykuje, nic te? nie ma! Pi?ki zosta?y wynalezione nie dla zabawy, a jest ich niema?o, i to doskona?ych w laboratorium, – odpowiedzia? inny g?os, kt?ry zwykle dyktuje ?mia?e przedsi?wzi?cia

W dwie minuty Marceli powzi?? postanowienie. Przysz?a mu my?l – pyszna my?l – mo?e niemo?ebna do urzeczywistnienia, ale kt?r? on postara si? urzeczywistni?, je?eli ?mier? nie zaskoczy go przedtem!

Poczem wr?ci? od niechcienia w stron? krzewu o czerwonych kwiatach, zerwa? z niego dwa lub trzy li?cie, tak, ?e dozorca musieliby to zauwa?y?.

Wr?ciwszy do pokoju, z ca?? ostentacj? wysuszy? li?cie te przed ogniem, zgni?t? je potem w r?kach i wreszcie zmi?sza? z tytoniem.

Ku wielkiemu swemu zdziwieniu, Marceli budzi? si? co rano przez sze?? nast?pnych dni. Czy?by Herr Schultze, kt?rego nie widywa?, z kt?rym si? nigdy nie spotyka? podczas przechadzek, mia? zaniecha? zamiaru co do pozbycia si? jego osoby? Nie, tak jak nie zaniecha? zamiaru zniszczenia miasta doktora Sarrasin?a.

Marceli korzysta? z tego, ?e mu pozwalano ?y? i codziennie powtarza? sw?j manewr z li??mi. Naturalnie, ?e nie pali? belladony; w tym celu mia? dwie paczki tytoniu, jedn? na sw?j u?ytek osobisty, drug? na codzienn? manipulacj?. Celem jego by?o, obudzi? ciekawo?? Arminjusa i Sigimera. Bydl?ta te, tak nami?tnie pal?c fajki, musia?y zauwa?y? wreszcie krzew, z kt?rego zrywa? li?cie, musia?y na?ladowa? jego czynno?? i spr?bowa? smaku, jaki ta mi?szanina nadawa?a tytoniowi.

Wyra?owanie by?o dobre i przewidziany skutek nast?pi?, mo?na powiedzie?, mechanicznie.

Sz?stego dnia – by?a to wilja owego fatalnego 13 wrze?nia – Marceli, nieznacznie spogl?daj?c z ukosa poza siebie, z zadowoleniem spostrzeg?, ?e straznicy jego robi? dla siebie ma?y zapas

zielonych liści.

W godzinę potem widział, jak suszyli je przed ogniem, tarli w swoich szorstkich rękach, a wreszcie miśszali z tytoniem. Zdawali się zgry obliżywać na sam myśl o tym przysmaku!

Czy Marceli zamierza tylko upić Arminiusa i Sigimera? Nie. Nie o to tylko chodzi o mu, by ujść przed czujnościami. Trzeba było jeszcze znaleźć sposób przebycia kanału i wody, która go napełnia, a nawet gdyby ten kanał miał kilka kilometrów długości. Marceli wynalazł sposób. Wprawdzie w dziewięciu wypadkach na dziesięć mógł zginąć, ale oddawna już robił ofiarę z swego życia.

Wieczór nadszedł, a z wieczorem godzina wieczerzy, potem godzina ostatniej przechadzki. Nerozważne trio udało się do parku.

Nie tracić chwili czasu, nie wahaj się, Marceli! Miało skierować się w stronę budynku, stojącego cego wśród drzew, a będącego pracowni modeli. Wybrał jedną z ławek, stojących nieopodal, nałożył fajkę i zaczął palić.

Arminius i Sigimer, którzy mieli już gotowe fajki, usadowili się zaraz na sąsiedniej ławce i zaczęli wypuszczać ogromne kłęby dymu.

Skutek narkotyku objawił się natychmiast. Nie upłynęło pięciu minut, a dwaj olbrzymi teutońscy ziewali i wyciągali się jak niedźwiedzie w klatce. Oczy ich zasłzyły; w uszach im dzwoniło; twarze z czerwonych stały się białymi; ramiona osunęły się nieruchomo; głowy opadły na poręczawki. Fajki potoczyły się na ziemi.

Wreszcie donośne chrapanie z dwóch piersi zmieszało się ze śpiewem ptaków, które z powodu ciągłego lata, stale zamieszkiwały parki Stahlstadtu.

Marceli czekał tylko na tę chwilę, która pojdzie, z jaką niecierpliwością, ponieważ nazajutrz wieczorem, przed samą porządką Frankopolis skazane przez Herr Schultze'a, miało przestać istnieć.

Marceli wpadł do pracowni wzorów. W wielkiej tej sali było prawdziwe muzeum. Zmniejszone maszyny hydrauliczne, lokomotywy, pompy, rury, maszyny do dziurawienia, pudła statków, maszyny parowe morskie, jednym słowem, samych arcydzieł na kilka milionów. Były to modele z drzewa, wyobrażające wszystko, co fabryka Schultze'a wykonała od chwili, gdy została założona; atwo się domyśleć, że nie brakowało tam modeli dział, torped i granatów.

Noc była ciemna, a zatem stosowna do tematu projektu, który młody Alzacyjny ułożył sobie. Przygotowując się ostatecznie do ucieczki, zamierzał zniszczyć jednocześnie muzeum modeli Stahlstadtu. Ah! gdyby mógł zburzyć wraz z kazerną i działem, które w niej stało, potężną i nieulegającą zniszczeniu, Wie! Byka! Ale nie było co myśleć o tem.

Pierwszym staraniem Marceliego było wyszukać między narzędziami małymi stalowymi piłkami, mogącymi pociąć żelazo; wsunął je zaraz do kieszeni. Potem, pewną ręką potarł zapałkę o pudełko, które wydobył z kieszeni i pomógł jej zbliżyć do stosu tek z rysunkami i lekkich modeli z sosnowego drzewa, złożonych w kącie sali.

Zrobiwszy to wyszedł.

W chwili potem ogień, podsycony palnymi materjami, wybuchnął ogromnym płomieniem, który w tysięcznych językach przedarł się przez okna. Natychmiast dzwon uderzył na trwogę; prąd elektryczny poruszył wszystkie dzwonki w rozmaitych dzielnicach Stahlstadt-u i strażnicy zbiegli się ze wszystkich stron.

W tej chwili zjawił się Herr Schultze, którego obecność mogła tylko pobudzić i zachęcić robotników do większej gorliwości.

W kilka minut kotły z parą poddano wysokiemu ciśnieniu i ogromne pompy wprowadzono w szybki ruch. Potok wody spadał na ściany i na dach muzeum modeli. Ale ogień był silniejszy od wody, która zamiast gasić go, ułatwiała się przy zetknięciu z nim i wręczte pożar ogarnęła cała gmach ze wszystkich stron; niepodobna byłoby myśleć o ugaszeniu go. Był to straszny i wspaniały widok.

Marceli ukryty w kącie, nie spuszczał oka z Herr Schultze'a, który napędza ludzi, jakgdyby chodziło o przypuszczenie szturm do miasta. Muzeum modeli stało odosobnione w parku i teraz już nie podlegało wątpliwości, że spali się całkowicie.

Wreszcie Herr Schultze, widząc, że nie będzie można ocalić samego budynku, wykrzyknął grzmotnym głosem:

– Dziesięć tysięcy dolarów temu, kto ocali model nr. 3.175, stojący za szkłem po drodze!

Model ten był wprawdzie modelem sygnalnej armaty, wydoskonalonej przez Herr Schultze'a, był on dla niego droższym od wszystkich innych przedmiotów, znajdujących się w muzeum.

Ale dla uratowania go, trzeba byłoby rzucić się w sam środek ognia, przez atmosferę czarnego dymu, w którym zapewne trudno byłoby oddychać. Na dziesięć prawdopodobieństw, byłoby dziewięć, że kto raz tam wejdzie, nie wydobędzie się stamtąd! To też pomimo przynależności dziesięciu tysięcy dolarów, nikt nie odpowiadał na wezwanie Herr Schultze'a.

Wtem człowiek jakiś stanął przed nim.

Był to Marceli.

– Ja pójde, – rzekł.

– Ty?! – zawołał Herr Schultze.

– Ja!

– Ale to cię nie uratuje, wiedz o tem, od wyroku śmierci, który padł na ciebie!

– Nie myśl o tem, by go uniknąć; chcę tylko ocalić ten drogocenny model!

– Idźże zatem, – odpowiedział Herr Schultze, – a przysięgam ci, jeżeli dokonasz tego, dziesięć

tyś?y dolar?w zostanie sumiennie dor?czone twoim spadkobiercom.

– Licz? na to, – odpowiedzia? Marcelli.

Przyniesiono kilka przyrz?d?w Galiberta, b?d?cych zawsze w pogotowiu, na przypadek po?aru z pomoc? ich bowiem, mo?na dosta? si? do miejsca, w kt?rych niepodobna bez nich oddycha?. Marcelli u?ywa? ju? ich w?wczas, kiedy usi?owa? ratowa? od ?mierci ma?ego Karla, syna pani Bauer.

Jeden z tych przyrz?d?w na?adowany pod ci?nieniem kilku atmosfer powietrzem, zosta? natychmiast umieszczony na jego plecach. Ze szczypcami na nosie, z gumow? rurk? w ustach, rzuci? si? w p?omienie.

– Nareszcie! – pomy?la?. – Mam w rezerwoarze powietrza na kwadrans! Da?by B?g, by mi to wystarczy?o!?

Czytelnik domy?li? si? z ?atwo?ci?, ?e Marcelli nie my?la? wcale o ocaleniu armaty Schultze?a. Z niebezpiecze?stwem ?ycia przeby? sal? nape?nion? dymem, pod gradem pal?cych si? g?owni i p?omienistych belek, kt?re jakby cudem nie dosi?g?y go, i wymkn?? si? drugimi drzwiami wychodz?cemi do parku, w chwili kiedy dach pal?cego si? budynku zapad? z trzaskiem w?r?d rz?sistego deszczu iskier, kt?re wiatr unosi? a? ku ob?okom.

W kilka sekund Marcelli dobieg? do rzeczki, spu?ci? si? jej wybrze?em do nieznanego upustu, kt?ry prowadzi? t? rzeczka? po za granice Stahlstadt?u i bez wahania rzuci? si? do wody.

Szybki pr?d pchn?? go w mas? wody, maj?cej siedem do o?miu st?p g??boko?ci. Nie potrzebowa? kierowa?, bo pr?d unosi? go jakgdyby trzyma? nitk? Arjadny. Zaraz te? prawie spostrzeg?, ?e znajduje si? w w?skim kanale, w rodzaju kiszki, kt?ry wysoka woda rzeczki ca?kowicie wype?nia?a.

– Jaka jest d?ugo?? kana?u? – pyta? sam siebie Marcelli. – Wszystko zale?y od tego. Je?eli go nie przep?yn? w kwadrans, powietrza zabraknie mi i jestem zgubiony!

Zachowa? zimn? krew. Od dziesi?ciu minut pr?d go unosi?, kiedy zatrzyma?a go jaka? przeszkoda.

By?a to krata ?elazna, ustawiona na zawiasach i zamykaj?ca kana?.

– Obawia?em si? tego! – pomy?la? Marcelli.

I nie trac?c ani sekundy czasu wyci?gn?? z kieszeni pi?k? i zacz?? pi?owa? rygiel przy samej blaszce, w kt?r? by? wsuni?ty.

Pi?? minut pracy nie naruszy?o rygla. Krata wci?? jeszcze by?a zamkni?ta. Marcelli oddycha? ju? z wielk? trudno?ci?. Powietrze bardzo rozrzedzone w rezerwoarze, w niedostatecznej ilo?ci wp?ywa?o do jego p?uc. Szum w uszach, krew w oczach, wszystko to wskazywa?o, ?e grozi mu niezw?oczne uduszenie. Opiera? si? jednak, powstrzymywa? oddech, by jaknajmniej po?yka? tego tlenu, kt?rego jego p?uca nie mog?y wydoby? znik?d! Ale rygiel, chocia? mocno nadpi?owany trzyma? si?

wci??!

W tej chwili pi?a wypad?a mu z r?k.

– B?g nie mo?e by? przeciwko mnie!

I chwyciwszy krat? obiema r?kami, potrzeb?s? ni? z tak? si??, jak? daje najwy?szy instynkt samozachowawczy.

Krata otworzy?a si?. Rygiel p?k? i pr?d uni?s? nieszcz??liwego Marcelego, kt?ry nawp?? ?ywy, ostatkami wdycha? ostatnie atomy powietrza z rezerwoaru.

Nazajutrz ludzie Herr Schultze?a, wszed?szy do budynku zupe?nie zniszczonego po?arem, nie znale?li ani pod gruzami, ani w ciep?ych jeszcze popio?ach, ?adnego ?ladu ludzkiej istoty. Nie ulega?o przeto ?adnej w?tpliwo?ci, ?e odwa?ny robotnik pad? ofiar? swego po?wi?cenia. Nie dziwi?o to wcale tych, kt?rzy go znali w pracowniach fabryki.

Drogocenny model nie m?g? by? uratowany, ale cz?owiek, kt?ry posiada? tajemnic? stalowego kr?la, zgin??.

– B?g mi ?wiadkiem, ?e chcia?em mu oszcz?dzi? cierpienia! – powiedzia? sobie po prostu Herr Schultze, – W ka?dym razie, oszcz?dzi?o si? dziesi?? tysi?cy dolar?w!

By?a to jedyna mowa pogrzebowa z powodu zgonu m?odego Alzacyjnyka.

Rozdział X

Artykuł z niemieckiego przeglądu „Unser-Jahrhundert”.

Na miesiąc przed czasem, w którym zostały opowiedziane wypadki, pewien przegląd, noszący czerwony okład i zatytułowany „Unser-Jahrhundert” (Nasze stulecie), ogłoszony następujący artykuł, dotyczący Frankopolis; artykuł ten podobał się bardzo wybrednym gustom niemieckiego cesarstwa, może dlatego, że roztrząsał wszystko, co odnosiło się do tego miasta z punktu widzenia wyjątkowo ekonomicznego.

Opowiadaliśmy już naszym czytelnikom o nadzwyczajnym mieście, które ukazało się na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Wielka Rzeczpospolita Amerykańska, dzięki znacznej liczbie emigrantów, wchodzących w skład jej ludności, oddawna już przyzwyczała świat do niespodzianek, które tam następują jedna po drugiej. Ostatni z nich i najdziwniejszy jest ukazanie się Frankopolis, o którym nikomu nie mówiło się nawet przed pięć laty, a które tak nagle dosięgło szczytów powodzenia i znajduje się obecnie w kwitnącym stanie.

Cudowne to miasto powstało, jakby czarem na pacyfiku Oceanu Spokojnego. Nie będziemy badali, czy tak jest wistocie, jak utrzymują, że pierwotny plan i pierwsza myśl tego przedsięwzięcia pochodzi od Francuza, doktora Sarrasin’a. Może to być, zwłaszcza, że doktor w szczytówce pokrewieństwem z naszym słynnym kręmem stalowym. A nawet mówiąc nawiasem, zagarnięcie znacznego spadku, prawnie należącego do Herr Schultze’a, przyczyniło się do założenia Frankopolis. Gdzie tylko robi się coś dobrego na świecie, można być pewnym, że staje się to zawsze ze współudziałem niemieckim; z prawdziwą dumą stwierdzamy tę prawdę przy tej sposobności. Ale bądź co bądź musimy udzielić naszym czytelnikom dokładnych i autentycznych szczegółów o tym nagłym wzroście wzorowego miasta.

Nazwy jego brak na mapie. Nawet wielki atlas, składający się z trzystu siedemdziesięciu tomów in folio naszego znakomitego Tichtigmana, gdzie ze ścisłą dokładnością wskazane są wszystkie krzaki i drzewa starego i nowego świata, nawet w tym szlachetnym pomniku nauki geografii, przystosowanej do walki piechoty, nie ma żadnego śladu Frankopolis. Tam, gdzie się teraz wznosi nowe miasto, przed pięć laty był pusty step. Miejsce to wskazane jest na karcie pod 4 stopniem 11,3 szerokości północnej i 124 stopniem 41,17 długości na zachód od Greenwich. Leży zatem nad brzegiem Oceanu Spokojnego, u stóp drugorzędnej górą Skalistych, noszącego nazwę Cascade-Mounts, o dwadzieścia mil od przylądka Biętego, w stanie Oregon, w Ameryce Północnej.

Z największym staraniem wyszukano i między wielu innymi dogodnymi miejscami wybrano to, które zdawało się najodpowiedniejsze. Do przyczyn, które wpłynęły na ten wybór, zaliczyć należy szczególnie: strefę umiarkowaną, w której się znajduje, a która zawsze wpływa na rozwój cywilizacji; położenie miasta w rzeczypospolitej federacyjnej i państwie jeszcze nowym, które czasowo zapewniło mu niezależność i prawa podobne do tych, jakie w Europie posiada księstwo Monaco, z warunkiem przyłączenia się po pewnej liczbie lat do Związku; siedlisko nad oceanem, które coraz bardziej staje się drogą świata; grunt żyzny, przepuszczalny i szczególnie sprzyjający zdrowiu; bliskość gór, które zatrzymują wiatr z północy, z południa i ze wschodu, tak, że tylko lekki wietrzyk od morza odwieja atmosferę miasta; mała rzeczka, której woda wieja, lekka utleniona

wskutek czystych spadków i szybkości biegu przybywa do morza zupełnie czysta; wreszcie naturalny port, bardzo łatwy do rozszerzenia, a utworzony przez długi przyldek, zakrzywiony w kształcie haka.

Wspomnie jeszcze należy o drugorzędnych korzyściach: bliskości pięknych kopalni marmuru i kamieni, pokłady karlinu, a nawet żłady ziarn żłota. Wprawdzie, dla tej ostatniej okoliczności, o mało nie odstąpiono od wybranej miejscowości, albowiem założyciele miasta bali się, by gorączka żłota nie stanęła na przeszkodzie ich zamiarom. Ale na szczęście ziarnka były rzadkie i małe.

Wybór okolicy nastąpił wprawdzie po głębokich i poważnych badaniach, zajęł jednak niewiele czasu i nie wymagał osobnej podróży; nauka o ziemi na tyle jest już posunięta, że nie wychodzi z gabinetu, można powziąć dokładny i pewny wiadomości o najdalszych okolicach.

Kiedy kwestja ta została rozstrzygnięta, dwaj delegowani komitetu organizacyjnego wyruszyli z Liwerpoolu, w jedenaście dni potem przybyli do Nowego-Jorku, a za tydzień stanęli w San-Francisko; tu najęli parostatek, który w dziesięć godzin dostawił ich na wskazane miejsce.

W niespełna miesiąc porozumieli się z władzą istniejącą w Oregonie; otrzymali koncesję na pas ziemi ciągnący się od morza do grzbietu Cascade-Mounts, a szeroki na cztery mile i za pomoc kilku tysięcy dolarów, skłonili parę tuzina plantatorów do zrzeczenia się praw rzeczywistych czy urojonych, jakie rozcili sobie do tej ziemi.

W styczniu r. 1872 terytorjum było już zbadane, wymierzone, główne punkta wytknięte i armja dwudziestu tysięcy kulisów chińskich, pod kierunkiem pięciuset nadzorców i inżynierów europejskich stanęła do dzieła. Plakaty przyklepane w całym stanie Kalifornji, oddzielny wagon, stale dodawany do ekspresu wychodzącego codziennie z San-Francisko i obiegającego ląd amerykański i codzienna odezwa w dwudziestu czterech dziennikach tego miasta, dostarczyły potrzebnej liczby robotników. Obeszło się nawet bez sposobu, który proponowało pewne towarzystwo, ofiarując się, za małą stosunkowo ceną, ogłoszenie wezwania do robotników olbrzymiami literami wyciętymi na szczytach gór Skalistych. Trzeba wiedzieć, że napływ chińskich kulisów do Ameryki Zachodniej, sprawił wielki spadek płać robotniczych. Z tego powodu kilka stanów dla zapewnienia środków utrzymania własnym mieszkańcom i dla zapobieżenia krwawym zajęciami, musiały tępy tych nieszczęśliwych wyrzucić z swoich granic. Założenie Frankopolis w sam porę uratowało ich od zguby. Wyznaczono im płać jednego dolara dziennie i pieniądze miano im dać dopiero po ukończeniu robot, a prócz tego dawano żywność w naturze, którą administracja miejska rozdawała codziennie. W ten sposób uniknięto nieporządków i haniebných spekulacji, które bardzo często towarzyszyły wielkim migracjom ludności.

Każdego tygodnia, w obecności osób delegowanych, skądano do banku w San-Francisko zarobek pracowników, i każdy z nich odbierając go, musiał się zobowiązać, że nie wróci więcej do miasta. Była to konieczna ostrożność, umożliwiająca pozbycie się ludności tej, która niewątpliwie wpłynęła bardzo niekorzystnie na zmianę typu i charakteru nowego miasta. Zresztą założyciele zachowali dla siebie prawo zezwolenia na pobyt lub odmawiania go, co czyniło względnie łatwym zastosowanie tego sposobu.

Pierwszem wielkiem przedsięwzięciem było przeprowadzenie gązici kolei żelaznej, która po

czy?a nowe miasto z Pacific-Railroad i dotar?a do miasta Sacramento. Unikano przytem starannie wszelkich wstrz??nie? ziemi i g??bokich przekop?w, kt?re mog?yby wp?yn?? ?le na warunki zdrowia. Prace te, jakote? roboty ko?o portu, przeprowadzono z nadzwyczajn? szybko?ci?. Ju? w miesi?cu kwietniu pierwszy poci?g, id?cy bezpo?rednio z Nowego-Yorku, przywi?z? do dworca Frankopolis cz?onk?w komitetu, kt?rzy dotychczas bawili w Europie?.

?W tym czasie zatwierdzono g??wne plany miasta i szczeg??owe kosztorysy, dotycz?ce mieszka? i gmach?w publicznych?.

?Nie brak?o materia??w: bowiem, gdy rozesz?a si? wie?? o budowie miasta, natychmiast przemys?owcy ameryka?scy zasypali wybrze?a Frankopolis rozmaitymi, jakie tylko mo?na sobie wyobrazil? materia?ami budowlanymi. Za?o?yciele mieli wszystko do wyboru. Postanowili u?y? kamie? ciosowy tylko do gmach?w publicznych i do ozdoby, domy za? mia?y by? budowane z cegie?; naturalnie, ?e nie z owych zwyk?ych cegie? niezgrabnie ulepionych z lepiej lub gorzej wypalanej gliny, ale z lekkich, r?wnych sobie zupe?nie co do ksza?tu, ci??ko?ci i g?sto?ci i zaopatrzonych w szeregi dziur cylindrycznych, r?wnolegle do siebie id?cych w kierunku d?ugo?ci cegie?. Otwory te, stykaj?ce si? z sob? przy ustawianiu cegie?, tworz? we wn?trzu ?cian otwarte na obu swoich ko?cach kana?y i daj? w ten spos?b przyst?p powietrzu, kt?re mo?e swobodnie kr??y? tak w zewn?trznych, jak w wewn?trznych ?cianach domu. Takie urz?dzenie ma jeszcze t? wa?n? dogodno??, ?e t?umi d?wi?k i ka?demu mieszkaniu zapewnia zupe?n? niezale?no??.

?Zreszt? komitet nie zamierza? narzuca? budowniczym jednego typu domu. By? nawet przeciwny tej nu??cej i niezno?nej jednostajno?ci. Ustanowi? tylko pewn? ilo?? sta?ych przepis?w, kt?rych architekci obowi?zani byli si? trzyma?:

?1. Ka?dy dom b?dzie sta? odosobniony na cz?stce gruntu zasadzonego drzewami, trawnikiem i kwiatami. Nale?e? b?dzie do jednej tylko rodziny.

?2. ?aden dom nie b?dzie mia? wi?cej ni? dwa pi?tra; powietrze i ?wiat?o nie powinny by? przyw?aszczone przez jednych ze szkod? drugich.

?3. Wszystkie domy b?d? o dziesi?? metr?w oddalone od ulicy, od kt?rej oddziela? je b?dzie krata wysoka po pas. Przestrze? mi?dzy krat? a fasad? domu b?dzie urz?dzona jak ogr?d kwiatowy.

?4. Mury maj? by? robione z rurkowatych patentowanych cegie?, zastosowanych do podanego wzoru. Co do ornamentyki pozostawia si? zupe?n? swobod? architektom.

?5. Dachy maj? by? p?askie, zlekk?a pochy?e na cztery strony, pokryte asfaltem i otoczone galerj? na tyle wysok?, by mog?a zapobiec wypadkom; starannie urz?dzone ?cieki maj? u?atwia? natychmiastowy odp?yw wody deszczowej.

?6. Wszystkie domy b?d? zbudowane na sklepionych fundamentach, otwartych ze wszystkich stron i tworz?cych pod mieszkaniem rodzaj przewietrzanych suteryn, kt?re jednocze?nie b?d? s?u?y?y za sk?ady. Rury do wody i upusty, zgromadzone ko?o ?rodkowego s?upa sklepienia b?d? otwarte, by zawsze mo?na by?o sprawdzi? ich stan i w razie po?aru mie? na zawo?anie potrzebn? wod?. Hala ta czyli sk?ad, podniesiony na pi?? czy sze?? centymetr?w ponad poziom ulicy, b?dzie starannie

wysypany piaskiem. Drzwi i osobne schody ??czy? si? b?d? bezpo?rednio z kuchniami lub ?pi?arniami, tak, ?e wszystkie gospodarskie czynno?ci b?d? za?atwiane, nie ra??c ani wzroku ani powonienia.

?7. Kuchnie, ?pi?arnie i inne miejsca gospodarskie, wbrew powszechnemu zwyczajowi, b?d? umieszczone na g?rnem pi?trze i po??czone z dachem, kt?ry w ten spos?b stanie si? dodatkow? ich cz??ci? na wolnym powietrzu. Dla ?atwego przenoszenia wszystkich ci??ar?w na to pi?tro, b?dzie urz?dzony ko?owr?t poruszany si?? mechaniczn?, kt?ry za umiarkowan? cen?, tak jak sztuczne ?wiat?o i woda, b?dzie s?u?y? mieszka?com.

?8. Plan mieszka? pozostawiony jest osobistej fantazji. Ale bezwarunkowo zakazane s? w nich dwa niebezpieczne ?r?d?a chor?b, prawdziwe gniazda miazmat?w i laboratorja trucizny: dywany i papierowe obicia. Posadzki wykonane artystycznie z drogiego drzewa, u?o?onego w mozajk? przez umiej?tnych stolarzy, wieleby straci?y na tem, gdyby je ukryto pod w?tpliwej czysto?ci we?niankami. Co do ?cian, wy?o?onych polewan? ceg??, blaskiem swym i rozmaito?ci? przypominaj? wn?trze mieszka? w Pompei; trwa?o?? ich i bogactwo kolor?w o wiele przewy?sza malowany papier, w kt?rym jest tyle subtelnej trucizny. ?ciany te myj? si? jak zwierciad?a i szyby, tak, jak czyszcz? si? posadzki i sufity. ?aden zarodek choroby nie mo?e si? w nich przyczai?.

?9. Pok?j sypialny nie powinien s?u?y? za gabinet do ubierania si?. Zaleca si? jaknajusilniej, by pok?j ten, gdzie up?ywa trzecia cz??? ?ycia, by? jaknajobszerniejszym, jaknajprostszym i mia? najwi?cej ?wie?ego powietrza. S?u?y? powinien tylko do spania; cztery krzese?ka, ?elazne ???ko ze spr??ynowym spodnim materacem i wierzchnim we?nianym, cz?sto trzepanym, to s? jedyne potrzebne w nim meble. Naturalnie, ?e pierzyny i pikowane ko?dry, jako pot??ni sprzymierze?cy zara?liwych chor?b, winny by? bezwarunkowo usuni?te. Dobre we?niane ko?dry, lekkie i ciep?e, ?atwo daj?ce si? pra?, doskonale zast?pi? ich miejsce. Firanki i draperje nie s? wprawdzie zakazane, ale przynajmniej trzeba je robi? z materia??w, daj?cych si? cz?sto pra?.

?10. W ka?dym pokoju jest komin do palenia drzewem lub w?g?em kamiennym, jak kto zechce, ale ka?dy komin musi by? po??czony z otworem, daj?cym przyst?p wolnemu powietrzu. Dym zamiast uchodzi? dachem, udaje si? podziemnymi kana?ami do osobnych piec?w, zbudowanych kosztem miasta w tyle dom?w, w stosunku jednego pieca na dwustu mieszka?c?w. Tam pozbywa si? cz?stek w?g?a, kt?re uni?s? ze sob? i w stanie bezbarwnym zostaje wyrzucony w atmosfer?, do wysoko?ci trzydziestu pi?ciu metr?w.

?Takie s? sta?e prawid?a, kt?rych trzyma? si? trzeba przy budowie ka?dego prywatnego mieszkania.

?Plany og?lne s? r?wnie starannie opracowane.

?Plan miasta jest nadzwyczaj prosty i regularny, tak, ?e mo?e si? dalej rozwija?. Ulice krzy?uj? si? pod prostemi k?tami, znajduj? si? w r?wnych od siebie odleg?o?ciach, maj? jednostajn? szeroko??, wysadzone s? drzewami i oznaczone porz?dkowymi numerami.

?Co p?? kilometra ulica, o trzeci? cz??? szersza od innych, nazywa si? bulwarem albo alej?, maj? c? z jednej strony odkryty przepok, kt?rym id? tramwaje i drogi ?elazne metropolji.

Na wszystkich placach urządzono s? ogrody publiczne, ozdobione tymczasowo pi?knymi kopiami arcydzie? rze?by, dop?ki arty?ci Frankopolis nie wykonaj? oryginalnych utwor?w, mog?cych godnie je zast?pi?.

Wszystkie przemys?y i wszystkie handle s? wolne.

Chc?c otrzyma? prawo osiedlenia si? w Frankopolis, trzeba mie? ?wiadectwo moralno?ci, kt?re nale?y przedstawi? w magistracie; trzeba by? uzdolnionym do jakiego? u?ytecznego zawodu w przemy?le, nauce, albo sztuce; trzeba si? zobowi?za? do przestrzegania praw miasta. Osoby pr??nuj?ce nie b?d? w niem cierpiane.

Gmach?w publicznych jest ju? wielka liczba. Najwa?niejsze z nich, to: katedra, kilka ko?cio??w, muzea, biblioteki, szko?y, gimnazja urz?dzone z przepychem i znajomo?ci? warunk?w higienicznych, prawdziwie godnych wielkiego miasta.

Dzieci od lat czterech musz? wprawia? si? w ?wiczenia umys?owe i fizyczne, kt?re mog? jedynie rozwin?? w nich si?y umys?owe i musku?y. Przyzwyczajaj? je do tak wielkiej czysto?ci, ?e plam? na ubraniach uwa?aj? niemal za ha?b?.

Kwestja czysto?ci osobistej i zbiorowej, jest zreszt? przedmiotem g??wnej troski za?o?yciela Frankopolis. Czy?ci?, czy?ci? bez ko?ca, niszczy? miazmaty, stale tworz?ce si? w miejscach, gdzie ludno?? si? skupia, takie jest najwa?niejsze zadanie rz?du. W tym celu wszystkie kana?y koncentruj? si? za miastem; materja? przez nie sprowadzony, poddaje si? dzia?aniu pewnych ?rodk?w chemicznych i zg?szczony wywozi si? codziennie na pola.

Woda leje si? wsz?dzie strumieniami.

Ulice wy?o?one drzewem lub asfaltem i kamienne chodniki s? tak czyste, jak posadzka holenderskiego podw?rza. Rynki z ?ywno?ci? s? przedmiotem bezustannego nadzoru; surowe kary czekaj? kupc?w, kt?rzy o?miel? si? spekulowa? zdrowiem publicznym. Ten, kto sprzedaje nie?wie?e jaja, zepsute mi?so, fa?szowane mleko, jest uwa?any za truciciela, bo jest w nim w istocie. Policja sanitarna powierzona jest ludziom bieg?ym, prawdziwym specjalistom.

W?adza ich rozci?ga si? a? do pralni; te ostatnie zbudowane s? na wielk? skal?, zaopatrzone w maszyny parowe, sztuczne suszarnie i izby dezynfekcyjne. Bielizna wraca do w?a?ciciela gruntownie wyprana; przestrzega si? starannie, by nie miesza? bielizny dw?ch oddzielnych rodzin. Ta prosta ostro?no?? sprowadza nieobliczalne korzy?ci.

Szpital?w jest ma?o, bo og?lnie zaprowadzony jest system udzielania pomocy w domu, szpitale za? przeznaczone s? tylko dla cudzoziemc?w, nie maj?cych schronienia i tylko w niekt?rych wyj?tkowych wypadkach. Nie trzeba chyba m?wi?, ?e my?l urz?dzenia szpitala w wi?kszym od innych gmachu i nagromadzenia siedmiuset lub o?miuset chorych w jednym ognisku zarazy nie mog?a powsta? w g?owie za?o?yciela wzorowego miasta. Zamiast systematycznie ??czy? chorych, przeciwnie, staraj? si? odosobni? ich od siebie. Le?y to nietylko w ich w?asnym interesie, ale te? i w interesie publiczno?ci. W ka?dym domu zaleca si?, by o ile mo?na trzymano chorego w osobnym pokoju. Szpitale s? to budynki wyj?tkowe i ma?ych rozmiar?w, potrzebne w nag?ych wypadkach.

?Dwudziestu, trzydziestu chorych najwy?ej, dla ka?dego z nich osobny pok?j, mo?e si? znale?? w takich lekkich barakach, zrobionych z sosnowego drzewa; co rok pal? je regularnie i robi? nowe. Ambulanse te, zbudowane pod?ug jednego wzoru, s? korzystne r?wnie? pod tym wzgl?dem, ?e mo?na je przenosi? pod?ug woli w t? lub w ow? stron? miasta, stosownie do potrzeb, i ?e mo?na je przemieszcza?.

?Do s?u?by zdrowia wprowadzono jedn? dobr? nowo??, mianowicie do??czono do niej pewn? ilo?? os?b, przeznaczon? do piel?gowania chorych; s? one do tego obowi?zku przyuczone i utrzymywane przez centraln? administracj? do u?ytku publiczno?ci. Kobiety te, z przezorno?ci? wybierane, s? dla doktor?w nieocenion? pomoc?. Wnosz? one do rodzin praktyczn? umiej?tno??, tak potrzebn?, a tak cz?sto zaniedban? w chwili niebezpiecze?stwa; zadaniem ich jest nie tylko piel?gnowa? chorego, ale przeszkadza? rozszerzeniu si? choroby.

?Nie sko?czyliby?my, gdyby?my chcieli wyliczy? wszystkie udoskonalenia higieniczne, wprowadzone przez za?o?ycieli miasta. Ka?dy obywatel otrzymuje za przybyciem swoim ma?? broszur?, gdzie s? najwa?niejsze przepisy ?ycia, wskazane przez nauk?, wypowiedziane j?zykiem prostym i jasnym.

?Widzimy z nich, ?e doskona?a r?wnowaga mi?dzy wszystkimi funkcjami cz?owieka jest konieczno?ci? dla zdrowia, ?e tak praca, jak wypoczynek, s? zar?wno niezb?dne dla organ?w, ?e zm?czenie jest potrzebne tak dla m?zgu, jak dla musku??w, ?e dziewi?? dziesi?tych chor?b pochodzi z zarazy udzielaj?cej si? przez powietrze lub przez pokarmy. Mieszkanie i osoba powinny przeby? niejedn? dezynfekcj?, nigdy ich za wiele by? nie mo?e. Unika? pobudzaj?cej trucizny, u?ywa? ?wicze? cia?a, sumiennie spe?nia? obowi?zki swego zawodu, pi? czyst? dobr? wod?, je?? mi?so i zdrowe, poprostu przyrz?dzone jarzyny, spa? w nocy regularnie od siedmiu do o?miu godzin, takie jest abecad?o zdrowia.

?Zacz?li?my od pierwszych zasad za?o?ycieli, a nieznacznie doszli?my do tego, ?e m?wimy o tem dziwnem mie?cie, jako o rzeczy dokonanej. Bo te? rzeczywi?cie, zaledwie stan??y pierwsze domy, nast?pne jakby czarem wysz?y z pod ziemi. Kto nie by? w Ameryce, ten nie mo?e wyobrazi? sobie nag?ego wzrostu miast tamtejszych. Puste jeszcze w styczniu 1872 r., liczy?o sze?? tysi?cy dom?w w r. 1873. Mia?o ich dziesi?? tysi?cy i wszelkie swe gmachy gotowe w r. 1874.

?Trzeba przyzna?, ?e spekulacja te? wzi??a udzia? w tem nies?ychanem przedsi?wzi?ciu. Zbudowano wielk? ilo?? dom?w na gruntach obszernych i nie maj?cych z pocz?tku warto?ci i odsprzedawano je za cen? bardzo umiarkowan? lub odnajmowano pod bardzo skromnymi warunkami. Emigracja zwabiona zupe?nym brakiem podatk?w, polityczn? niezale?no?ci? tego ma?ego odosobnionego zak?tka, urokiem nowo?ci, ?agodnym klimatem, nape?ni?a wkr?tce miasto. Teraz ju? Frankopolis liczy oko?o stu tysi?cy mieszka?c?w.

?Ale co najwa?niejsze i co szczeg?lnie mo?e nas zajmowa?, ?e do?wiadczenia, tycz?ce si? zdrowia, powiod?y si? jaknajzupe?niej. W najszcz??liwszych pod tym wzgl?dem miastach starej Europy lub Nowego ?wiata, ?miertelno?? roczna nigdy nie by?a mniejsz?, ni? trzy na sto; w Frankopolis ?miertelno?? w ci?gu tych lat pi?ciu nie przekracza?a p??tora na sto. I do tej cyfry przyczyni?a si? jeszcze ma?a epidemia febry, kt?ra si? ukaza?a w pierwszym roku. W tym za?ostatnim, osobno wzi?tym, cyfra ta r?wna si? tylko jednemu i ?wier?. Zachodzi przytem okoliczno??

jeszcze ważniejsza; z mamy tylko wyjątkiem, wszystkie przypadki śmierci były następstwem chorób specyficznych, najczęściej dziedzicznych. Choroby przypadkowe były bez porównania rzadsze i mniej niż gdziekolwiek indziej niebezpieczne. Co do ważnych epidemii, tych wcale nie było.

Dalsze rozwijanie się tej próby będzie bardzo zajmujące. Ciekawe będzie, mianowicie, czy sposób życia zastosowany do przepisów nauki, wpływem swoim na całe pokolenie a tembardziej na kilka pokoleń nie osłabi usposobienia do chorób dziedzicznych.

Bez żadnej zarozumiałości możemy się tego spodziewać – pisze jeden z założycieli tego dziwnego miasta, a wczas jakże wielkim będzie rezultat! Ludzie żyjący do dziewięćdziesięciu, lub stu lat, umierający tylko ze starości, jak większa liczba zwierząt, jak rośliny!

Jakże ponętym jest taki ideał!

Jeżeli jednak wolno nam objawić szczerze nasze zdanie, musimy wyznać, że niebardzo wierzymy, by doświadczenie to udało się. Widzimy w nim wadę organiczną i prawdopodobnie zgubną; sprawa ta znajduje się w rękach komitetu, w którym arijska rasa panuje i z którego niemiecki żywioł systematycznie był usuwany. Niebezpieczny to objaw! Od czasu jak świat istnieje, wszystko co trwałe robiło się przez Niemców i nic stanowczego nie robi się bez nich. Może być, że założyciele Frankopolis przygotowali grunt, wyjaśnili niektóre szczególne punkty, ale naprawdę wzorowe miasto ujrzymy dopiero na króćcach Syrii, nie zaś w owym zakątku Ameryki.

Rozdział XI

Obiad u doktora Sarrasin'a.

Trzynastego września na kilka godzin przed chwilą, którą Herr Schultze wyznaczył na zniszczenie Frankopolis – ani gubernator, ani żaden z mieszkańców nie domyślił się jeszcze strasznego niebezpieczeństwa, które im groziło.

Była godzina siódma wieczór.

Ukryte w gęstwinie oleandrów i tamaryszków, miasto rozciągało się z wdziękiem u stóp Cascade-Mounts; fale oceanu cicho pieściły jego wybrzeża, otoczone marmurem. Ulice starannie polane, przedstawiały wesoły i ożywiony widok. Lekki wietrzyk pogodnie poruszał wierzchołkami drzew. Trawniki jaśniały świeżozielonością. Różnobarwne kwiaty rozlewały woń swą dokoła. Domy ciche, spokojne, zdawały się powabnie uśmiechać z pod swojej bieli. Powietrze było pogodne, niebo lazurowe, jak morze, które połykiwało na krańcach alei.

Podróżnik, przybywszy do miasta, byłby się zdziwił wyrazem widocznego zdrowia na twarzach wszystkich mieszkańców i ruchem, panującym na ulicach. Zamykano wspaniale akademje malarstwa, muzyki, rzeźby, bibliotek, znajdujące się wszystkie w jednej dzielnicy. Odbywały się w nich doskonałe kursy publiczne, podzielone na małe sekcje, co pozwalało każdemu odnosić istotną korzyść z lekcji. Tym, wychodzącym z tych zakładów, spowodował pewien natęsk; ale nie rozległ się żaden wykrzyknik niecierpliwości, żaden głos nieukontentowania. Na wszystkich twarzach był wyraz spokoju i zadowolenia.

Rodzina Sarrasinów zbudowała sobie mieszkanie nie w środku miasta, ale na brzegu oceanu. Tam, zaraz na początku, – bo dom ten stanął jeden z pierwszych – doktor osiedlił się z żoną swoją i córką Joanną.

Oktawiusz, Zaimprovizowany milioner, pragnął zostać w Paryżu, ale nie miał już teraz przy sobie mentora swego, Marcelego.

Dwaj przyjaciele stracili siebie z oczu prawie od tego czasu, gdy przestali mieszkać razem przy ulicy Roi-de-Sicile. Kiedy doktor wyemigrował z żoną i córką nad brzegi Oregonu, Oktawiusz został panem samego siebie. Zaniedbał wręcz szkół, gdzie według życzenia ojca miał pracować dalej i nie zdał ostatniego egzaminu, który Marceli złożył celując.

Dotychczas Marceli służył za busolę biednemu Oktawiuszowi, który nie był w stanie postąpić samodzielnie. Kiedy młody Alzarczyk wyjechał, jego towarzysz dzieciństwa zaczął powoli prowadzić w Paryżu życie na wielkiej skali. Wiąkszą część dnia spędzał na wysokim kole ogromnego powozu, zaprzęgniętego w cztery konie, w cięgieł podwoju między aleją Marigny, gdzie wzięte mieszkanie i polami wyścięgiem za rogatkami. Oktawiusz Sarrasin, który na trzy miesiące przedtem, zaledwie umiał utrzymać się na siodle maneżowych koni, najmowanych na godziny, stał się nagle człowiekiem bardzo biegłym we wszystkich tajemnicach hippologii. Wśród jego erudycji był groom angielski, którego miał u siebie na służbie i który opanował go zapomocą swych specjalnych wiadomości.

Krawcy, siodlarze i szewcy zajmowali całe jego poranki. Wieczory należały do małych teatrów i do salonów pewnego kasyna, które w tym czasie znajdowało się na rogu ulicy Trenchard. Oktawjusz wybrał je dlatego, że uczęszczający w nim ludzie składali hołd jego pieniądзом i otaczali szacunkiem, z jakim zasługi młodego człowieka nigdzie indziej się nie spotykają. Ludzie ci wydawali się idealnie dystygowanymi. Rzecz szczególna, w pysznie oprawionej i zawieszanej w pierwszej sali liście osób, figurowały same cudzoziemskie nazwiska. Tytuł był o takie miano, że czytając je, możnaby sądzić, że się jest w przedsionku kolegium heraldyki. Idź dalej, można było przypuszczać, że jest to raczej żywa wystawa etnologiczna. Wszystkie wielkie nosy i wszystkie te cery dwóch światów zeszły się tutaj. Kosmopolityczne te indywidualia ubrane były zresztą z wielkim wykwintem, chociaż okazując wyraźnie upodobanie do białych materij, zdradzały tem wieczny pociąg tej i czarnej rasy, pociąg do koloru białych twarzy.

Oktawjusz wydawał się młodym bogiem wśród tych wszystkich dwuręczkich. Powtarzano jego słowa, namiętno krawatki, zdania uważano za artykuły wiary. A on upojony tem kadzidłem, nie spostrzegł, że na każdym wyścigach regularnie tracił wszystkie swe pieniądze. Może był, że niektórzy członkowie klubu, jako pochodzący ze wschodu, sędzieli, że mają prawo do dziedzictwa po Bógumie. W każdym razie umieli je przyciągać do swoich kieszeni powolnym wprawdzie ruchem, ale cięgiem.

W takim nowym życiu, wzięty, przecię Oktawjusza z Marcelim, prędko się zerwały. Od czasu do czasu pisywali jeszcze do siebie; ale cóż wspólnego mogło być między twardym pracownikiem, wyjątkowo oddanym tej myśli, by inteligencja jego doszła do wyższego stopnia rozwoju i siły, a z adnym chępcem, pyszniącym się ze swego bogactwa i zajmującym tylko historjami klubu i stajni.

Wiadomo już, że Marceli opuścił Paryż; najprzód przeszedł kroki Herr Schultze'a, który w tym czasie stał się Stahlstadt, rywalem Frankopolis na tym samym niezaleźnym gruncie Stanów Zjednoczonych; potem przyjął sędzię u tego Stalowego Kręła.

Przez dwa lata Oktawjusz prowadził życie bezużyteczne i marnotrawne. Wreszcie zniechęcony i znudzony jego prędnim, straciwszy kilka milionów, rzucił pewnego pięknego dnia Paryż i pojechał do ojca – co go uratowało od groźnej ruiny, więcej moralnej nawet, niż materjalnej. W tym czasie mieszkał w Frankopolis w domu doktora.

Siostra jego, Joanna, była liczną dziewczyną lat dziewiętnastu; czteroletni pobyt w nowej ojczyźnie nadał jej wszystkie przymioty amerykanki, do przymiotów tych dodał się wdzięk francuski. Matka jej mówiła niekiedy, że zanim ją dostała na towarzyszkę wszystkich chwil dnia, nie domyślała się nawet uroku, jaki się może mieć w tak ścisłym stosunku.

Co do pani Sarrasin, ta od powrotu swego syna marnotrawnego, swego infanty, dziecięcia nadziei swoich, była o tyle szczęśliwą, o ile nie był mogła, brała bowiem udział we wszystkich dobrych czynach, które mógł jej móg robić i robić, dzięki swej ogromnej fortunie.

Tego wieczora doktor miał u siebie na obiedzie dwóch swych najlepszych przyjaciół, pułkownika Hendona, starego wiarusa, który utracił ramię pod Pittsburgiem, a ucho pod Serren-Oaks, co mu wcale jednak nie przeszkadzało grać w szachy – i pana Lentza, głównego dyrektora wychowania w nowym mieście.

Rozmowa toczyła się o projektach administracji miasta, o rezultatach, jakie już otrzymano w rozmaitych zakładach publicznych, w instytucjach, szpitalach, kasach wzajemnej pomocy.

Pan Lentz, stosownie do programu doktora, w którym nie ominięto nauki religii, założył kilka szkół elementarnych, gdzie nauczyciele starali się rozwinąć umysł dziecka, używając do tego pewnej metody, która była ściśle dostosowana do naturalnego rozwoju jego zdolności. Zamiast pakować w niego naukę, starano się, by ją naprzód pokochał, unikając starannie owej wiedzy, która jak powiada Montaigne przepływa po wierzchu mózgu, nie przenika do umysłu, nie czyni człowieka ani mądrszym ani lepszym. Umysł, dobrze przygotowany, sam potrafi wybrać drogę i iść po niej z korzyścią dla siebie i innych.

W tak porządnym wychowaniu starania o higienę, musiały być wysunięte na plan pierwszy. Człowiek złożony z ducha i ciała, musi być pewny tych swoich dwóch usług; jeżeli jeden z nich zawiedzie, wówczas pan cierpi.

W tym czasie Frankopolis stało na najwyższym szczyśle pomyślności, nie tylko materialnej, ale i umysłowej. Najznakomitsi uczeni obu światów przyjeżdżali tam na kongresy. Artysty, malarze, rzeźbiarze, muzycy, zwabieni sławą miasta, napływali do niego ze wszystkich stron. Należało się spodziewać, że przy takich nauczycielach pracująca młodzież wsławi kiedyś ten zakątek amerykańskiej ziemi.

Można było przewidywać, że nowe te Ateny, pochodzenia francuskiego, staną się wkrótce pierwszym z miast na świecie.

Trzeba dodać, że wojskowe wychowanie młodzieży szło w liceach równoległe z wychowaniem cywilnym. Wychodząc ze szkół, młodzi ludzie, oprócz obchodzenia się z bronią, znali główne zasady strategii i taktyki.

To też, kiedy rozmowa zeszła na ten temat, pułkownik Hendon oświadczył, że zadowolony jest ze wszystkich swoich nowozaciętych żołnierzy.

– Przyzwyczajeni są do forsownych marszów, do zmęczenia, do wszystkich trudów ciała. Nasze wojsko składa się ze wszystkich obywateli, i wszyscy, gdy zajdzie tego potrzeba, staną do broni, jako żołnierze zahartowani i karni.

Frankopolis było wprawdzie w najlepszych stosunkach ze wszystkimi sąsiednimi stanami, bo starało się zobowiązać je sobie przy każdej sposobności, ale niewdzięczność grała tak wielką rolę w kwestjach interesu, że doktor i przyjaciele jego nie zapomnieli o maksymie: pracuj, a Bóg ci dopomoże i rachowali tylko na siebie.

Było już pod koniec obiadu; sprzątnięto deser i stosownie do anglo-saskiego zwyczaju, który przyjęto w rodzinie doktora, panie wstały wstały od stołu.

Doktor Sarrasin, Oktawjusz, pułkownik Hendon i pan Lentz prowadzili dalej rozpoczętą rozmowę i prowadzili ją teraz na temat najważniejszych kwestyj ekonomii politycznej, kiedy wszedł służący i podał doktorowi dziennik.

Był to New-York Herald. Szanowny ten organ był zawsze przychylny najpierw zaogoni, następnie rozwojowi Frankopolis, znakomitsi obywatele miasta szukali zwykle w kolumnach jego rozmaitych zdań, jakie opinia publiczna Stanów Zjednoczonych gosiła o nich. Gromada ludzi szczepliwych, wolnych, niezależnych na naszym, neutralnym kawałku ziemi, wzbudziła zazdrość u wielu i jeżeli mieszkańcy Frankopolis mieli wielu stronników, z drugiej strony mieli też nieprzyjaciół gotowych na wszystko. W każdym razie, New-York Herald był za nimi i nie przestawał darzyć ich oznakami szacunku i uwielbienia.

Doktor Sarrasin, nie przerywając rozmowy, zerwał opaskę dziennika i machinalnie rzucił wzrokiem na pierwszy artykuł.

Jakie było jego zdziwienie, kiedy ujrzał kilka następujących wierszy, które przeczytał najprzód po cichu, potem głośno, wśród oznak najwyższego zdziwienia i głębokiego oburzenia swoich przyjaciół.

New York, 8 września. Dowiadujemy się, że wkrótce ma być dokonany zamach na prawo ludzkości. Donoszą nam z pewnego źródła, że w Stahlstadzie zbroją się celem uderzenia na Frankopolis i zniszczenia tego miasta pochodzenia francuskiego. Nie wiemy, czy Stany Zjednoczone będą mogły i chciały wdać się w tę walkę, która będzie wznowieniem poprzednich zapasów rasy amerykańskiej i germańskiej, ale zawiadamiamy uczciwych ludzi o tem haniebnym nadużyciu siły. Niech Frankopolis nie traci ani chwili czasu i przygotowuje się do obrony i t. d.

Rozdział XII

Rada.

Nienawiść Stalowego Króla względem dzieła doktora Sarrasina nie była tajemnicą. Wiedzano, że wniósł miasto przeciw miastu. Ale od tego faktu do rzucenia się na spokojne miasto i zniszczenia go, było jeszcze daleko. Jednakże artykuł New-York Heraldza mówił o tem wyraźnie. Korespondenci potępnego dziennika przeniknęli zamiary Herr Schultze'a i – jak mówili – nie było chwili do stracenia.

Zacny doktor zmieszał się z poczętku. Tak jak wszystkie szlachetne dusze, jak mógł najdłużej nie chciał wierzyć w złe wieści. Zdawało mu się niepodobieństwem, by przewrotność mogła się posunąć do tego stopnia, iż bez żadnej przyczyny, przez prostą fanfaronadę, chciała zniszczyć miasto, które było niejako wspólną własnością całej ludzkości.

– Pomyślcie sobie, że średnia śmiertelność w tym roku nie wyniesie u nas nawet jednego i wierzę na sto! – zawołał naiwnie, – że nie mamy ani jednego chłopca, któryby nie umiał czytać, że nie było ani jednego morderstwa, ani jednej kradzieży od zagoni Frankopolis! I barbarzyńcy mieliby zniszczyć w zafęku tak szczepliwych prób! Nie! Nie mogli uwierzyć, by chemik, uczony, chociażby był sto razy Niemcem, był zdolny do tego!

Niepodobna było jednak nie wierzyć dziennikowi, który dla dzieła doktora okazywał tyle

przychylno?ci, i nale?a?o, nie zwlekaj?c, obmy?li? ?rodki obrony. Kiedy min??a pierwsza chwila os?upienia, dokt?r Sarrasin, odzyskawszy przytomno?? umys?u, odezwa? si? do swoich przyjaci??:

– Panowie, jeste?cie cz?onkami Rady Obywatelskiej, i do was, tak dobrze, jak do mnie, nale?y przedsiwzi?? ?rodki potrzebne do obrony miasta. Co mamy robi? najpierw?

– Czy jest jaka mo?no?? porozumienia si? z przeciwnikiem? – rzek? pan Lentz. – Czy mo?na unikn?? wojny, nie nara?aj?c honoru?

– Nie, – odrzek? Oktawjusz. – Herr Schultze pragnie jej widocznie za wszelk? cen?. Nienawi?? jego nie pozwala na ?adne uk?ady!

– Niech i tak b?dzie! – zawo?a? dokt?r. – Postaramy si? o to, by?my mogli stosownie odpowiedzie?. Jak my?lisz, pu?kowniku, Czy jest jaki spos?b obrony przeciw dzia?om Stahlstadt?u?

– Si?a ludzka mo?e zawsze skutecznie walczy? z drug? podobn? si??, – odpowiedzia? pu?kownik Hendon, – ale nie mo?emy my?le? o tem, by?my si? mogli broni? temi samymi ?rodkami i t? sam? broni?, jak? Herr Schultze uderzy na nas. Chc?c mie? maszyny wojenne, mog?ce walczy? z jego maszynami, potrzebowaliby?my zbyt wiele czasu, a nawet, nie wiem, czy potrafimy je zrobi?, nie posiadaj?c potrzebnych warsztat?w. Jeden wi?c tylko pozostaje ?rodek ocalenia, nie dopu?ci? nieprzyjaciela do siebie i nie pozwoli?, by opasa? miasto.

– Natychmiast zwo?am Rad?, – rzek? dokt?r Sarrasin.

M?wi?c to, uda? si? wraz z go??mi do gabinetu.

By? to pok?j skromnie umeblowany; trzy ?ciany zajmowa?y p??ki z ksi??kami, na czwartej by?o kilka obraz?w i dzie? sztuki, a pod nimi szereg aparat?w telefonicznych.

– Dzi?ki telefonowi, – rzek? dokt?r, – mo?emy w Frankopolis naradza? si?, nie wychodz?c z naszych mieszka?.

Dotkn?? dzwonka sygna?owego, kt?ry natychmiast przes?a? jego wezwanie do mieszkania ka?dego z cz?onk?w Rady. Nie up?yn??o wi?cej ni? trzy minuty, a ka?dy z drut?w komunikacyjnych przyni?s? wyraz ?obecny?, co by?o has?em, ?e posiedzenie Rady rozpoczyna si?.

Dokt?r umie?ci? si? przed tub? g??wnego aparatu, poruszy? dzwonek i rzek?:

– Posiedzenie otwarte? G?os ma m?j szanowny przyjaciel, pu?kownik Hendon; zawiadamia on Rad? Obywatelsk? o bardzo wa?nej sprawie.

Z kolei pu?kownik zaj?? miejsce przed telefonem, i przeczytawszy artyku? z New-York Herald?u, zaproponowa? przygotowanie pierwszych ?rodk?w obrony.

Zaledwie sko?czy? m?wi?, numer 6 postawi? pytanie:

?Czy pu?kownik uwa?a obron? za mo?ebn?, w razie gdyby ?rodki, kt?rymi zamierza przeszkodzi?

zbliżeniu się nieprzyjaciela, okazały się bezskuteczne??

Pułkownik Hendon odpowiedział twierdząco. Pytanie i odpowiedź szły natychmiast do każdego z niewidzialnych członków Rady, tak, jak objawienia, które je poprzedzały.

Numer 7-my zapytał, ile czasu, zdaniem pułkownika, mieszkańcy miasta mieli do przygotowania się do obrony. Pułkownik nie mógł odpowiedzieć na to pytanie, ale sędzi, że trzeba działać tak, jakgdyby miało uderzyć na nich zanim upłyną dwa tygodnie.

Numer 2-gi: „Czy należy czekać natarcia, czy też sędzi pan, że lepiej je uprzedzić??”

– Trzeba się je starać uprzedzić, – odpowiedział pułkownik, – a jeżeli nieprzyjaciel zagrozi nam wyładowaniem, musimy naszymi torpedami wysadzić w powietrze okręty Herr Schultze’a.

Doktor Sarrasin oświadczył, że weźmie na radę najznakomitszych chemików i poleci im zbadać plany, które pułkownik Hendon im przedłożył.

Pytanie numeru 1-go:

„Jaka suma potrzebna jest do natychmiastowego rozpoczęcia robót fortyfikacyjnych??”

– Kwota piętnastu do dwudziestu milionów dolarów.

Numer 5-ty: „Stawiam wniosek, aby zaraz zwołać powszechne zgromadzenie obywateli.”

Prezydent Sarrasin: „Oddaję projekt pod głosowanie.”

Dwa uderzenia dzwonka w każdym telefonie oznajmiły, że projekt jednogłośnie przyjęto.

Było wpół do siemnej. Rada obywatelska nie trwała osiemnastu minut i nikogo nie poruszyła z miejsca.

Zgromadzenie ludowe zostało zwołane sposobem równie prostym i prawie tak szybkim. Za ledwie doktor Sarrasin, zawsze za pośrednictwem swego telefonu, przesłał do ratusza wiadomość o tem, co Rada uchwaliła przed chwilą, natychmiast odezwały się dzwonki elektryczne, umieszczone na wierzchołku kolumn, które stały dwustu osiemdziesięciu placach miasta. Na kolumnach znajdowały się zegary wiekowe, których wskazówki zatrzymały się na wpół do dziewiętej; oznaczało to godzinę zgromadzenia.

Donośny odgłos dzwonków trwał więcej niż kwadrans; mieszkańcy powychodzili z domów i podnieśli oczy na najbliższy zegar. Widząc, że obowiązek narodowy wzywa ich do sali ratuszowej, niezwłocznie pospieszyli na zgromadzenie.

Na umówioną godzinę, to jest w niespełna czterdzieści pięć minut, zgromadzenie było w komplecie. Doktor Sarrasin siedział na honorowym miejscu, a otaczała go cała Rada. U podnóża trybuny, pułkownik Hendon czekał, a będzie mu udzielony głos.

Wi?ksza cz??? obywateli wiedzia?a ju?, jaki by? pow?d zgromadzenia. W istocie, dyskusja Rady Obywatelskiej, automatycznie powt?rzona przez telefon ratuszowy, zosta?a niezw?ocznie rozes?ana do dziennik?w, kt?re wyda?y j? osobno i w ksza?cie afisz?w kaza?y rozlepi? na ulicach.

Sala ratuszowa, by?a to ogromna nawa z dachem szklanym; powietrze kr??y?o tu swobodnie, a ?wiat?o la?o si? strumieniami z szeregu lamp gazowych, kt?re uwydatnia?y k?ty sklepienia.

T?um sta? spokojny i cichy. Twarze by?y weso?e. Zdrowie, przyzwyczajenie do ?ycia pe?nego rado?ci i regularnego; poczucie w?asnej si?y, odstr?cza?y od poddawania si? zbyticznemu wzruszeniu, uczuciom przestachu lub gniewu. Gdy tylko wybi?o wp?? do dziewi?tej, prezydent zadzwoni? i g??boka cisza zaleg?a w sali.

Pu?kownik wszed? na trybun?.

W mowie silnej i zwi?z?ej, bez niepotrzebnych ozd?b i oratorskich zwrot?w, w j?zyku ludzi, kt?rzy wiedz? co m?wi?, jasno wypowiadaj? swe my?li, bo je dobrze rozumiej?, pu?kownik Hendon opowiedzia? o zastarza?ej nienawi?ci Herr Schultze?a do Francji, do Sarrasina i jego dzie?a i o strasznych przygotowaniach w celu zniszczenia Frankopolis i jej mieszka?c?w, o czym zawiadamia? dziennik New-York-Herald.

?Do obywateli miasta – m?wi? dalej – nale?y decyzja, co maj? robi? dalej. Ludzie bez odwagi i bez patriotyzmu woleliby mo?e ust?pi? z placu i swoj? now? ojczyzn? odst?pi? napastnikom. Ale pu?kownik by? pewien, ?e tak tch?rzliwe usposobienie nie mo?e by? udzia?em jego wsp??obywateli. Ludzie, kt?rzy potrafili zrozumie? wielko?? celu, jaki postawili sobie za?o?yciele wzorowego miasta, ludzie, kt?rzy umieli pogodzi? si? z jego prawami, musieli by? lud?mi wielkiej inteligencji i odwa?nych serc. Walcz?c w imi? post?pu, kt?rego s? szczerymi przedstawicielami, zrobi? zapewne wszystko, co tylko b?dzie w ich mocy, by uratowa? to niezr?wnane miasto, chlubny pomnik, wzniesiony sztuce polepszenia losu cz?owieka! Obowi?zkiem ich zatem by?o po?wi?ci? ?ycie za spraw?, kt?r? reprezentowali?.

Grzmot oklask?w przyj?? t? mow?.

Kilku m?wc?w popar?o wnioszek pu?kownika Hendon?a.

Dokt?r Sarrasin przedstawi? konieczno??, ustanowienia Rady Obronnej, kt?raby zapewni?a niezb?dne ?rodki obrony, zachowuj?c przytem tajemnic? konieczn? w czynno?ciach wojskowych; propozycja ta zosta?a przyj?t?.

Na tem samym posiedzeniu, jeden z cz?onk?w Rady Obywatelskiej, poda? my?l wyasygnowania tytu?em tymczasowego kredytu pi?ciu milion?w dolar?w, przeznaczonych na pierwsze roboty.

Wszystkie r?ce podnios?y si? dla zatwierdzenia tego projektu.

By?o wp?? do jedenastej, kiedy zgromadzenie uko?czono; mieszka?cy Frankopolis, wyznaczwszy naczelnik?w, mieli si? rozej??.

Wtem zaszed? niespodziewany wypadek.

Trybuna wolna od chwili, została zajęta przez jakiegoś nieznajomego.

Człowiek ten zjawił się tam jakby cudem. Na energicznej jego twarzy było ślad strasznego wzburzenia, ale postawa miała spokojną i pewną. Ubranie jego nawet przyklejone do ciała i powalane mułem, czoł jego zakrwawione wskazywało, że spotkały go jakieś straszne przygody.

Na jego widok wszyscy się zatrzymali. Rozkazującym ruchem nieznajomy nakazał spokój i milczenie.

Kto to był? Skąd się wziął? Nawet doktor Sarrasin, tak jak i inni, nie pomyślał zapytać go o to.

Zresztą, dowiedziano się wkrótce.

– Ucieknę z Stahlstadt – rzekł – Herr Schultze skazał mi na śmierć. Bóg pozwoli mi trafić do was na czas jeszcze, na tyle przynajmniej, bym spróbował, czy nie potrafię was ocalić. Nie dla wszystkich tutaj jestem nieznajomym. Mój czcigodny mistrz, doktor Sarrasin, powie wam, spodziewam się, że mimo powierzchowności, pod którą sam siebie poznać nie mogę, można zaufać Marcelemu Bruckmannowi!

– Marceli! – zawołali jednocześnie doktor i Oktawiusz.

Obaj chcieli rzucić się ku niemu.

Nowy ruch ręki zatrzymał ich.

Był to w istocie Marceli, cudem uratowany. Wyłamawszy kratę kanału w chwili, kiedy brak powietrza miał go udusić, przedem wody został uniesiony, jak ciało bez życia. Na szczęście krata zamykała wąż obwód Stahlstadt i w dwie minuty później Marceli został wyrzucony na brzeg rzeki, wolny nareszcie, jeżeli wróci do życia!

Kilka długich godzin odważył się modlić się przeleżał nieruchomo, w ciemnej noc, w pustym polu i zdala od wszelkiej pomocy.

Dzień już był, kiedy odzyskał zmysły. Przypomniał sobie wówczas wszystko. Dzięki Bogu, wydostał się z przeklętego Stahlstadt! Nie był już w niewoli. Cała myśl jego zwróciła się do doktora Sarrasina, jego przyjaciela, jego współobywateli!

– Oni! Oni! – zawołał.

Z nadzwyczajnym wysiłkiem dźwignął się na nogi.

Dziesięć mil dzieliło go od Frankopolis, miał zrobić dziesięć mil; bez kolei, bez woza, bez konia, przebył te pola, które jak pustynia otaczały Stalowe Miasto. Te dziesięć mil przeszedł, nie odpoczywając ani na chwilę i o kwadrans na jedenastą znalazł się wobec pierwszych domów miasta doktora Sarrasina.

Afisze, pokrywaj?ce mury, zawiadomi?y go o wszystkim. Zrozumia?, ?e mieszka?cy byli ju? uprzedzeni o niebezpiecze?stwie, kt?re im grozi?o; ale zrozumia? tak?e, ?e nie wiedzieli oni jak bliskiem by?o to niebezpiecze?stwo ani te? jakiego by?o rodzaju.

Katastrofa obmy?lona przez Herr Schultze?a, mia?a nast?pi? tego? wieczora, trzy kwadranse przed dwunast?. By?o ju? kwadrans po dziesi?tej.

Trzeba by?o zrobi? ostatni wysi?ek. Marceli jednym p?dem przebieg? miasto i o wp?? do jedenastej, w chwili, kiedy zgromadzenie mia?o si? rozej?? wdar? si? na trybun?.

– Nie za miesi?c, moi przyjaciele – zawo?a? – ani za tydzie? nawet zetkniecie si? z pierwszym niebezpiecze?stwem! Za godzin?, nieznana dot?d katastrofa, deszcz ?elaza i ognia spadnie na wasze miasto. Maszyna godna piekie?, si?gaj?ca o dziesi??, jest w tej chwili wymierzona przeciw niemu. Widzia?em j?. Niech wi?c dzieci i kobiety schroni? si? do piwnic, daj?cych pewn? r?kojmi? wytrzyma?o?ci, albo niech natychmiast opuszcz? miasto i udadz? si? w g?ry! M??czy?ni niech si? przygotuj? do gaszenia ognia wszelkimi mo?liwymi ?rodkami! Ogie?, to na teraz jedyny wasz nieprzyjaciel! Ani wojsko, ani ?o?nierze nie id? przeciwko wam. Przeciwnik, kt?ry wam grozi, pogardzi? tymi zwyk?ymi ?rodkami wojny. Je?eli plany, je?eli rachunki cz?owieka, kt?rego pot?ga w z?em jest wam ju? znan?, spe?ni? si?, je?eli Herr Schultze nie omyli? si? po raz pierwszy, w takim razie po?ar wybuchnie nagle i odrazu we wszystkich punktach Frankopolis! We wszystkich punktach trzeba b?dzie wkr?tce walczy? z p?omieniem. Cokolwiek ma nast?pi?, trzeba najprz?d ratowa? ludno?!, bo waszych dom?w i waszych pomnik?w, niepodobna b?dzie ocali?, a chocia?by nawet ca?e miasto mia?o by? zniszczone, czas i pieni?dze zdo?aj? je odbudowa?.

W Europie wzi?toby Marcelego za warjata. Ale w Ameryce nikomu nie przysz?o do g?owy zaprzecza? cudom nauki, i id?c za zdaniem doktora, uwierzono m?odemu Alzacyjnykowi.

T?um, na kt?rym akcent m?wcy robi? jeszcze wi?ksze wra?enie ni? s?owa, us?ucha? nie roztrz? saj?c ich nawet. Dokt?r odpowiada? za Marcelego Bruckmanna. Tego by?o dosy?.

Rozkazy zosta?y natychmiast wydane i pos?a?cy rozlecieli si? z nimi we wszystkie strony.

Co do mieszka?c?w miasta, jedni, wr?ciwszy, do swoich dom?w, postanowili z rezygnacj? znie?? okropno?ci bombardowania i schronili si? do piwnic; inni pieszo, konno, w powozach wyruszyli w pole i dotarli do pierwszych stok?w Cascade-Mounts.

Tymczasem silni m??czy?ni pospiesznie zgromadzali na wielkim placu i kilku innych punktach miasta, wskazanych przez doktora, wszystko co mog?o s?u?y? do gaszenia ognia, to jest wod?, ziemi?, piasek.

Na sali posiedze? narada ci?gn??a si? dalej w ksza?cie rozmowy.

Marceli tak by? poch?oni?ty jak?? my?l?, ?e nie m?g? si? niczem zaj??. Przesta? m?wi? i szepta? tylko:

– Trzy kwadranse na dwunast?! Czy podobna, ?eby ten przekl?ty Schultze, zwyci??y? nas swoim

okropnym wynalazkiem??

Nagle wyci?gn?? z kieszeni notatki, zrobi? ruch cz?owieka, kt?ry prosi o milczenie i z o??wkiem w r?ku, gor?czkowo nakre?li? kilka cyfr na jednej ze stroniec swojej ksi??eczki. Powoli czo?o jego rozchmurzy?o si? i twarz rozja?nia?a:

– Ach, moi przyjaciele – zawo?a? – moi przyjaciele! Albo te cyfry k?ami?, albo wszystko, czego obawiamy si?, rozwieje si?, jak przykry sen przed oczywisto?ci? problemu balistyki, kt?rego rozwi?zania szuka?em dot?d daremnie! Niebezpiecze?stwo, kt?re nam grozi, jest tylko urojeniem! Tym razem nauka jego b??dzi! Nic z tego, co nam zapowiedzia?, nie stanie si?, nie mo?e si? sta?! Jego straszny granat przejdzie ponad Frankopolis nie tkn?wszy go i musimy si? ju? teraz obawia? tylko o przysz?o??!

Co chcia? powiedzie? Marceli?! Nikt go nie rozumia?!

W?wczas m?ody Alzacyjny wyja?ni? rezultat rachunku, kt?ry uda?o mu si? wreszcie zrobi?! G?os jego czysty i dono?ny tak dobitnie przedstawi? ca?? rzecz, ?e zrozumieli j? nawet ci, co nie posiadali nauki.

Jasno?? nast?pi?a po ciemno?ci, pok?j po trwodze. Pocisk nietylko nie mia? dotkn?? miasta, ale nie mia? dokn?? wog?le ?niczego?. Przeznaczeniem jego by?o zgin?? w przestrzeni!

Dokt?r Sarrasin potwierdzi? gestami wyw?d Marcelego, kiedy nagle wskazuj?c palcem na zegar zawo?a?:

– Za trzy minuty – dowiemy si? kto, ma s?uszn??, Schultze czy Marceli Bruckman! B?d? co b?d?, moi przyjaciele, nie ?a?ujmy tych ?rodkw?w ostro?no?ci, kt?re powzi?li?my i nie zanedbujmy niczego, co mo?e odeprze? wynalazki naszego nieprzyjaciela. Je?eli cios ten ominie nas, jak Marceli ka?e nam si? spodziewa?, nie b?dzie on ostatni. Nienawi?? Schultze?a nie mo?e uzna? si? za zwyci?? on? i cofn?? przed pierwszym niepowodzeniem.

– Chod?my! – zawo?a? Marceli.

I wszyscy udali si? za nim na wielki plac. Trzy minuty up?yn??y. Trzy na dwunast? wybi?o na zegarze!?

W cztery sekundy p??niej, ciemna masa przemkn??a wysoko po niebie i szybko jak my?l ze z?owrogim ?wistem znik?a daleko za miastem.

– Szcz??liwej drogi! – krzykn?? Marceli, wybuchaj?c ?miechem. – Z tak? szybko?ci? pocz?tkow? granat Herr Schultze?a przekroczy? ju? teraz granic? atmosfery i nie mo?e spa?? na ziemi?.

W dwie sekundy p??niej rozleg? si? huk przyg?uszony, jakgdyby wychodz?cy z wn?trza ziemi.

By? to huk, pochodz?cy z dzia?a Wie?y Byka; huk ten doszed? o trzynacie sekund p??niej ni? pocisk kt?ry lecia? z szybko?ci? stu pi??dziesi?ciu mil na godzin?.

Rozdział XIII

Marceli Bruckmann do profesora Schultze'a w Stahlstadzie.

Frankopolis, 14 września

Śdz, że wypada mi zawiadomić stalowego kręła, że przedwczoraj wieczór bardzo szczęśliwie przebyłem granicę jego posiadłości, przekazując własny ratunek nad ocalenie modelu armaty Schultze'a.

Wegnajcie pana, nie dopęniłbym mego obowiązku, gdybym nie wykrył przed nim mojej tajemnicy; ale bądź pan spokojny, poznania jej nie opłaci pan swoim życiem.

Nie nazywam się Schwartz i nie jestem szwajcarem. Jestem Alzackim. Nazwisko moje brzmi Marceli Bruckmann. Jestem niezłym inżynierem, jeżeli mam panu wierzyć, ale przede wszystkim jestem Francuzem. Jesteś nieubagany nieprzyjacielem mego kraju, moich przyjaciół, mojej rodziny. Chciałobyś zgubić tych, których kocham. Odważysz się na wszystko, wszystko zrobię, by poznać twoje zamiary! Zrobię wszystko, by je zniweczyć.

Spiesz panu donieść, że pierwszy jego cios chybił, że cel, dzięki Bogu, nie został dopięty i że nie mogło być nawet inaczej. Mimo to – wyznać muszę – że armata pańska jest arcycudowna, ale pociski, które wyrzuca pod takim ładunkiem prochu i które mogłyby wyrzucać nikomu nie zrobić niczego! Nigdy nigdzie nie spadną. Przeczuwałem to, a dzisiaj jest to już fakt dopięty, na wielką pańską chwałę, że profesor Schultze wynalazł dzieło zupełnie nieszkodliwe.

Z przyjemności zatem dowiedział się pan, że widzieliśmy wydoskonalony granat, jak o godzinie jedenastej, minut czterdzieści pięć i cztery sekundy, przeleciał ponad naszym miastem. Długo ku zachodowi, kręcił się w próżni i tak wirował będzie aż do końca wieków. Pocisk, mający pierwotnie szybkość dwadzieścia razy większą od szybkości rzeczywistej, to jest, przebiegałszy dziesięć metrów na sekundę, nie może już spaść! Ruch jego własny, pooczywszy się z przyciąganiem ziemi, zamienia go na ciało, którego przeznaczeniem jest wiecznie wirować koło naszej ziemi.

Powinien pan o tym wiedzieć.

Mam nadzieję nadto, że po tej pierwszej próbie armata Wieży Byka jest zupełnie zniszczona; w każdym razie dwieście tysięcy dolarów, to nie jest nadto drogo zapłacone za przyjemność, jak pan sobie zrobi, obdarzając świat planetarny nową gwiazdą, a ziemię drugim satelitą.

Marceli Bruckmann.

Umyślny posłaniec wyruszy niezwłocznie z Frankopolis do Stahlstadt. Można wybaczyć Marcelemu, że nie mógł sobie odmówić tej żołądziej przyjemności i wysłać swój list do Herr Schultze'a.

Marceli miał w istocie sushność, kiedy utrzymywał, że znakomity granat, obdarzony taką chęcią i wirujący poza obrębem atmosfery, nie spadnie więcej na powierzchnię ziemi – miał taką sushność.

uszn??, kiedy suponowa?, ?e po tym ogromnym ?adunkiem bawe?ny strzelniczej, dzia?o Wie?y Byka musi by? zupe?nie zepsute.

List ten zada? straszny cios Herr Schultze?mu i jego mi?o?ci w?asnej. Czytaj?c go, posinia? ca?y, g?owa opad?a mu na piersi jakgdyby pod uderzeniem maczugi. Z tego stanu prostacji duchowej otrz?sn?? si? dopiero po kwadransie, ale w jaki wpad? gniew! Tylko Arminius i Sigimer mogli powiedzie?, jakie by?y wybuchy tego gniewu!

Ale Herr Schultze nie by? to cz?owiek, kt?ry chcia?by si? uzna? za zwyci??onego. Mi?dzy nim a Marcelim mia?a si? rozpocz?? zaci?ta walka. Czy nie pozosta?y mu jeszcze jego granaty, na?adowane p?ynnym dwutlenkiem w?gla, kt?ry dzia?a mniej pot??ne, ale wi?cej praktyczne b?d?ciska? z ma?ej odleg?o?ci.

Uspokoiwszy si? nag?ym wysi?kiem woli, Kr?l Stalowy wszed? do swego gabinetu i zaj?? si? znowu prac?.

Frankopolis wi?cej ni? kiedy zagro?one, powinno by?o zaopatrzy? si? we wszelkie mo?liwe ?rodki obrony.

Rozdział XIV

Przygotowania do walki.

Niebezpieczeństwo nie było bliskim, ale nie przestało być groźnym. Marceli opowiedział doktorowi i jego przyjacielom wszystko, co wiedział o przygotowaniach Herr Schultze'a i o jego niszczyjących maszynach. Zaraz nazajutrz Rada Obrony, w której wzięła udział, zajęła się ułożeniem planu obrony i przygotowaniem do niej.

We wszystkim pomagał Marcelemu Oktawiusz, który zmienił się bardzo korzystnie pod względem moralnym.

Jakie postanowienia zapadły? Nikt nie znał szczegółów. O głównych tylko zasadach systematycznie zawiadamiano prasę i te tylko rozchodziły się między publicznością. Właśnie w tym momencie było poznana praktyczność Marcelego.

W każdej obronie – mówiono na mieście – najważniejszą rzeczą jest dobrze znać się nieprzyjaciela i system odporu zastosować do tych się. Lepiej jest jednak mieć do czynienia z armatami, których znamy liczbę, system, doniosłość i skutki, aniżeli walczyć z mało znanymi maszynami.

Najgłówniejszą rzeczą było nie dopuścić do opasania miasta, czy to od lądu, czy od morza.

Nad tą kwestią pilnie pracowała Rada Obrony i kiedy wreszcie publicznie ogłoszono zadanie, to zostało rozwiązane, nikt o tym nie wątpił. Obywatele zbiegli się tłumami, proponując swą pomoc do potrzebnych robót. Nie pogardzono żadną pracą, która mogła przyczynić się do dzieła obrony.

Ludzie różnego wieku, rozmaitego stanowiska, stawali się prostymi robotnikami. Praca szła wesoło i szybko. Sprowadzono do miasta zapasy żywności, dostateczne na dwa lata. Zaopatrzone zostały w znaczny ilość węgla kamiennego i żelaza. Żelazo, jako pierwszy podstawowy uzbrojenia; węgiel, jako rezerwoar ciepła i ruchu, jedno i drugie koniecznie potrzebne w walce.

Węgiel i żelazo składowano na placach, olbrzymie zasoby wory z młotem, sztuki wędzonego mięsa, sterty serów, galery konserw i suszonych jarzyn układowano w halach, zamienionych na magazyny. Liczne stada bydła zamknięto w ogrodach, które z Frankopolis robiły jedną wielką kępkę.

Wreszcie kiedy wydano rozkaz mobilizacji dla wszystkich mężczyzn, mogących nosić broń, zapał, z jakim przyjęto to rozporządzenie, wykazało raz jeszcze doskonałe usposobienie obywateli. Ubrani w krótkie wełniane kaftany, płócienne spodnie, płóciennobutów i dobre skórzane kapelusze, uzbrojeni w karabiny Werdera wzięli się po wszystkich alejach.

Gromada chińskich robotników kopała ziemię, robiła fosy, wznosiła okopy i reduty, gdzie tylko było możliwe. Zaczęto odlewać działa i roboty te prowadzono bardzo gorliwie. Do pracy tej doskonale się przydały piece dymosłone, których wielką ilość posiadało miasto, a które już wykorzystano teraz, zamieniwszy je na piece do odlewów.

Wśród tego bezustannego ruchu, Marceli okazywał się niestrudzonym. Był wszędzie i wszystkiemu umiał podołać. Umiał rozwiązywać natychmiast wszelką trudność, czy to praktyczną, czy teoretyczną.

W razie potrzeby zawijał rękawy i sam pokazywał jakiś dobry sposób, jakiś szybki ruch w robocie. To też cieszył się wielkim szacunkiem i rozkazy jego spełniano jak najciślej i bez szemrania.

Oktawiusz robił coś nowego. Narazie miał wprowadzić chłokę ozdobił swój mundur złotymi galonami, ale wkrótce zrezygnował z tej myśli, zrozumiał, że służyć musi zacząć od obowiązków prostego żołnierza.

To też zajmował miejsce we wskazanym sobie bataljonie i zachowywał się w nim jak wzorowy żołnierz. Tym, którzy z początku ubolewali nad nim, odpowiadał:

„Każdemu podług zasług. Może nie potrafiłbym rozkazywać! Niech się przynajmniej nauczą służyć!”

Pewna wiadomość – fałszywa wprowadzić – dodała robotom większego jeszcze bodźca. Herr Schultze, powiadano, prowadzi układy z kompanją morską celem przewozu swoich dzieł. Od dnia tego, kaczki gazeciarskie szły jedna za drugą. Raz mówiono, że flota Schultze'a zatona, to znowu, że kolej żelaznicy do Sacramento zburzyli żołnierzy, którzy spadli zapewne z nieba.

Pogłoski te, którym natychmiast zaprzeczano, były prosto wyssane z palca przez dziennikarzy, którzy sami już nie wiedzieli, czym mają podtrzymywać ciekawość czytelników. W rzeczywistości, Stahlstadt nie dawał znaku życia.

Ta zupełna cisza dawała wprowadzić Marcelemu moment dokończenia rozpoczętych robót, ale z drugiej strony niepokoiła go cokolwiek w rzadkich chwilach, kiedy miał czas myśleć o tem.

Czyby zbliżał się zamiar udoskonalenia baterji, albo przygotował jakąś nową sztukę w swoim rodzaju – pytał siebie niekiedy.

Ale plan zatrzymania okrętów nieprzyjacielskich lub niedopuszczenia do opasania miasta, zdawał się zadość czynić wszystkim potrzebom, i Marceli w chwilach rozmyślań, stawał się podwójnie czynnym.

Jedyną jego przyjemnością i jedynym odpoczynkiem po pracowitym dniu, była krótką godziną, którą spędzał w salonie pani Sarrasin.

Od samego początku doktor wymagał, żeby młody człowiek codziennie jadał u niego, wyjść chyba, że gdzieś indziej będzie zaproszony, ale, rzecz dziwna, dotąd nie spotkało go tak ponętne zaproszenie, by Marceli wyrzekł się tego przywileju. Wieczna partja szachów doktora z pułkownikiem Hendonem, nie była jednak tak nadzwyczajnie zajmująca, by mógł wytrzymał jego akuratność. Trzeba więc przypuszczać, że inny jakiś urok przyciągał go do domu doktora i może odgadniemy jakiego rodzaju był ten urok, chociaż Marceli sam napewno nie domyślał się tego. To

pewna, że doznawała przyjemności, przebywając z panią Sarrasin i panną Joanną, kiedy wszyscy troje siedzieli wieczorem koło dużego stołu; obie dzielne kobiety zajmowały się przygotowaniem tego wszystkiego, co mogło być potrzebne w przyszłej obsłudze ambulansów.

– Czy nowe nity stalowe będą lepsze od tych, których rysunek pokazywał nam pan wczoraj? – pytała Joanna, która zajmowała się wszystkim, co dotyczyło robót obronnych.

– Zapewne, proszę pani, – odpowiedział Marceli.

– Bardzo mnie to cieszy! A ile pracy, ile trudów kosztuje najmniejszy szczegół? pomyśl! Mówi pan, że wykopano wczoraj znowu pięćset metrów fosy. To wiele, prawda?

– Wcale nie, to nawet za mało! W ten sposób nie skończylibyśmy obwodu nawet za miesiąc.

– Chciałbym, żeby się to skończyło i żeby ci szkaradni Niemcy natarli już na nasze miasto. Szczęśliwi ci mężczyźni! Mogą działać i być użyteczniejsi. W ten sposób oczekiwanie wydaje im się nie tak długie, jak nam, niezdolnym do niczego.

– Do niczego, – uniósł się spokojny zwykle Marceli, – do niczego! A dla kogo, jak pani myśli, ci ludzie, którzy rzucili wszystko i stali się żołnierzami, dla kogo pracują, jeżeli nie dla spokoju i szczęścia swoich matek, swoich żon i narzeczonych? Ich zapał w was czerpie swe natchnienie. Komu zawdzięcza należą to pragnienie poświęcenia, jeżeli nie?

Marceli zamilkł zmiśszony. Panna Joanna nie nastawała więcej i dyskusję musiała zakończyć dobra pani Sarrasin, mówiąc młodemu człowiekowi, że miłośny wyjął zapał większości pracowników.

Kiedy nie było ciwy obowiązek odwoływał Marcelego, kiedy musiał iść, żeby dokończyć jakiś projekt lub kosztorys, wówczas z nim przerywał przyjemną rozmowę, i wychodził, unosząc z sobą niewzruszone postanowienie uratowania Frankopolis i wszystkich jego mieszkańców, nie wyjąwszy najuboższych.

Nie spodziewał się dalszego biegu wypadków, które byłyby naturalnym, nieuniknionym następstwem praw, rządzących Stahlstadtem.

Rozdział XV

Giełda w San Francisco.

Giełda w San Francisco, odznaczająca się ogromnym ruchem przemysłowym i handlowym, była jedną z najbardziej ożywionych i najdziwniejszych giełd na świecie. Dzięki geograficznemu położeniu stolicy Kalifornji, giełda miała charakter kosmopolityczny, co było jedną z głównych jej cech. W przysionkach z piękniego czerwonego granitu, sąsiedzi wysokiego wzrostu, o jasnych włosach, spotykali się z celtem o ciemnych włosach, matowej cerze i kształtnych i giętkich włosach. Murzyn kroczył obok finansystryki i hindusa. Polinezyjczyk ze zdziwieniem patrzył na grenlandczyka. Chińczyk o skornych oczach, ze starannie splecionym warkoczem, ocierał się o historycznego swego nieprzyjaciela, japończyka. Wszystkie języki, wszystkie dialekty, wszystkie argony mieszały tam ze sobą, jak w nowoczesnym Babelu.

Rozpoczęcie obrotów na tej giełdzie, jedynej w swoim rodzaju na świecie, nie stanowiło w dniu 12 października 1849 r. nic nadzwyczajnego. Z nadzieją godziny jedenastej maklerzy i agenci zbliżyli się do siebie wesoło lub poważnie, stosownie do swych osobistych temperamentów, ścisnęli się za ręce, szli do bufetu i rozpoczęli dzienne czynności od obfitych libacji. Potem jeden po drugim otwierali małe mosiężne drzwiczki numerowanych przegródek, znajdujących się w sieni, a przeznaczonych na korespondencję abonentów; wyjmowali z nich ogromne paki listów, które przeglądali z roztargnieniem.

Wkrótce rozpoczęły się pierwsze targi, a jednocześnie tłum powiększył się nieznacznie. Lekki hałas powstawał w oddzielnych, coraz liczniejszych grupach.

Depesze zaczęły zlatywać się ze wszystkich stron świata. Co chwila zjawiała się kawałek niebieskiego papieru; odczytywano go, wrzeszcząc z cichych miejsc wzdłuż burzy głosów, poczem szybko giełdowa przylepiała go na pionowej stronie gmachu, gdzie znajdowała się już cała kolekcja telegramów.

Ruch wzmagał się wciąż. Posługacze wbiegali, wybiegali, latali do biura telegraficznego, przynosili odpowiedzi. Wszystkie księżeczki z notatkami były otwarte, zapisywano w nich, wykreślano, wydzierano. Zdawało się, że jakiś rodzaj zaraźliwego szaleństwa opanował tłumem, kiedy wtem około godziny pierwszej coś tajemniczego, jak dreszcz, przeszło po ożywionych grupach maklerów.

Jeden ze współpracowników Banku „Far-West” przywiózł wiadomość dziwną, niespodzianą, niemożliwą, i ona to z szybkością błyskawicy obiegła dokoła całego gmachu.

Jedni mówili:

– Co za sztuka! To intryga! Jak można wymyślić podobne kłamstwo?

– Ho! Ho! – mówili inni – niema dymu bez ognia!

– Kto stoi tak mocno, nie może upaść.

– Upa?? mo?na zawsze!

– Ale, panie, same nieruchomo?ci i narz?dzia stanowi? kapita? osiemdziesi?ciu milion?w dolar?w! – wo?a? jeden.

– Nie licz?c surowca i stali, materia??w surowych i przerobionych! – odpowiada? drugi.

– I ja to w?a?nie m?wi?! Schultze wart jest dziewi??dziesi?t milion?w i got?w jestem zap?aci? je w ka?dej chwili.

– Ale jak wyt?omaczysz to zawieszenie wyp?at?

– Wcale sobie tego nie t?omacz?! Nie wierz? temu!

– Jakgdyby takie rzeczy nie przytrafia?y si? codziennie, nawet z domami handlowymi o mocnych podstawach!

– Stahlstadt nie jest zwyk?em przedsi?biorstwem – to ca?e miasto!

– Zreszt? niemo?liwe, ?eby si? tak mia?o sko?czy?! Zostanie zapewne utworzone towarzystwo, kt?re we?mie w swe r?ce jego interesy.

– Ale dlaczego, u djab?a, Schultze nie utworzy? tego towarzystwa, zanim dopu?ci? do protestu zobowi?za?.

– To w?a?nie, panie, jest tak niedorzeczne, ?e niema o czym m?wi?! Jest to poprostu fa?szywa wiadomo??, rzucona prawdopodobnie przez Nash?a, kt?remu nagwa?t potrzeba podwy?szenia ceny stali!

– Nie jest to wcale fa?szywa wiadomo??! Schultze nietylko zbankrutowa?, ale nawet uciek?!

– Co znowu!

– Uciek?, powiadam panu. W tej chwili przylepiono telegram, kt?ry zwiastuje t? wiadomo??!

Olbrzymia fala ludzi potoczy?a si? w stron? depsz. Ostatni kawa? niebieskiego papieru zawiera? te s?owa:

– Nowy Jork, godzina 12, minut 10. – Bank Centralny, Fabryka Stahlstadt. Wyp?aty zawieszono. Wiadomy d?ug – czterdzie?ci siedem milion?w dolar?w. Schultze znik?.

Niespos?b ju? by?o w?tpi?, ?e wiadomo??, chocia? zadziwiaj?ca, by?a tem nie mniej prawdziw?; hipotezy posypa?y si? ze wszystkich stron.

O godzinie drugiej lista drugorz?dnych bankructw, spowodowanych upadkiem Herr Schultze?a, zacz??a zalewa? rynek. Mining Bank z Nowego Jorku straci? najwi?cej; dom Westerley i Synowie z Chicago zosta? wmi?sowany na siedem milion?w; dom Milwaukee z Buffalo, na pi?? milion?w; Bank

Przemysłowy w San Francisco na półtora miliona; wreszcie domy trzeciorzędne kończyły drugi ten szereg.

Zanim nawet rozeszły się te wiadomości, bankructwo Schultze'a wywołało istną burzę na giełdzie w San Francisco.

Rynek giełdowy tak ociężały zrana, jak utrzymywali znawcy, inaczej zupełnie wyglądał o drugiej po południu! Jakie podskoki! Jakie podwyżki, jaki szalony wybuch spekulacji!

Podwyżka na stal, której cena rośnie co chwilę! Podwyżka na wapień kamienny! Podwyżka na akcje wszystkich odlewni Związku Amerykańskiego! Podwyżka na wszystkie wyroby przemysłu żelaznego! Podwyżka na grunta Frankopolis. Od czasu ogłoszenia wojny, akcje Frankopolis spadły do zera, znikły nawet z cenników papierów publicznych, a teraz nagle podskoczyły w górę; wydano sto osiemdziesiąt dolarów za morgę.

Tego wieczora do kantorów redakcyjnych przypuszczano szturm. Ale naprzeciwko Herald, Tribune, Alta, Guardian, Echo i Globe olbrzymiami literami wypisywały to, o czym się mogły dowiedzieć; wiadomości ich redukowały się prawie do zera.

Wiedziano tylko, że 25-go września, weksel na osiem milionów dolarów, akceptowany przez Herr Schultze'a i wystawiony przez Jacksona Eldera et Comp. Buffalo, został okazany Straussowi Sehringowi et Co., bankierom Stalowego Kręła w Nowym Jorku, i że panowie ci, obliczywszy, że otwarty u nich kredyt klienta nie wystarczy na zapłacenie tej ogromnej sumy, zdepeszowali natychmiast do niego, ale nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Przejrzawszy księgi, przekonali się ze zdziwieniem, iż od trzynastu dni nie otrzymali ze Stahlstadt'u ani żadnego listu, ani papierów wartościowych; że od dnia tego, weksle i czeki, wystawione przez Herr Schultze'a na ich kasę nagromadzały się codziennie i ulegały jednemu losowi, wracając tam, skąd przyszły, ze słowami: no effects (brak pokrycia).

Przez cztery dni wydano wyjaśnienie, niespokojne depesze, gniewne pytania sypały się od domu bankowego do Stahlstadt'u.

Wreszcie nadeszła stanowcza odpowiedź: Herr Schultze znikł 17 września – powiadamiając telegram. – Nikt nie może dać żadnych wyjaśnień. Nie pozostawił rozkazów i kasy oddziałowe są puste.

Niepodobna już było ukrywać prawdy. Główni wierzyciele ulękli się i złożyli swoje obowiązki w sądzie handlowym. W kilka godzin potem bankructwo rozeszło się z szybkością piorunu, pociągając za sobą orszak drugorzędnych upadków. W południe, 13 października, ogłoszonych wynosił czterdzieści siedem milionów dolarów. Ze wszystkiego jednak można było przewidywać, że podniesie się jeszcze do sumy sześćdziesięciu milionów.

Oto co wiedzano i co z małymi odmianami opowiadano we wszystkich dziennikach. Naturalnie, że każdy z nich, obiecywał na dzień następny wiadomości zupełnie wiecie i jak najszczegółowsze.

W istocie, wszystkie bez wyjątku, wysłały zaraz swych korespondentów do Stahlstadt'u.

Od 14 października wieczór, Stalowe Miasto zostało obłożone przez prawdziwych armijnych reporterów w z notatnikami i ołówkiem w rękę. Ale armia ta odbiła się jak fala o zewnętrzny obwód Stahlstadt-u. Trzymano się jeszcze dawnych rozkazów i nadaremnie reporterzy różnymi środkami usiłowali przełamać opór strażników; nie wpuszczono ich poza mury.

Przekonali się tylko, że robotnicy nie wiedzieli o niczym, i że nic się nie zmieniło w rutynie rzadziej ich oddziałami. W wilg tego dnia nadzorcy zapowiedzieli z wyższego rozkazu, że nie będzie pieniędzy w kasach oddziałowych i że z centralnej dzielnicy nie nadeszły żadnych rozkazów, więc w następną sobotę, jeżeli nie zajdzie żadna zmiana, roboty zostaną zawieszane.

Wszystko to nie tylko nie wyjaśniło kwestii, a więcej jeszcze ją gmatwało. że Herr Schultze znikł prawie od miesiąca – o tym nikt nie wie. Ale jaka była przyczyna i doniosłość tego zniknięcia, nikt nie wie. Nieokreślona myśl, że tajemnicza osobistość ukaże się lada chwila, gęrowała nad niepokojem.

W pierwszych dniach roboty szły w fabryce, jak zwykle. Każdy robotnik spełniał zadanie w ograniczonym zakresie swojego oddziału. Kasy wypłacały wszystkim należność co sobotę. Ale centralizacja była w Stahlstadtzie posunięta do stopnia doskonałości. Schultze zachował dla siebie tak całkowity kierunek nad wszystkimi interesami, że nieobecność jego musiała pociągnąć za sobą w bardzo krótkim czasie przymusowe zatrzymanie się maszyneryj. I tak, od 17 września, w którym Stalowy Król po raz ostatni podpisał swe rozkazy a do 13 października, kiedy wiadomości o zawieszeniu wypłat wybuchła, jak uderzenie piorunu, tysiące listów (wiele z nich musiało zawierać znaczne sumy), przesłanych pocztą Stahlstadt-u zostało wrzuconych do puszek Dzielnicy Centralnej i stało się bez żadnej wątpliwości dostawione do gabinetu Herr Schultze'a. Ale on tylko miał prawo otwierać, znaczący czerwonym ołówkiem i zawartość ich przesyłał górnemu kasjerowi.

Najwyższymi urzędnikami fabryki nie przyszło nawet do głowy wystąpić poza zakres zwykłych swych praw. Nad podwładnymi swymi mieli władzę prawie absolutną, wobec zaś Herr Schultze'a, a nawet wobec wspomnienia jego, pełnili rolę narzeczonych, nie mających ani władzy, ani powagi, ani żadnego głosu. Każdy z nich obwarował się ciasną odpowiedzialnością swego mandatu, wyczekiwał, wyglądał wypadków.

Wreszcie wypadki nadeszły. Dziwne pojęcie przeciwstawiło się a do chwili, kiedy domy, głównie zainteresowane, zdjęte nagłym strachem, zaczęły telegrafować, domagać się odpowiedzi, upominać się, protestować, wreszcie chwyciły się prawnych środków. Trzeba było sporo czasu, zanim doszło do tego. Nie łatwo było przypuścić, że taka finansowa potęga miała nogi z gliny. Ale teraz rzecz stała się jasna: Herr Schultze uciekł przed wierzycielami.

Oto wszystko, co reporterzy potrafili wydobyć. Nawet znakomity Meiklejohn, który wsławił się tym, że potrafił wyciągnąć polityczne zeznania od prezydenta Granta, czowieka najbardziej milczącego w tej epoce, niestrudzony Blunderbuss, który, będąc prostym korespondentem World'a pierwszy oznajmił Cesarzowi wielką nowinę o kapitulacji Plewny; tym wielkim ludziom reporterki nie powiodło się lepiej, niż innym. Musieli wyznać przed samymi sobą, że Tribune i World nie będą mogły wyjaśnić tajemnicę bankructwa Schultze'a.

Ponury ten wypadek był jedyny w swoim rodzaju, a to z powodu dziwnego pojęcia

Stahlstadt?u; niezale?ny i odr?bny stan tego miasta nie pozwala? na prawid?owe i prawne ?ledztwo. Podpis Herr Schultze?a zosta? wprowadzie zaprotestowany w Nowym Jorku i wierzyciele s?uszenie przypuszczali, ?e warto?? fabryki mo?e w pewnej mierze sp?aci? ich nale?no??. Ale do jakiego trybuna?u uda? si? i za??da?, by zaj?? fabryk? lub na?o?y? na ni? sekwestr? Stahlstadt zajmowa?o wy??czne stanowisko, wszystko w niem nale?a?o do Herr Schultze?a. Gdyby postawi? jakiego przedstawiciela, rad? administracyjn?, zast?pc?#! Ale nic, ani s?du, ani nawet rady s?dowej! On sam by? kr?lem, najwy?szym s?dzi?, g??wnodowodz?cym, notariuszem, patronem s?dem handlowym swego miasta. W osobie swojej urzeczywistni? idea? centralizacji. To te? jego nieobecno?? wytworzy?a zupe?n? pr??ni? i ca?y ten straszny gmach run??, jak domek z kart.

W innym wypadku wierzyciele mogliby utworzy? syndykat, zast?pi? miejsce Herr Schultze?a, uj?? w r?ce jego fundusze, obj?? kierunek interes?w. Wed?ug wszelkiego prawdopodobie?stwa, doszliby do przekonania, ?e dla wprawienia maszyny w ruch trzeba?o mo?e troch? pieni?dzy i si?y kieruj?cej.

Ale tutaj nie mog?o nast?pi? nic podobnego. Do przeprowadzenia zast?pstwa brak by?o podstawy prawnej. Zapora moralna by?a jeszcze trudniejsz? do przebycia, ni? okopy wzniesione dooko?a Stalowego Miasta. Nieszcz??liwi wierzyciele patrzeli w?asnemi oczami na ruin? swoich wierzitelno?ci i nie mogli jej zapobiec.

Tyle tylko zrobili, ze zeszli si? na og?lne zebranie, naradzili mi?dzy sob? i wnie?li pro?b? do kongresu, by wzi?? w swe r?ce ich interesy, by zaj?? si? spraw? swych obywateli, wyda? rozkaz przy??czenia Stahlstadt?u do ziemi ameryka?skiej i w ten spos?b podporz?dkowa? ten monstrualny tw?r pod og?lne prawo cywilizacji. Kilku cz?onk?w kongresu by?o osobi?cie zainteresowanych w tej sprawie; z wielu wzgl?d?w pro?ba przemawia?a do charakteru ameryka?skiego i nale?a?o przypuszcza?, ?e b?dzie mia?a zupe?ne powodzenie. Na nieszcz??cie, kongres nie obradowa? w?czas i obawiano si?, ?e zajdzie niejedna przeszkoda, zanim pro?ba zostanie mu przedstawion?.

Tymczasem w Stahlstadt?cie wszystko zatrzyma?o si? w miejscu i piece gas?y jeden po drugim.

Wielki pop?och zrodzi? si? w?r?d ludno?ci, z?o?onej z dziesi?ciu tysi?cy rodzin, kt?re ?y?y z fabryki. Ale co robi?? Pracowa? dalej na rzecz zap?aty, kt?ra mo?e i za p?? roku nie nast?pi, a mo?e nigdy nie nadejdzie? Nikt nie by? tego zdania. A zreszt?, jak pracowa?? ?r?d?o obstalunk?w wysch?o wraz z innymi ?r?d?ami. Wszyscy klienci Herr Schultze?a czekali prawnego rozwi?zani sprawy, zanim odnowi? dawne stosunki z fabryk?. Naczelnicy oddzia??w, in?ynierowie i nadzorcy nie mogli dzia?a?, nie maj?c rozkaz?w.

By?y zebrania, meetingi, mowy, projekty, ale planu nie zrobiono ?adnego, bo niepodobna go by?o zrobi?. Przerwa w pracy wiod?a za sob? orszak n?dzy, rozpaczy i wyst?pk?w. Pracownie wypr??nia?y si?, ober?e nape?nia?y. Na ka?dy komin, z kt?rego dym si? snu? przestawa?, przybywa? nowy szynk w okolicznych wioskach.

Najrozs?dniejsi z robotnik?w, najprzezorniejsi, ci, kt?rzy umieli przewidzie? ci??kie czasy i zaoszcz?dzili troch? grosza, po?piesznie umkn?li z manatkami, z narz?dziami, z po?ciel?, drog? sercu ka?dej gospodyni, i z pucu?owatemi dzie?mi, kt?rych uszcz??liwi? widok ?wiata, kt?ry ukazywa? im si? z poza okien wagonu. Ci odjechali, rozlecieli si? na cztery strony ?wiata i odnale?li wkr?tce, jeden na wschodzie, drugi na po?udniu, ten na p??nocy, inn? fabryk?, inne kowad?o, inne ognisko?

Ale na jednego, na dziesiąciu, którzy mogli urzeczywistnić to marzenie, ilu było takich, których nędza przykuwała do miejsca! Ci pozostali, z zapadłym okiem i rozdartym sercem!

Pozostali, sprzedając nędzne swe rupiecie chmarze drapieżnych ptaków, które zlatują się zwykle instynktownie tam, gdzie stanie się wielkie nieszczęście, w krótkim czasie utracili kredyt tak, jak poprzednio zapożyczyli i bez pracy, bez nadziei, ujrzeni przed sobą całą przyszłość nędzy, smutnej, jak ta zima, która się zbliża!

Rozdział XVI

Dwaj Francuzi przeciw jednemu miastu.

Kiedy wiadomo?? o znikni?ciu Schultze?go dosz?a do Frankopolis, Marceli powiedzia?:

– A mo?e to podst?p wojenny?

Naturalnie, zastanowiwszy si?, musia? przyzna?, ?e skutki podobnego podst?pu by?yby niebezpieczne dla Stahlstadt?u, ?e logicznie trudno by?o zrobi? podobne przypuszczenie. Ale wiedzia? r?wnie?, ?e nienawi?? nie rozumuje i ?e mo?e uczyni? takiego cz?owieka, jak Herr Schultze zdolnym do po?wi?cenia wszystkiego dla dogodzenia swej nami?tno?ci. B?d? co b?d? nale?a?o mie? si? na ostro?no?ci.

Na jego pro?b? rada obrony wyda?a proklamacj?, wzywaj?c mieszka?c?w, by nie wierzyli fa?szywym wiadomo?ciom, kt?re rozsiewa nieprzyjaciel, chc?c u?pi? ich czujno??.

Roboty i ?wiczenia wojskowe, wykonywane z wi?kszym, ni? kiedykolwiek zapa?em, by?y odpowiedzi?, kt?r? Frankopolis s?a?o rzekomemu podst?powi Herr Schultze?a. Ale szczeg??y prawdziwe, czy fa?szywe, podawane przez dzienniki z San Francisco, Chicago i Nowego Jorku; finansowe i handlowe nast?pstwa katastrofy, zasz?ej w Stahlstadt?cie; wszystkie te nieuchwytnie ma? oznacz?ce dowody, pot??ne, gdy skupi? si? w jedn? ca?o??, nie pozostawia?y ?adnej w?tpliwo?ci.

Pewnego pi?knego poranku miasto doktora obudzi?o si? ocalone, jak ?pi?cy, kt?ry budz?c si?, uwalnia si? od koszmarnego snu. Tak! Frankopolis wysz?o obronn? r?k? z opresji, nie wydobywszy nawet or??a; doszed?szy do tej zupe?nej pewno?ci, Marceli og?osi? wreszcie t? wiadomo?? w prasie i zapomoc? obwieszcze? rozwieszonych na rogach ulic.

Wywo?a?o to og?lne uczucie rado?ci i ulgi. ?ciskano si? za r?ce, winszowano sobie, zapraszano na obiady. Kobiety ukaza?y si? w ?wie?ych strojach, m??czy?ni zaniechali chwilowo ?wicze?, manewr?w i rob?t. Wszyscy byli uspokojeni, zadowoleni, promieniejący. By?o to niby miasto ludzi, przychodz?cych do zdrowia.

Ale najbardziej zadowolony ze wszystkich by? niew?tpliwie dokt?r Sarrasin. Zaczny ten cz?owiek czu? si? odpowiedzialny za los wszystkich obywateli, kt?rzy osiedlili si? z ufno?ci? na jego gruncie i oddali si? pod jego opiek?. Od miesi?ca nie dawa?a mu spokoju obawa, ?e ich przyprowadzi? do zguby, on, kt?ry mia? na celu tylko ich szcz??cie. Teraz uwolniony od straszego niepokoju, swobodnie odetchn??.

Wsp?lne niebezpiecze?stwo ?ci?lej zjednoczy?o wszystkich obywateli. Wszystkie klasy zbli?y?y si? wi?cej do siebie, uznano si? za braci, kt?rych o?ywia?y jedne uczucia, ??czy?y jedne interesa. Wszyscy czuli, ?e serca ich zacz??y bi?, dla nowej my?li, nowego wra?enia. Dla mieszka?c?w Frankopolis powsta?a ojczyzna. Obawiano si? o ni?, cierpiano dla niej i lepiej zrozumiano t? mi? o??, kt?r? budzi?a w ich sercu.

Przygotowania do obrony okaza?y si? bardzo korzystne w swych skutkach. Poznano w?asne si?y.

W danym wypadku nie potrzebowano ju? ich tworzy?. Znalaz?a si? pewno?? siebie. Na przysz?o??, na wszelki wypadek, przygotowano si? do wszystkiego.

Dzie?o doktora Sarrasin?a zdawa?o si? mie? ?wietniejsz? ni? kiedykolwiek przysz?o?? przed sob?. I rzecz dziwna, niewdzi?czno?? nie spotka?a Marcelego. chocia? nie on by? przyczyn? ocalenia, z?o?ono mu jednak publiczne podzi?kowanie, jako organizatorowi obrony, temu, kt?rego po?wi?ceni? miasto by?oby zawdzi?cza?o sw?j ratunek, gdyby zamiary Herr Schultze?a przysz?y do skutku.

Lecz Marceli s?dzi?, ?e rola jego nie sko?czy?a si? jeszcze.

Tajemnica, otaczaj?ca Stahlstadt, mog?a jeszcze ukrywa? jakie niebezpiecze?stwo, my?la? sobie. I nie m?g?by si? uspokoi?, dop?ki nie rozja?ni?yby si? ciemno?ci, kt?re otacza?y jeszcze Stalowe Miasto.

Postanowi? zatem wr?ci? do Stahlstadt?u i nie cofn?? si? przed niczem, dop?ki nie dojdzie ostatniego s?owa zagadki.

Napr??no dokt?r Sarrasin przedstawia mu, ?e to jest rzecz trudn?, mo?e nawet bardzo niebezpieczn?: ?e wejdzie do pieka i niewiadomo, jaka przepa?? mo?e si? otworzy? pod jego stopami? Herr Schultze, tak jak on sam mu opisywa?, nie by? cz?owiekiem, mog?cym bezkarnie zgin?? przed ?wiatem i zakopa? si? pod gruzami swoich nadziei. Mo?na si? by?o obawia? wszystkiego do ostatniego tchnienia i ostatniej my?li takiego cz?owieka. My?l ta mog?a przypomina? straszny zgon rekina!

– W?a?nie dlatego, kochany doktorze, ?e to wszystko, co sobie wyobra?asz, jest mo?ebne – odpowiedzia? Marceli – uwa?am, za m?j obowi?zek, uda? si? do Stahlstadt?u. Wyrw? lont, zanim bomba p?knie, a nawet b?d? prosi? o pozwolenie zabrania ze sob? Oktawjusza.

– Oktawjusza! – zawo?a? dokt?r.

– Tak! Zrobi? si? z niego dzielny ch?opiec, na kt?rego mo?na liczy?, i zapewniam pana, ?e przechadzka ta p?jdzie mu na zdrowie!

– Niech was obu B?g ma w swojej opiece! – odpowiedzia? wzruszony starzec, ca?uj?c go.

Nazajutrz zrana, Marceli i Oktawjusz, przejechawszy opuszczone wioski, wysiedli z powozu przed bram? Stahlstadt?u. Obydwaj byli dobrze zaopatrzeni, dobrze uzbrojeni, obydwaj mieli mocne postanowienie, nie wr?ci? do domu, zanim nie wyja?ni? tajemnicy.

Szli jeden obok drugiego, drog?, kt?ra bieg?a nazewn?trz doko?a sza?c?w; prawda, kt?rej Marceli nie chcia? dot?d uwierzy?, ukazywa?a mu si? teraz w ca?ej swej grozie.

Fabryka stan??a, by?o to nadto widoczne.

Gdyby dawniej, tak jak teraz, szed? w ciemn? noc bez ?adnej gwiazdki na niebie, by?by zdaleka ujrza? ?wiat?o gazu, po?ysk bagnetu stoj?cej warty, tysi?ce oznak ?ycia, kt?rych teraz brak?o zupe?

nie. O?wiecone okna budynk?w migota?y tysi?cem ?wiate?. Teraz wszystko by?o ciemne i g?uche. ?mier? zdawa?a si? kr??y? nad miastem, kt?rego wysokie kominy stercza?y, jak szkielety na widnokr?gu. Kroki Marcelego i jego towarzysza wydawa?y odg?os, jak na pustyni. Wra?enie samotno?ci i spustoszenia by?o tak silne i dojmuj?ce, ?e Oktawjusz zawo?a?:

– Dziwna rzecz, nigdy jeszcze nie spotka?em si? z podobn? cisz?! Mo?naby pomy?le?, ?e jeste?my na cmentarzu!

By?a si?dma, kiedy Marcelli i Oktawjusz stan?li nad fos?, naprzeciw g??wnej bramy Stahlstadt?u. Ani jednej istoty nie by?o wida? na szczycie mur?w, najmniejszego ?ladu warty, kt?ra sta?a dawniej w pewnych odstpach, jak s?upy ludzkie. Zwodzony most by? podniesiony, a przed bram? widnia?a przepa?? szeroka na pi?? lub sze?? metr?w.

M?odzi ludzie strawili ca?? godzin?, zanim umocowali kawa?ek liny, zarzucaj?c j? z ca?ej si?y na jedn? z belek. Kiedy po wielu trudach uda?o si? to wreszcie Marcelemu, Oktawjusz, zawiesiwszy si? na linie, czepiaj?c si? jej r?kami, dosta? si? na dach bramy. Poczem Marcelli podawa? mu zkolei bro? i zapasy, wreszcie sam uda? si? t? sam? drog?.

Trzeba by?o nast?pnie przerzuci? lin? na drug? stron? muru i wszystkie impedimenta spu?ci? w taki spos?b, w jaki je poprzednio podniesiono do g?ry i wreszcie zsun?? si? samym na ziemi?.

M?odzi ludzie znale?li si? w ten spos?b na drodze, kt?r? Marcelli przebywa? pierwszego dnia, wchodz?c do Stahlstadt?u. Cisza i milczenie panowa?y tu teraz. Przed nimi wznosi?a si? czarna i niema masa zabudowa?, kt?rych oszklone okna zdawa?y si? patrze? na natr?t?w, jakgdyby m?wi?c:

– Wyno?cie si?!? POCO wam nasze tajemnice, poco staracie si? je przenikn???.?

Marcelli i Oktawjusz naradzili si? chwil?.

– Najlepiej uda? si? do bramy O., kt?r? znam ju?, – rzek? Marcelli.

Skierowali si? w zachodni? stron? i wkr?tce stan?li przed wielk? arkad?, na froncie kt?rej wryta by?a wielka litera O. Obie po?owy ci??kich d?bowych drzwi, z wielkimi stalowymi gwo?dziami by?y zamkni?te. Marcelli zbli?y? si? i uderzy? w nie kilka razy kamieniem, kt?ry podni?s? na drodze.

Odpowiedzia?o mu tylko echo.

– No! Do roboty! – zawo?a? do Oktawjusza.

Trzeba by?o powt?rzy? ci??k? robot? z rzucaniem liny poza bram?, szukaj?c o co da?oby si? j? uczepli?. Trudno?ci by?y przytem niema?e, lecz wreszcie Marcelli i Oktawjusz przebyli i ten mur i znale?li si? w oddziale O.

– Tak, – zauwa?y? Oktawjusz, – nie rozumiem poco to wszystko! Daleko zaszli?my! Przebywszy jeden mur, znajdziemy przed sob? drugi.

– Cicho w szeregach! – odpar? Marcelli. – Oto i moja dawna pracownia. Mi?o mi b?dzie zajrze?

do niej i wzi?? ztamt?d kilka narz?dzi, kt?rych b?dziemy zapewne potrzebowa?, nie zapominaj?c r?wnie? o dynamicie.

By?a to wielka sala odlew?w, w kt?rej m?ody alzaczek by? zatrudniony po wst?pieniu swoim do fabryki. Jak?e ponuro by?o tu teraz; wygas?e piece, zardzewia?e szyny, pokryte kurzem windy, wznosz?ce ku g?rze wielkie swe ramiona, jakgdyby szubienice! Widok ten mrozi? serca i Marceli odczu? potrzeb? jakiej? zmiany.

– Oto pracownia, kt?ra ci? wi?cej zajmie, – rzek? do Oktawjusza, prowadz?c go do szynku.

Oktawjusz spostrzeg? z zadowoleniem na drewnianej p??ce ca?y szereg czerwonych, ???tych i zielonych flaszek. Kilka puszek z konserwami po?yskiwa?o bia?? sw? blach?. By?o z czego urz?dzi? ?niadanie, kt?rego potrzeba dawa?a si? zreszt? odczu?. M?odzie?cy zasiedli zatem przy bufecie i posiliwszy si?, nabrali ?wie?ych si? do dalszej wyprawy.

Marceli, jedz?c, my?la?, co mia? dalej robi?. Niepodobna by?o marzy? o wdarciu si? na mur Centralnej Dzielnicy. Mur ten by? bardzo wysoki, odosobniony od wszystkich innych zabudowa? i tak g?adki, ?e nie by?o o co zaczepi? na nim liny. ?eby znale?? jego bram? – prawdopodobnie mia? tylko jedn? – trzeba by?o zwiedzi? wszystkie oddzia?y, a to by?o nie?atwe. Wypada?o u?ywa? dynamitu, rzeczy ryzykownej, bo zdawa?o si? niepodobie?stwem, by Herr Schultze zgin??. Nie pozostawiwszy za sob? ?adnej zasadzki, nie przygotowawszy kontrminy, przeciwko tym, kt?rzy po jego oddaleniu si?, zechc? opanowa? Stahlstadt?em. Wszystko to nie mog?o odstraszy? Marcelego.

Widz?c, ?e Oktawjusz posili? si? i odpocz??. Marceli uda? si? z nim na koniec ulicy, a? do st?p wielkiego muru z kamienia ciosowego.

– Co powiedzia?by? o zrobieniu tutaj podkopu? – zapyta?.

– Ci??ko to b?dzie, ale nie jeste?my leniuchami! – odpowiedzia? Oktawjusz, got?w do wszystkiego.

Zacz??a si? robota. Trzeba by?o odrzuci? ziemi? z pod muru, wprowadzi? dr?g w szpar? mi?dzy dwa kamienie, wyrwa? z nich jeden i wreszcie zapomoc? ?widra, wybi? kilka ma?ych r?wnoleg?ych otwor?w. O dziesi?tej wszystko ju? by?o gotowe, kiszki z dynamitem umieszczone i lont zapalony.

Marceli wiedzia?, ?e lont b?dzie pali? si? pi?? minut, a ?e zauwa?y? poprzednio, i? szynk, umieszczony w suterynach, tworzy sklepion? piwnic?, schroni? si? tam z Oktawjuszem.

Nagle budynek i piwnica zadr?a?y, jak wskutek trz?sienia ziemi. Zaraz potem nast?pi? straszny huk, jakgdyby wystrza? z trzech lub czterech dzia? odrazu. Potem, po dw?ch lub trzech sekundach grad gruz?w posypa? si? na ziemi? ze wszystkich stron.

Przez kilka nast?pnych minut s?ycha? by?o tylko przeci?g?y grzmot zapadaj?cych si? dach?w, trzask belek, huk wal?cych si? mur?w i brz?cz?c? kaskad? st?uczonych szyb.

Wreszcie straszny ten ha?as przycich?. Oktawjusz i Marceli wyszli ze swego schronienia.

Marceli chociaż oswojony z nadzwyczajnymi skutkami ciał wybuchających, zdziwił się jednak, ujrawszy teraz ich rezultat. Zburzone mury wszystkich pracowni w pobliżu Centralnego Oddziału podobne były do zbombardowanego miasta. Gruzy, odłamki szkła, szczątki gipsu zaczęły ziemię dokoła; chmury kurzu, wyrzucone w górę, opadały powoli, pokrywały jakby niegiem te ruiny.

Marceli i Oktawjusz pobiegli do wewnętrznego muru. Ten był także zniszczony na szerokość piętnastu do dwudziestu metrów; po drugiej stronie wyłomu alczaczyk ujrzał dziedziniec znany mu dobrze, dziedziniec, na którym przepędził niegdyś tyle monotonnych godzin.

Na dziedzińcu nie było również żadnej strażnicy, a zatem łatwo było przebyć kratę, która go opasywała. Młodzi ludzie znaleźli się wkrótce po drugiej stronie kraty.

Wszędzie panowała ta sama cisza.

Marceli przejrzał pracowni, w której koledzy podziwiali niegdyś jego rysunki. W jednym z jej kątów znalazł na desce rysunek maszyny parowej, której rozpoczął, kiedy z rozkazu Herr Schultze'a został przywołany do parku. W czytelnicy znalazł znajome książki i dzienniki.

Na wszystkim widniała cecha wstrzymanych prac i nagle przerwanej pracy.

Dwaj młodzieńcy doszli do wewnętrznej granicy Centralnej Dzielnicy i znaleźli się wkrótce u stóp muru, który, jak Marceli sądził, oddzielał ich od parku.

– Czy i tym kamieniom trzeba będzie kazać skakać? – zapytał Oktawjusz.

– Może być, ale chcąc wejść, moglibyśmy najprzód poszukać furtki, którą prosta raca wysadzi w powietrze.

Obydwaj zaczęli iść wzdłuż muru, otaczającego park. Od czasu do czasu musieli zbaczać, obchodzić dokoła budynki, które jak ostrogi przytykały do muru, albo przełaziły przez kraty. Nigdy jednak nie tracili z oka swego celu i wkrótce trudny im został wynagrodzony. Mała furtka, niska i ciemna, ukazała się w murze.

W dwie minuty, Oktawjusz zrobił widrem dziurę w dębowych deskach. Marceli przyłożył natychmiast oko do tego otworu i z wielkim zadowoleniem ujrzał po drugiej stronie zwrotnikowy park z wieczną zielonością i wiosenną temperaturą.

– Wysadzimy jeszcze te drzwi i dostaniemy się wreszcie do fortecy, – rzekł do swego towarzysza.

– Raca dla tych paru desek, – odparł Oktawjusz, – toby było za wiele honoru.

I zaczął drżeniem silnie podważać drzwi.

Zaledwie wstrząsnął niemi, kiedy od wewnętrznej strony zazgrzytała w zamku klucz i odsunęły się dwa rygle.

Drzwi nawp?? si? otwar?y, od wewn?trz przytrzymywa? je bowiem gruby ?a?cuch.

– ?Wer da?? (Kto tam?) – spyta? chrapliwy g?os.

Rozdzia? XVII

Rozmowa wystrza?ami.

M?odzie?cy nie spodziewali si? podobnego pytania. Wi?cej mo?e zdziwi?o ich ono, ni? wystrza? z pistoletu, gdyby go byli us?yszeli.

Ze wszystkich przypuszcze?, jakie Marceli robi? co do tego miasta, pogr??onego w letargu, jedno tylko nie przysz?o mu do g?owy, by ?yj?ca istota spyta?a go, poco tu przyszed?? Jego wdarcie si? do fortecy Schultze?a, godziwe prawie, gdyby przypu?ci?, ?e Stahlstadt by? zupe?nie pusty, wygl?da?o zgo?a inaczej, je?eli miasto posiada?o jeszcze mieszka?c?w. To, co w pierwszym wypadku wygl?da?o, jak archeologiczna ciekawo?? nieledwie, w drugim stawa?o si? zbrojn? napa?ci? i gwa?tem.

Wszystkie te my?li nasun??y si? Marcelemu z tak? si??, ?e narazie nie m?g? przem?wi? ani s?owa.

– ?Wer da?? – powt?rzy? ?w g?os z pewn? ju? niecierpliwoci?.

Niecierpliw?? by?a dosy? naturaln?. Przewyci??y? tyle rozmaitych przeszk?d, stoj?cych na drodze do tych drzwi, wdziera? si? na mury, wysadza? w powietrze budynki i po tem wszystkiem nie m?c odpowiedzie? na proste pytanie: kto tam? By?o to w istocie dosy? dziwne.

Marceli poj?? natychmiast, w jak fa?szywem znajduje si? po?o?eniu i odpowiedzia? po niemiecku:

– Przyjaciel czy nieprzyjaciel, jak chcesz. Chc? m?wi? z Herr Schultze?m.

Zaledwie wyrzek? te s?owa, us?ysza? przez uchylone drzwi wypowiedziane ze zdziwieniem:

– Ach!?

Tu Marceli ujrza? przez otw?r kawa?ek czerwonych faworyt?w, naje?ony w?s, og?upia?e oko i pozna? je natychmiast. Wszystko to nale?a?o do Sigimera, dawnego jego stra?nika.

– Johann Schwartz! – zawo?a? olbrzym ze zdumieniem, po??czonem z rado?ci?. – Johann Schwartz!

Niespodziewany powr?t wi??nia zdawa? si? go na tyle dziwi?, na ile dziwi?o go zapewne tajemnicze jego znikni?cie.

– Czy mog? pom?wi? z Herr Schultze?m? – powt?rzy? Marceli, nie mog?c si? doczeka? innej, ni?

ten wykrzyknik, odpowiedzi.

Sigimer potrzebował go.

– Niema rozkazu! – rzekł. – Nie wolno tu wejść bez rozkazu!

– Czy możesz przynajmniej zawiadomić Herr Schultze’a, że jestem tutaj i chcę z nim pomówić?

– Herr Schultze’a tutaj niema! Herr Schultze odjechał! – odrzekł olbrzym z odcieniem smutku.

– Ale gdzie jest? Kiedy wróci?

– Nie wiem. Rozkazu nie zmienię! Nikogo nie wpuszczę bez rozkazu!

Marceli nic więcej nie mógł wydobyć z Sigimera, który na wszystkie jego pytania odpowiadał temi przerywanymi słowami ze zwierzęcym uporem. Oktawjusz zniecierpliwiał się wreszcie.

– POCO PROSIŁ O POZWOLENIE WEJŚCIA? – rzekł. – DALEKO PROŚCIEJ WZIĘĆ JE GWĄTEM!

I pchnął drzwi, próbując je wysadzić. Ale ściana stawiła opór; z większą siłą niż Oktawjusza, przycisnęła drzwi z drugiej strony i zamknęła je, zasuwając rygle.

– Musi ich być kilku za tą deską! – zawołał Oktawjusz, upokorzony trochę tym rezultatem.

Przyłożył oko do dziury, zrobionej widrem i wydał okrzyk zdziwienia:

– Jest tam drugi olbrzym!

– Arminius, – odpowiedział Marceli.

I z kolei popatrzał przez otwór

– Tak! To Arminius, kolega Sigimera!

Nagle głos, który zdawał się spadać z nieba, odezwał się ponad głosem Marcelego.

– Wer da??

Był to Arminius.

Głowa olbrzyma wystawała ponad murem, na który dostał się zapewne za pomocą drabiny.

– No! Arminius, widzisz przecie kto, – odpowiedział Marceli. – Otworzysz, czy nie?

Nie dokończył tych słów, kiedy lufa fuzji pokazała się na szczycie muru i kula gwizdnęła koło kapelusza Oktawjusza.

– Kiedy tak, to masz odpowiedź na to! – zawołał Marceli, i podłożywszy kiskę dynamitów?

pod drzwiami, rozsadzi? je z trzaskiem.

Marceli i Oktawjusz z karabinem r?ku i no?em w z?bach rzucili si? przez zrobiony wy?om do parku.

Ko?o ?ciany muru, porysowanego wybuchem, sta?a jeszcze drabina, a u st?p jej wida? by?o ?lady krwi. Ale nikt nie broni? ju? przej?cia; olbrzym?w nie by?o.

Przed dwoma napastnikami rozwija?a si? wspania?a ro?linno?? ogrod?w. Oktawjusz by? zachwycony.

– Przepyszne! – m?wi?. – Ale baczno??! Rozsypmy si? w tyraljery! Ci zjadacze kapusty mogli si? pochowa? za krzakami!

Oktawjusz i Marceli rozdzielili si? i id?c ka?dy osobno bokiem drogi, kt?ra otwiera?a si? przed nimi, posuwali si? z ostro?no?ci?, od drzewa do drzewa, od przeszkody do przeszkody, pod?ug zasad najpierwotniejszej strategii osobistej.

Ostro?no?? ta bardzo si? przyda?a. Nie uszli nawet stu krok?w, kiedy rozleg? si? drugi wystrza?. Kula zerwa?a kor? z drzewa, kt?re Marceli zaledwie opu?ci?.

– Bez g?upstw! Na ziemi?! – rzek? Oktawjusz p??g?osem.

I ??cz?c przyk?ad z rozkazem, na kolanach i ?okciach podpe?z? do ciernistego krzaku, rosn?cego ko?o placu, na ?rodku kt?rego wznosi?a si? Wie?a Byka. Trzeci wystrza? skierowany by? przeciw Marcelemu, kt?ry nie dosy? pr?dko poszed? za rad? przyjaciela i zaledwie mia? czas ukry? si? za pnem palmy, kiedy pad? strza? czwarty.

– Szcz??cie, ?e bydl?ta strzelaj?, jak rekruci! – zawo?a? Oktawjusz do towarzysza, od kt?rego dzieli?o go ze trzydzie?ci krok?w.

– Cyt! – odpowiedzia? Marceli. – Czy widzisz dym, kt?ry wychodzi z tego okna, na dole?? Tam si? zaczaili zb?je! Ale ja z nimi zagram po mojemu!

W mgnieniu oka Marceli urzn?? u krzaka tyczk? stosownej d?ugo?ci; potem zdj?wszy sw?j kaftan, zarzuci? go na kij, na wierzcho?ek kija wsadzi? kapelusz i tak sporz?dziwszy niez?ego manekina, ustawi? go na swoim miejscu, by kapelusz i r?kawy by?y widoczne i przypel?szy do Oktawjusza, szepn?? mu na ucho:

– Zabaw ich tutaj, strzelaj?c do okna, raz z twego miejsca, drugi raz z mego! Ja zajd? ich z ty?u!

I pozostawiwszy Oktawjusza strzelaj?cego, ostro?nie w?lizz?? si? w g?szz drzew, okalaj?cych plac.

Min?? kwadrans, w ci?gu kt?rego przes?ano sobie ze dwadzie?cia strza??w bez ?adnego rezultatu.

Kaftan Marcelego był literalnie podziurawiony kulami; ale osoba jego nic na tem nie ucierpiała. Karabin Oktawjusza potrzaskał na drobne kawałki żaluzje dolnego piętra.

Naraz ogień ustał i Oktawjusz usłyszał wyraźnie przytłumiony krzyk:

– Do mnie! Trzymam go!

W jednej chwili Oktawjusz wyskoczył ze swego schronienia, przeleciał plac, rzucił się do okna gmachu i wpadł do salonu.

Na dywanie Marceli i Sigimer, trzymając się w objęciach, jak dwa wściekłe, walczyli z sobą na śmierć i życie. Zaskoczony przez nieprzyjaciela, który niespodzianie otworzył drzwi, olbrzym nie mógł użyć swej broni. Ale herkulesowa jego siła czyniła ze straszego przeciwnika, który chociaż obalony na ziemi, nie tracił jednak nadziei zwycięstwa. Marceli, ze swej strony, okazywał się igiłko?? niezwykły?.

Walka musiałaaby się skończyła śmiercią jednego z walczących, gdyby przybycie Oktawjusza nie spowodowało mniej tragicznych następstw. Sigimer, pochwycony za rękę i rozbrojony, został związany tak, że nie mógł się ruszyć.

– A drugi? – zapytał Oktawjusz.

Marceli wskazał na sofę w kącie pokoju, gdzie Arminius leżał cały zakrwawiony.

– Czy kula trafiła go? – spytał Oktawjusz.

– Tak, – odrzekł Marceli.

I zbliżył się do Arminiusa.

– Nie żyje! – rzekł.

– Na honor, dostał o siebie żądło to tylko, na co zasłużył! – zawołał Oktawjusz.

– Jesteśmy panami twierdzy! – odrzekł Marceli. – Przystąpimy teraz do starannej rewizji. Najprzód gabinet Herr Schultze!

Modzi ludzie wyszli z salonu, w którym odbywała się ostatnia scena oblężenia, i udali się szeregiem pokojów, prowadzących do przybytku Stalowego Króla. Oktawjusz zachwycał się przepychem, który widział dokoła.

Marceli uśmiechał się, patrząc na niego i otwierał drzwi jedne po drugich, a do salonu zielonozłotego.

Spodziewał się wprawdzie, że znajdzie w nim coś nowego, ale nie wyobrażał sobie nic podobnego do tego, co miał w tej chwili przed swoimi oczami. Możliwe, że centralne biuro poczt w Nowym Jorku albo w Paryżu zostało nagle rozbite i bezładnie przeniesione do tego

salonu. Listy i pakiety odpiecz?owane le?a?y wsz?dzie; na biurze, na meblach, na dywanie. Nogi grz?z?y w tej zaspie. Ca?a korespondencja finansowa, przemys?owa i osobista Herr Schultze?a, codziennie wyjmowana z zewn?trznej puszki i znoszona przez Arminiusa i Sigimera, znajdowa?a si? w gabinecie.

Ile zapyta?, ile cierpie?, niespokojnego wyczekiwania, trosk, ?ez, zamyka?o si? w tych niemych kopertach pod adresem Herr Schultze?a. Ile tam by?o milion?w, w papierach, czekach, mandatach, skryptach r??nego rodzaju!

Wszystko to spa?o unieruchomione nieobecno?ci? jedynej r?ki, kt?ra mia?a prawo rozedrze? koperty tak w?t?e, a jednak nienaruszalne.

– Teraz, – rzek? Marcelli, – trzeba odnale?? skryte drzwi laboratorjum!

I zacz?? wyjmowa? wszystkie ksi??ki z biblioteki. Napr??no. Nie m?g? znale?? ukrytego przej?cia, kt?rem szed? kiedy? w towarzystwie Herr Schultze?a. Nadaremnie wstrz?sa? wszystkie ?cianki szafy po kolei, wreszcie wzi?wszy pr?t z komina, powysadza? je jedn? po drugiej! Napr??no puka? w mur, szukaj?c poza nim pr??ni! Widocznie Herr Schultze, zaniepokojony tem, ?e nie on sam tylko posiada? tajemnic? ukrytych drzwi laboratorjum, zni?s? je zupe?nie.

Ale naturalnie, musia? zrobi? inne na ich miejsce.

– Gdzie?? – pyta? sam siebie Marcelli. – Nie gdzieindziej, jak tutaj, bo Arminius i Sigimer tu znosili listy! W tej zatem sali Herr Schultze po moim wyje?dzie przesiadywa?, jak dawniej! Znam dobrze jego zwyczaje i wiem, ?e kazawszy zamurowa? jedno przej?cie, chcia? mie? pod r?k? inne, nieznanne ciekawym! Mo?e spust znajduje si? pod dywanem??

Dywan by? r?wno i g?adko obci?gni?ty. Nie zwa?aj?c na to, powyjmowano gwo?dzie i podniesiono go. Na posadzce, pomimo naj?ci?lejszego badania, nie znaleziono nic podejrzanego.

– Kt?? ci m?wi, ?e drzwi znajduj? si? w tym pokoju? – spyta? Oktawjusz.

– Jestem o tem moralnie przekonany, – rzek? Marcelli, stoj?c na krze?le.

Mia? zamiar dosta? si? do paj?ka i stamt?d kolb? fuzji zbada? ?rodkow? rozet?.

Ale zaledwie uczepi? si? z?oconego kandelabra, kiedy ten ku jego wielkiemu zdziwieniu zacz?? si? opuszcza? na d???. W suficie ukaza? si? otw?r, przez kt?ry osun??a si? a? do samej posadzki lekka stalowa drabinka.

By?o to jakgdyby zaproszenie do wej?cia.

– Chod?my! Jeste?my u celu! – rzek? spokojnie Marcelli i wskoczy? na drabink? a za nim jego przyjaciel.

Rozdział XVIII

J?dro pestki.

Ostatni stopie? drabinki dotyka? posadzki okr?g?ej i obszernej sali, nie maj?cej ?adnego wyj?cia. Sala ta by?aby pogr??ona w najzupe?niejszej ciemno?ci, gdyby ol?niewaj?ce bia?awe ?wiat?o nie przedziera?o si? przez szyb? okr?g?ego okna, wprawionego po?rodku d?bowej posadzki. Okno to przypomina?o zupe?nie tarcz? ksi??yca, w chwili, kiedy ten ukazuje si? na niebie w ca?ym swym czystym, pogodnym majestacie.

Cisza zupe?na panowa?a mi?dzy murami g?uchymi i ?lepymi, kt?re nie mog?y ani widzie? ani s?ysze?. Dwum m?odym ludziom zdawa?o si?, ?e znajduj? si? w przysionku grobowego pomnika.

Marceli zawaha? si? chwil?, zanim si? pochyli? nad b?yszcz?c? szyb?. Dosi?gn?? celu! Nie w?tpi?, ?e stamt?d wyjdzie owa nieprzenikniona tajemnica, po kt?r? przyszed? do Stahlstadt?u!

Ale wahanie trwa?o jedn? chwil?. Oktawjusz i Marceli ukl?kli przy szybie tak, by mogli obj?? okiem wszystkie cz??ci pokoju, znajduj?cego si? pod nimi.

Widok niespodziany a straszny uderzy? ich oczy.

Szklana szyba, wypuk?a po obu stronach, w kszta?cie soczewki, ogromnie powi?ksza?a przedmioty, na kt?re patrzano z poza niej.

Tam by?o tajemne laboratorium Herr Schultze?a. Silne ?wiat?o, kt?re przedziera?o si? przez szyb?, jakgdyby przez dioptryczny przyrz?d latarni morskiej, pochodzi?o z podw?jnej lampy elektrycznej, pal?cej si? jeszcze pod dzwonem opr??nionym z powietrza; pot??ny stos Wolty nie przesta? dot?d zasila? swoim pr?dem tego p?omienia. Na ?rodku pokoju, przy ol?niewaj?cem ?wietle, wida? by?o siedz?c? jak pos?g nieruchomo ludzk? posta?, kt?r? ?amianie si? soczewki powi?ksza?o do rozmiar?w olbrzymich – by? to niby sfinks na libijskiej pustyni.

Od?amy granatu za?ciela?y pod?og? doko?a tego widma.

Nie ma w?tpliwo?ci! By? to Herr Schultze, kt?rego ?atwo by?o pozna? po ogromnej szcz?ce, po b?yszcz?cych z?bach; pot??ny Herr Schultze zabity jedn? z tych strasznych maszyn, kt?ra wybuchaj?c, zadusi?a go, a jednocze?nie zmrozi?a strasznym ch?odem.

Stalowy Kr?l siedzia? przed sto?em, trzyma? olbrzymie pi?ro, wielkie, jak lanca i zdawa? si? pisa? jeszcze! Gdyby nie os?upia?e spojrzenie rozszerzonych ?renic i nieruchome usta, mo?naby s?dzi?, ?e ?yje. Jak te mamuty, znajduwane w lodach stref p??nocnych, trup ten od miesi?ca by? tu ukryty przed wzrokiem ludzkim. Wszystko doko?a niego by?o zmarz?e; odczynniki zawarte w s?ojach, woda w odbieralnikach, rt?? w kubku!

Marceli mimo ca?ej okropno?ci widoku nie m?g? powstrzyma? si? od uczucia zadowolenia, ?e patrza? z zewn?trznej strony laboratorium, bo z pewno?ci? tak on, jak Oktawjusz zgin?liby, gdyby dostali si? do jego wn?trza.

Jakim sposobem nastąpi ten straszny wypadek? Marceli domyślił się tego łatwo, kiedy przypatrzywszy się szczątkom granatu, rozrzuconym po podłodze, przekonał się, że były to kawałeczki szkła. Otóż, owe zabójcze pociski Herr Schultze'a nadawane porywnym dwutlenkiem węgla, miały z powodu strasznego ciśnienia, jakie na nie gaz wywiera, wewnątrz powłokę z owego szkła hartownego, które jest o dziesięć lub dwanaście razy mocniejsze od zwykłego szkła; wyrób ten, nowy jeszcze wówczas, ma jedną wadę; wskutek tajemniczego działania drobinkowego, pękła nagle, czasami bez widocznej przyczyny. I to właśnie musiało tutaj nastąpić. Może nawet wewnętrzne ciśnienie samo wywołało pęknięcie granatu, któreby przyniesiony do laboratorium. Dwutlenek węgla nagle uwolniony z więzów ciskających go, zamienił się w stan lotny i tem samem wywołał straszne obniżenie otaczającej temperatury.

Był to co był skutkiem musiał być piorunujący. Herr Schultze, zaskoczony śmiercią w takiej postawie, w jakiej znajdował się w chwili wybuchu, działaniem mrozu, mającego sto stopni poniżej zera, zeszywniał natychmiast.

Jedną okolicznością zwrócił uwagę Marcelego: stalowy król ugodzony został w chwili, kiedy pisał.

Co on pisał na tym papierze, tem piórem, które trzymał jeszcze w ręku? Ciekawe byłoby poznać ostatni myślenie, ostatnie słowa, takiego człowieka.

Ale jakim sposobem dostał ten papier? Niepodobna byłoby myśleć o stłuczeniu tej wiekowej tarczy i o zejściu do laboratorium. Dwutlenek węgla, nagromadzony pod strasznym ciśnieniem, wydostałby się na zewnątrz i udusiłby wszelką istotę żywą, którą owionąłby śmiertelny jego wyziew. Byłoby to naraził się na śmierć niechybną; niebezpieczeństwo nie odpowiadało korzyściom, jakie dąby się osiągnąć z tego papieru.

Jednakże, chociaż niepodobna byłoby odebrać trupowi Herr Schultze'a tych ostatnich wierszy, jakie skreślił jego ręką, można je jednak było przeczytać przy powiększeniu, jakie spowodowało zżucie soczewki. Potężne promienie jej skupiały się na wszystkich przedmiotach, zawartych w laboratorium, które silnie oświetlała podwójna lampa elektryczna.

Marceli znał pismo Herr Schultze'a i po chwilowym wysiłku udało mu się przeczytać następujące dziesięć wierszy.

Jak wszystko, co pisał Herr Schultze, było to raczej rozkaz, niż instrukcja:

Rozkaz do B. K. R. Z. przyspieszyć o dwa tygodnie wyprawę przygotowaną na Frankopolis. Natychmiast po otrzymaniu rozkazu, poczyni wskazane przezemnie kroki. Trzeba, żeby tym razem dowiadczanie było zupełne i piorunujące. Nie zmieni ani na jot tego, co postanowiłem. Chcę, żeby za dwa tygodnie Frankopolis było martwym miastem, i żeby żaden z jego mieszkańców nie pozostał przy życiu. Trzeba mi nowoczesnej Pompei. Niech to będzie zarazem postrachem dla całego świata. Nastąpi to niechybnie, jeżeli rozkazy moje będą dokładnie spełnione.

Przyślesz mi trupy doktora Sarrasin'a i Marcelego Bruckmann'a. Chcę je widzieć i mieć.

Schultz??

Podpis by? niedoko?czony i brakowa?o mu zwyk?ego cyfrowego znaku.

Marceli i Oktawjusz niemi i nieruchomi stali wobec tego dziwnego widoku, jakgdyby wywo?anego si?? z?o?liwego genjuszu; rzeczywisto??, kt?r? mieli przed sob?, zdawa?a si? nale?e? do ?wiata fantazji.

Trzeba by?o wreszcie porzuci? t? ponur? scen?. Dwaj przyjaciele bardzo wzruszeni, opu?cili sal?, po?o?on? nad laboratorjum.

Tam, w tym grobie, gdzie zapanuje najzupe?niejsza ciemno??, gdy tylko zga?nie lampa dla braku pr?du elektrycznego, trup Stalowego Kr?la pozostanie sam, wysuszony, jak jedna z tych mumij Faraon?w, kt?re po dwudziestu wiekach nie rozsypa?y si? jeszcze w proch!

W godzin? potem Marceli i Oktawjusz, rozwi?zawszy Sigimera, kt?ry nie wiedzia?, co pocz?? z odzyskan? wolno?ci?, opu?cili Stahlstadt i udali si? z powrotem do Frankopolis, gdzie stan?li tego wieczora.

Dokt?r Sarrasin pracowa? w swoim gabinecie, kiedy dano mu zna? o powrocie m?odych ludzi.

– Niech wejd?, – zawo?a?, – niech wejd?!

Pierwsze jego s?owo, wyrzeczone do nich, brzmia?o:

– No i c???

– Doktorze, – odpowiedzia? Marceli, – wiadomo?ci, jakie przynosimy ze Stahlstadt?u uspokoj? ci? zupe?nie, uspokoj? na d?ugo. Niema ju? Herr Schultze?a! Herr Schultze nie ?yje!

– Nie ?yje! – zawo?a? dokt?r Sarrasin.

Poczciwy dokt?r zamy?li? si? na chwil? i milcz?c, sta? przed Marcelim.

– Moje kochane dziecko –rzek?, uspokoivszy si?, – czy uwierzysz temu, ?e ta wiadomo??, kt?ra powinna mnie ucieszy?, bo oddala od nas wojn?, i to wojn? najniesprawiedliwsz?, wojn? bez ?adnego powodu! Czy uwierzysz, ?e wiadomo?? ta ?cisn??a mi serce! Dlaczego ten cz?owiek, o tak pot??nych zdolno?ciach, sta? si? naszym nieprzyjacielem? Dlaczego rzadkich umys?owych przymiot? w nie po?wi?ci? na us?ugi cnoty? Ile straconych si?, kt?re sta?yby si? u?ytecznemi, gdyby mo?na je by?o po??czy? z naszymi si?ami i da? im wsp?lny cel! Oto co mi przysz?o na my?l, kiedy? mi powiedzia? ?Herr Schultze nie ?yje!? Ale teraz, przyjacielu, opowiedz mi, co wiesz o tym niespodzianym zgonie.

– Herr Schultze – odpowiedzia? Marceli – znalaz? ?mier? w tajemniczym swem laboratorjum, do kt?rego przyst?p by? za ?ycia jego niemo?liwy. Nikt opr?cz niego jednego nie wiedzia? o istnieniu tego laboratorjum, a zatem nikt nie m?g?by dosta? si? do?, nawet gdyby chodzi?o o udzielenie mu pomocy. Pad? zatem ofiar? tego nies?ychanego scentralizowania wszystkich si?, kt?re uj?? w d?onie,

na kt?re nierozwa?nie rachowa?, chc?c by? jedyn? spr??yn? ca?ego swego dzie?a. W chwili wyznaczonej przez Boga, centralizacja obr?ci?a si? przeciw niemu samemu i przeciw jego dzie?u!

– Nie mog?o by? inaczej! – odpowiedzia? dokt?r Sarrasin. – Herr Schultze opiera? si? na ca?kiem b??dnej zasadzie. W istocie, czy? nie najlepszym rz?dem jest ten, kt?rego naczelnika, w razie ?mierci, mo?na naj?atwiej zast?pi? innym i kt?ry nie zawiesza swoich czynno?ci w?a?nie dlatego, ?e w maszynerji jego niema nic tajemniczego.

– Zobaczysz zaraz, doktorze – odpowiedzia? Marceli, – ?e to, co si? sta?o w Stahlstadt?cie dowodzi ipse facto tego, co? teraz powiedzia?.

– Zasta?em Herr Schultze?a siedz?cego przed biurkiem, owym centralnym punktem, z kt?rego wychodzi?y wszystkie rozkazy. Miasto Stalowe spe?nia?o je, nie wa??c si? roztrz?sa? ?adnego z nich. ?mier? pozostawi?a mu postaw? i wszystkie pozory ?ycia do takiego stopnia, ?e na chwil? zdawa?o mi si?, i? widmo to przem?wi do mnie. Ale sta? si? m?czennikiem swego wynalazku. Jeden z tych granat?w, kt?ry mia? zniszczy? nasze miasto, zabi? jego samego! Bro? jego p?k?a mu w r?ku, w chwili, kiedy kre?li? ostatni list, daj?cy rozkaz zag?ady! Pos?uchaj!

Tu Marceli przeczyta? nag?os przepisane dos?ownie owe straszne s?owa, skre?lone r?k? Herr Schultze?a.

Potem doda?:

– Gdybym nawet chcia? w?tpi? w ?mier? Herr Schultze?a, toby mi najlepiej dowiod?a tego okoliczno??, ?e wszystko ko?o niego przesta?o ?y?. Wszystko przesta?o ?y? w Stahlstadt?cie! Jak w pa?acu zaczarowanej ksi??niczki sen sklei? wszystkie powieki, zawiesi? ?ycie i ruch! Parali? pana za jednym ciosem sparali?owa? s?ugi i rozci?gn?? si? a? do narz?dzi!

– Tak, – rzek? dokt?r Sarrasin, – wida? w tem sprawiedliwo?? Bo??! Chc?c si? rzuci? na nas bez ?adnego mi?osierdzia, nadto nacisn?? spr??yn? i sam pad?!

– Tak jest, doktorze; ale teraz nie my?lmy ju? o przesz?o?ci, a zajmijmy si? tera?niejszo?ci?. Herr Schultze umar?; dla nas to pok?j, ale jednocze?nie ruina dla tego wspania?ego zak?adu, kt?ry utworzy?, tymczasowo za? jest to bankructwo. Nieprzezorno??, jak wszystko, co robi? Stalowy kr?l, zgotowa?a dziesi?? przepa?ci pod jego krokami. Za?lepiony z jednej strony powodzeniem, z drugiej nienawi?ci? sw? przeciw Frankopolis i tobie, doktorze, nie ubezpieczywszy si? dostatecznie, przyjmowa? olbrzymie zam?wienia od wszystkich tych kt?rzy byli nam nieprzyja?ni. Mimo to i chocia?by wyp?ata wi?kszej cz??ci wierzytelno?ci nie pr?dko nast?pi?a, s?dz?, ?e silna d?o? mo?e postawi? Stahlstadt na nogi i obr?ci? ku dobremu si?y, kt?re nagromadzono w niem na z?e. Herr Schultze mo?e mie? tylko jednego spadkobierc? a tym spadkobierc? jeste? ty. Nie powiniene? da? zgin?? jego dzie?u. W ?wicie zanadto rozpowszechni?a si? wiara ?e ze zniweczenia wsp?? zawodnicz?cej si?y odnosi si? bezwarunkow? korzy??. Jest to wielki b??d i zgodzisz si? ze mn?, jak s?dz?, ?e z wielkiej ruiny trzeba uratowa? wszystko, co mo?e pos?u?y? dla dobra ludzko?ci.

– Marceli ma s?uszn?? – odpowiedzia? Oktawjusz, ?ciskaj?c r?k? przyjaciela, – got?w jestem s?u?y? pod jego rozkazami, je?eli ojciec pozwoli na to.

– Macie s?uszo??, moje dzieci, – odrzek? dokt?r Sarrasin. – Tak, Marceli, nie zabraknie nam kapita??w i dzi?ki tobie, znajdziemy w odrodzonym Stahlstadt?cie taki arsena? narz?dzi, ?e nikomu odt?d nie przyjdzie na my?l zaczepia? nas! A ?e maj?c w r?ku najwi?ksz? si??, b?dziemy zarazem starali si? o najwi?ksz? sprawiedliwo??, wszystko zatem co nas otacza, musi pokocha? dobrodziejstwa pokoju i sprawiedliwo?ci. Ach! Marceli, ile pi?knych marze?! I kiedy pomy?l?, ?e przez ciebie i z tob? b?d? m?g? jak?? cz??? ich dokona?, zapytuj? ciebie, dlaczego? tak! dlaczego nie mam dw?ch syn?w!? dlaczego nie jeste? bratem Oktawjusza!? Zdaje mi si?, ?e nic nie by?oby wstanie oprze? si? nam w?wczas.

Rozdział XIX

Sprawa rodzinna.

W ciągu tego opowiadania może za mało mówiliśmy o osobistych sprawach naszych bohaterów. Wolno nam zatem teraz wspomnieć o tem i pomyśleć o nich dla nich samych.

Trzeba wiedzieć, że dobry doktor nie tak wyjątkowo należał do istoty zbiorowej, do ludzkości, żeby wszelka jednostka miała zniknąć dla niego, nawet wtenczas, kiedy unosił się w powietrze ideał. To też uderzył go nagle bladość, jak okrył się twarz Marceliego przy tych ostatnich słowach. Wzrok jego starał się odkryć w oczach młodzieńca tajemną przyczynę wzruszenia. Stary doktor milczał, czekając może aż Marceli przerwie to milczenie; ale Marceli wysiłkiem woli zapanował nad sobą i odzyskał zimną krew. Na twarz jego wrócił zwykły rumieniec, postawa zaś zdawała się wyczekiwać dalszego ciągu rozmowy.

Doktor Sarrasin, trochę zniecierpliwiony tem szybkim zapanowaniem nad sobą młodzieńca, zbliżył się do niego; potem poufałym ruchem, zwykłym w zawodzie lekarza, wziął jego rękę i zatrzymał w swojej, jakgdyby rękę chorego, którego puls chciał zbadać delikatnie lub tylko może przez roztargnienie.

Marceli, nie zdając sobie sprawy z zamiarów doktora, pozwolił się ulegle trzymać za rękę i nie rzekł ani słowa.

– Mój Marceli, – rzekł mu stary jego przyjaciel, – wróćmy ponownie do naszej rozmowy o przyszłych losach Stahlstadt-u. Ale wolno, pracując nad polepszeniem losu wszystkich ludzi, zajmij się losem wszystkich tych, których kochamy, tych, którzy obchodzą nas bliżej. Otóż, zdaje mi się, że nadeszła chwila, kiedy mógłbym z tobą o pewnej młodej dziewczynie, której imię zaraz ci wymienię, a którą po raz dwudziesty może od roku proszono o rękę. Propozycje te pochodzą po większej części od takich ludzi, że najwybredniejszy gust mógłby zadowolony być niemi, a jednak młoda dziewczyna odpowiada rodzicom swoim i zawsze nie!

W tej chwili Marceli nagłym ruchem uwolnił rękę swą z dłoni doktora.

Ten, czy to dlatego, że dostatecznie już zrozumiał stan swego pacjenta, czy nie zauważył, że młody człowiek odebrał mu i dłoń swą i zaufanie, mówi dalej, nie zdając się zwracać uwagi na ten wypadek.

– Ale, mówiąca matka młodej osoby, powiedz nam, jaka jest przyczyna tej wciąż powtarzanej się odmowy. Wychowanie, majątek, dobre stanowisko, powierzchowność, wszystko zdaje się odpowiadać potrzebnym warunkom! Dlaczego odpowiadasz zawsze: nie, i to tak stanowczo, tak szybko, nie dając sobie nawet czasu do namysłu! Zwykle nie jesteś tak stanowczy!

Dziewczyna przemówiła wreszcie, a że ma umysł jasny i charakter prawy, przełamawszy zatem milczenie, rzekła:

– Odpowiadam i tak samo szczerze, z jaką odpowiedzią abym i tak, gdyby serce moje

wyrzek?o to s?owo. Zgadzam si? z tob?, matko, ?e z partyj tych niejedna mog?aby by? odpowiedni? dla mnie; ale wyobra?am sobie, i? wszystkie te starania nie do mnie w?a?ciwie si? odnosz? ale do najbogatszej w mie?cie panny na wydaniu. My?l ta niebardzo mnie zach?ca do powiedzenia ?tak?; o? miel? si? jeszcze doda?, poniewa? ??dasz tego, ?e ?adna z tych propozycji nie jest t?, kt?rej czeka? am.

– Jakto! – rzek?a matka w os?upieniu – ty?

Nie doko?czy?a swoich s??w, bo nie wiedzia?a, jak je zako?czy? i w ci??kiem zmartwieniu zwr?ci?a wzrok ku m??owi, b?agaj?c o pomoc i ratunek.

Ale ten, czy dlatego, ?e nie chcia? miesza? si? do tej sprawy, czy, ?e s?dzi?, i? lepiej b?dzie, je?li matka z c?rk? porozumiej? si? najprz?d, do??, ?e uda?, i? nie rozumie o co chodzi, i biedne dziecko zarumienione ze wstydu i zak?opotania, a mo?e nawet troch? z gniewu, nagle postanowi?o doko?czy? wyznania.

– Powiedzia?am ci, kochana mamo, – odrzek?a, – ?e pro?ba o moj? r?k?, kt?rej czekam, mo?e nie pr?dko nadejdzie, a nawet mo?e nie nadejdzie wcale. Dodam jeszcze, ?e to op??nienie, chocia?by nawet mia?o by? nieokre?lone, nie mo?e mnie ani dziwi?, ani razi?. Jestem na nieszcz??cie bardzo bogat? – ten, na kt?rego czekam jest bardzo biedny i dlatego milczy i ma s?uszno??. Jego rzecz? jest czeka??

– A czemu nie nasz? zbli?y? was oboje, – rzek?a matka, chc?c mo?e zatrzyma? na ustach c?rki wyrazy, kt?re ba?a si? us?ysze?.

Wtedy wmiesza? si? m??.

– Moja droga, – rzek?, bior?c sw? ?on? czule za r?ce, – nie napr??no matka tak pos?usznej c?rki, jak twoja, wys?awia przed ni?, niemal od urodzenia, pi?knego i dzielnego ch?opca, kt?ry nale?y prawie do naszej rodziny; nie napr??no m?wi ca?emu ?wiatu o zacno?ci jego charakteru i przyklaskuje swemu m??owi, kiedy ten zkolei wychwala przy sposobno?ci jego niezwyk?? inteligencj?, kiedy m?wi z rozrzewnieniem o tysi?cznych dowodach po?wi?cenia, jakich dozna? od niego. Gdyby widuj?c i znaj?c tego m?odzie?ca, kt?rego matka jej i ojciec wyr??niali z pomi?dzy wszystkich, ona tak?e nie wyr??ni?a go, to powiedzia?bym, ?e nie spe?nia swoich obowi?zk?w!

– Ach, ojczel! – zawo?a?o dziewcz?, ukrywaj?c zmieszan? twarzyczk? na ramieniu matki, – je?eli odgad?e? mi?, to czemu zmusi?e? do m?wienia!

– Czemu? – odrzek? ojciec. – Dlatego, moja pieszczotko, by mie? przyjemno?? s?yszenia ci?, by by? pewniejszym, ?e si? nie myl?, by wreszcie m?c powiedzie? w swoim i w matki imieniu, ?e wyb?r serca twego zatwierdzamy z najwi?ks? rado?ci? i ?e chc?c oszcz?dzi? dra?liw? delikatno?? ubogiego a dumnego m?odzie?ca, o kt?rym mowa, ja mu robi? t? propozycj? – tak! ja sam, bo czyta?em w sercu jego, tak jak w twojem! B?d? zatem spokojna! Przy pierwszej dobrej sposobno?ci pozwol? sobie zapyta? Marcelego, czy nie zechcia?by zosta? moim zi?ciem??

Niespodzianie zaskoczony tem nag?em przem?wieniem, Marceli wyprostowa? si? i stan??

jak gdybym pod naciskiem sprząyny. Oktawjusz cisną go za rękę, w chwili, kiedy doktor Sarrasin wyciągnął do niego ramiona. Młody alzateczk był blady jak papier. Ale czy nie tak wyglądają silni ludzie, kiedy do ich serca wstąpi niespodzianie szczęście!

Rozdział XX

Zakończenie.

Frankopolis, wolne od wszelkiego niepokoju, żyjące w zgodzie ze wszystkimi sąsiadami, dobrze administrowane, szczęśliwe, dzięki rozstrząskowi swoich mieszkańców, rozwija się pomyślnie. Szczęście jego sprawiedliwie zasłużone, nie budzi zazdrości, a sięga poskramia nawet najkrykliwszych.

Stalowe Miasto było tylko straszną fabryką, groźną maszyną zniszczenia w żelaznym rękawcu Herr Schultze'a; dzięki Marcelemu Bruckmannowi likwidacja jego odbyła się bez niczyjej krzywdy i Stahlstadt stało się punktem rodowym użytecznego przemysłu.

Marceli jest od roku najszczęśliwszym małżonkiem Joanny.

Co do Oktawjusza, ten stanął pod rozkazami szwagra i ze wszystkich sił swoich dopomaga mu w pracy. Siostra jego zamierza wkrótce ożenić go z jedną ze swoich przyjaciółek, śliczną dziewczyną, której przymioty charakteru i zdrowy rozsądek powstrzymają go od nowych pokus.

Życzenia doktora i jego żony spełniły się zatem i monarcha powieździe, że stanął u szczytu szczęścia i sławy – gdyby sława grała jaką rolę w ich zacnych dążeniach.

Można zatem już teraz zapewnić czytelników, że przyszłość należy do usiłowania doktora Sarrasin'a i Marcelego Bruckmanna i że przykład Frankopolis i Stahlstadt'u., wzorowego miasta i wzorowej fabryki, nie zginie dla przyszłych pokoleń.

KONIEC.

PRZYPISY

1. Psia Grota, znajdująca się w okolicach Neapolu, zawdzięcza swą nazwę szczególnej własności atmosfery, od której dusi się pies lub każde inne czworonożne zwierzę o niskich nogach, a która nie szkodzi stojącemu człowiekowi. Własność ta pochodzi od warstwy dwutlenku węgla, grubej na sześćdziesiąt centymetrów; ten bowiem jako cięższy od powietrza trzyma się przy ziemi.